CO SIĘ DZIAŁO W WOJSKU POLSKIEM

PO BITWIE POD LIPSKIEM.

Smutną i przerażającą dla wojska polskiego była śmierć księcia Poniatowskiego, ale zgubniejszemi jeszcze w skutkach swoich intrygi i nieposłuszeństwo które po jego zgonie wybuchły.

Aby jaśniej wystawić i lepiej dla czytelnika uporządkować to nieszczęśliwe drama, winienem go uprzedzić że reorganizacya wojska polskiego po klęsce r. 1812 w dwóch punktach się odbywała. Główna część armii pod wodzą Poniatowskiego porządkowała się na nowo w Krakowie. Poniatowski przeszedłszy z nią kraj austryacki, złączył się z armią francuzką w Saxonii. Druga jej i mniejsza część składająca się z różnych oddziałów, a mianowicie z odciętych po bitwie pod Kaliszem formowała się w Wiesbaden pod rozkazami Dąbrowskiego. Do tej to części wcieloną została i brygada jazdy Krukowieckiego. Poniatowski z korpusem swoim walczył w bitwie pod Lipskiem przy armii głównej francuzkiej. Dąbrowski zaś w tejże bitwie odpierał Szwedów z przeciwnej strony miasta i tym sposobem oddzielną zupełnie miał komendę niezawisłą od rozkazów Poniatowskiego. Odbierał je wprost od cesarza.

W dniu 17 października Dąbrowski wysłał Krukowieckiego z brygadą za Elsterę w celu rozpoznania sił i ruchów nieprzyjaciela. Poszedł Krukowiecki, lecz zamiast wrócenia do swego korpusu, tegoż dnia z południa bez rozkazu, bez najmniejszego upoważnienia, zjawia się nagle przy korpusie Poniatowskiego, mówiąc że odciętym został przez nieprzyjaciela, choć wiadomem było że generał Bertrand oczyścił był zupełnie lewy brzeg Elstery a książe Raguzy ciągle się trzymał nad Partą, co jasno wywiedzionem zostało w dziełku: *Journal historique des opérations militaires de la 7me division de la cavalerie polonaise faisant partie du 4 corps de la cavalerie de réserve*, zaraz po tejże wojnie wydanem w Paryżu. Książe Poniatowski częścią

przez słabość wrodzoną, częścią z potrzeby mienia więcej jazdy, nakoniec przez chęć skupienia w większą massę Polaków, po różnych korpusach armii rozproszonych, nadewszystko przecież dla pokrycia przed obcemi polskiego występku, zezwolił na Krukowieckiego pozostanie i oddał go pod rozkazy Sokolnickiego, dywizyą jazdy dowodzącego. Niezmierne to zgorszenie wzbudziło w wojsku polskiem, które od własnej Krukowieckiego brygady wywiedziało się dokładnie o całej istocie rzeczy i najoczywistszem nieposłuszeństwie. Wcielony więc został Krukowiecki do korpusu Poniatowskiego, ale że z żadnym nad sobą starszym zgadzać się nie mógł nigdy, przeto jak dopiero co bez rozkazu porzucił Dąbrowskiego, tak natychmiast i z Sokolnickim ścierać się zaczął i zaraz nazajutrz w bitwie 18go często wbrew jego rozkazom działał.

Gorący i stanowczy był dzień 18go. Przybycie nowych sił rossyjskich na plac boju, powiększywszy sprzymierzoną armią, na jej stronę przechyliło szalę zwycięztwa. Nie tak łatwy przecież do pokonania był Napoleon. Wszystkie on swoje kolumny w takim utrzymywał związku i porządku, że żadna przemoc frontu jego przełamać nie mogła. Na próżno przemagającą ciśniono go siłą, na próżno pułk jazdy austryackiej *Somariva* na polską uderzył piechotę, a niemogąc jej złamać między odstępami kolumn dwie ich linie przebiegłszy, aż na rezerwową artyleryą napadł w tyle armii, gdzie przez dragonów francuzkich świeżo z Hiszpanii ściągniętych cały prawie rozsiekany został, — napróżno stojący obok nas cały korpus saski w samym warze bitwy najhaniebniejszą zdradą przeszedłszy do nieprzyjaciela, natychmiast przeciw nam swoje zwrócił działa, — wszystkiemu zaradziła czujność i geniusz cesarza. Zaledwie bowiem zdezertowali Sasi już nowy korpus francuzki przerwę zostawioną zapełnił, a oburzenie armii całej, nowej dodało jej siły. Walczono aż do nocy, a cofanie się tak było oporne, nieznaczne i porządne iż niejednemu zdawało się, że wojsko na tem samem zawsze walczy stanowisku. W tym to dniu uderzony świetną odwagą i rozwinięciem wyższych zdolności wojennych Poniatowskiego, cesarz wśród gradu kul działowych mianował go marszałkiem. Sam Murat przybył do Poniatowskiego z oznajmieniem mu nowego zaszczytu. Zdziwił się nieco Poniatowski, lecz natychmiast mu odrzekł: Spodziewam się iż ten zaszczyt nie pozbawi mnie dawniejszego i droższego mi nad wszystkie, to jest pozostania polskim generałem i dowódzcą wojsk narodowych *).

Nadszedł wreszcie i okropny dla nas dzień 19go, który może tak srogich nie byłby miał skutków, gdyby wola Napo-

*) Obecny tej chwili słowa te słyszałem wyraźnie i dobitnie powiedziane.

leona (podług tego co mówiono wówczas w armii) spełnioną była. Utrzymywano bowiem powszechnie, że cesarz jeździe kazał się już przeprawić przez Elsterę 18^{go} o 8^{mej} wieczorem, co bardzo podobnem do prawdy być mogło. Nie mając i nie mogąc już mieć zamiaru utrzymania się na placu boju w dniu następnym i ztąd zdecydowawszy się na cofnienie, naturalnie bardzo mógł i powinien był cesarz jazdę całą przesłać za rzekę, jako w samych murach Lipska już mu niepotrzebną, dla tego nakoniec aby nazajutrz z wolnym oporem cofającej się piechocie, wolne zostawiła miejsce. Berthier jak mówiono nie dość jasno wymienił godzinę 8^{mą} wieczorną w rozkazie przesłanym jeździe, sądzono że o 8^{mej} rannej mówi, i tak jednę za drugą wzięto. Ztąd to cała armia spóźniła swoje cofanie, ztąd silniejszy nacisk nieprzyjaciela, krwawszy i dłuższy opór cofających się kolumn, ztąd nareszcie tyle zamieszania, krwi, strat niezliczonych, a dla nas najsroższej w śmierci Poniatowskiego. Bez tego wypadku, bez tej jednej omyłki co do godziny 8^{mej} nie byłby przymięszał się nieład do cofania się przez miasto, most może nie byłby przedwcześnie wysadzony, Poniatowski nie byłby zginął i wszystko byłoby się najporządniej wycofnęło za rzekę. Ale dawne szczęście już oblubieńca swego odstępowało, bladła dawna gwiazda i nowy wyrok na chmurniejszem już rozwidniać zaczynał się niebie.

Nie wiele mogę powiedzieć o boju dnia 19^{go}, bo już zrana przeszedłem z jazdą na drugą stronę rzeki i sama piechota broniła jeszcze Lipska. Szerzyła się za nami głośna i straszliwa wrzawa szturmów i odporu, z której to tylko nawiasem wspomnę, że wśród najzacięciej broniących się w murach miasta, najmężniej i najdłużej walczył półkownik polski Bolesta i z wszystkich ostatni został przełamany i wzięty w niewolą. Staliśmy za rzeką z bijącem sercem i wytężonem uchem na każdą wieść o toczącym się boju, kiedy zacny, waleczny lecz najflegmatyczniejszy z ludzi, półkownik artyleryi Redel, zbliżał się do nas zwolna na koniu na którym pewno w życiu nie zagalopował, i z zimną, nigdy się niezmieniającą twarzą te okropne do nas wyrzekł słowa: *Książe Poniatowski utonął.* Nie będę malował przerażenia serc naszych i przybicia na chwilę umysłów. Wieść ta nietylko nad myślą naszą ale i nad ojczyzną całą, czarną rozpaczy rozwiesiła zasłonę. Dosłyszenie dopiero wszystkich szczegółów jego waleczności, bohatérskiej walki i zgonu, a zwłaszcza znane jego ostatnie słowa: *Bóg mi powierzył losy Polaków, Bogu samemu je oddam*, nowem nas życiem a nawet i dumą pokrzepiły. Szczytne te słowa wyrzekł książe w gniewnem uniesieniu na uwagę którą mu czyniono że wszelki opór jest daremnym i broń złożyć trzeba. Z temi to słowy; raz ostatni podniósł oręż i uderzył na nieprzyjaciela. Wzniosłe te

wyrazy jakby drutem elektrycznym przebiegły i nasze i całe Napoleona wojska, szybkością nawet gromu do biednej doleciały Polski. Wszystkie je usta powtarzały, nad portretami księcia je zawieszano, po wszystkich domach polskich matki dzieci swoje na pamięć ich uczyły.

Jeszcześmy nie ochłonęli z pierwszego przerażenia, gdy znowu na koń do dalszego marszu wsieść nam kazano, a zaledwie nasze do pochodu wyciągnęliśmy szeregi, słyszę z boku daleki na mnie głos wołający: „a wiesz ty gdzie ja jestem? Wystaw sobie w sławnym Altranstaedt miejscu głośnego traktatu.“ Był to Dąbrowski generał, który tamże po skończonej bitwie wojsko swoje zbierał i ku złączeniu się z nami dążył. Ledwiem kilka słów z nim zamienił, spostrzegam z zdziwieniem zbliżający się ku mnie jakiś mały szwadronik w dziwnych i nieznanych mi dotąd mundurach. Komendant jego pospieszył ku mnie z oświadczeniem że dowodzi szwadronem jazdy portugalskiej i że odcięty od dywizyi jazdy francuzkiej, do której był przykomenderowanym, życzyłby w swojem sieroctwie przyłączyć się do nas, *z nieszczęśliwymi do nieszczęśliwych.* Nigdym nie widział, nie słyszał o Portugalczykach należących do składu armii francuzkiej, smutne jednak wyrażenie się i zacność oblicza dowódzcy niedozwalały mi prośby jego odrzucać. Jeźli mię pamięć nie zawodzi, był to Markiz Pereira. Za wyższem zezwoleniem, przyłączyłem tę odrobinkę tak dalekiego ludu do naszego korpusu, która wciąż szła z nami aż do Eisenach, gdzie od głównego sztabu całej armii inne otrzymała przeznaczenie. Drobny to wprawdzie wypadek, świadczy on przecie jaka to burza wówczas całym miotała światem, kiedy z dwóch jego prawie kończyn na jedno pole bitwy napędziła Baszkirów i Portugalczyków i wzajem z sobą walczyć im kazała.

Przykre z dnia tego zostało mi także wspomnienie zdarzenia na które wprawdzie nie patrzyłem, lecz później dowiedziałem się o niem, że gdy wojska sprzymierzone Lipsk opanowały a cesarz Alexander z licznym orszakiem na rynek miasta wjeżdżał, zacny i nieszczęśliwy król saski pozostały w Lipsku wraz z królową i królewną wyszedłszy z mieszkania swego, stanął w bramie kamienicy w celu powitania cesarza i odebrania od niego choć jednego słowa pociechy lub zaspokojenia. Ale ni obecność kobiet krwi monarszej, ni widok starca tylu cnotami dostojnego, ni jego nieszczęście, ni ten czyn nawet pokory poświęcającej się dla ocalenia ludu swego, nic nie wzruszyło Alexandra. Nie uczcił go nawet jednem słowem, jednem uprzejmem pochyleniem głowy, nie uszacował królowej i jej córy, odwrócił się od nich tyłem i wojsku swemu przed

sobą ciągnąć kazał. Trudno mi było długo uwierzyć w tę dziką i zimną srogość cesarza znanego z swej rycerskości i wyszukanej względności dla kobiet, z tylu nawet innych wyższych uczuć słynnego, ale najświętsze zapewnienie kilkunastu naocznych tego świadków nie dozwala mi powątpiewania o prawdzie, tem bardziej że po 30 leciech toż samo mi w Dreźnie i to z temi samemi szczegółami opowiadano.

Ale wracając do nieszczęśliwych skutków zgonu Poniatowskiego, Sokolnicki jako najstarszy w obozie generał, to jest nim jeszcze Dąbrowski z nami się złączył, objął naczelne dowództwo, a objąwszy wysłał natychmiast Krukowieckiego z brygadą jazdy, ku okryciu na niejaki czas głównej kwatery cesarskiej. Cóż czyni Krukowiecki? Opuszcza z brygadą korpus polski, idzie w wskazanym kierunku, gdy nagle go zmienia i wprost ku Lützen maszeruje, wygadując co tylko może przed swemi podkomendnymi na Sokolnickiego i Dąbrowskiego. Lękając się przecie aby zawiadomiony o tem Sokolnicki aresztować go nie kazał, a myśląc że pod księciem Sułkowskim łatwiej niż pod wspomnionymi dwoma generałami będzie mógł wszystkiem władać, z niesłychaną bezczelnością zbliża się do otwartego pojazdu cesarza i najbezwstydniejszem kłamstwem przedstawia mu się jako wysłaniec od wojska polskiego, z prośbą aby Sułkowskiemu naczelne dać raczył dowództwo. Cesarz nie lubił Sokolnickiego z powodu kilku zatarg, które ten miał z osobami do dworu jego należącemi, i ztąd nie wspomniał go nawet. Ale gdy tenże Sokolnicki dowiedziawszy się o kroku Krukowieckiego, sam osobiście przybiegł do cesarza i o Dąbrowskiego na wodza naczelnego prosił, Krukowiecki coraz bezczelniej kłamiąc, tak silnie nalegał na cesarza i przy Sułkowskim obstawał, że przemógł podanie Sokolnickiego i Sułkowski dowództwo otrzymał.

Sułkowski dobrym był żołnierzem, pełnym honoru, patryotyzmu i nadzwyczajnej waleczności, lecz nie dość silnym się okazał do starcia Krukowieckiego, który oddaliwszy już Sokolnickiego i Dąbrowskiego, ciągle i coraz głośniej przeciw pójściu naprzód deklamował a Sułkowskiemu wystawiał że surowo narodowi odpowie za zagubę jego najświetniejszej młodzieży i pierwszych imion narodowych, bo, jak mówił, Napoleon znowu nas jak niegdyś legie w żołdowniki swoje zamieni, i znowu tak gdzieś na zatratę wyśle jak niegdyś do St. Domingo. Zachwiało się Sułkowskiego sumienie, tem bardziej, że ciągłe spory i dyskussye w tej mierze szerzące się po szeregach wojska waśniły, osłabiały ducha, z czego naturalnie coraz większe wzrastało rozprzężenie.

Nieszczęście chciało że gdy przybyliśmy do miasta (pono

Friburga) za Lipskiem i już przeszli most na rzeczce tam płynącej, Szwedzi nagle wówczas zaatakowali naszą tylną straż jeszcze za rzeką będącą, a artylerya i bagaże nie całkiem się jeszcze były przeprawiły i wszystko nową groziło Berezyną. Sam cesarz udał się na most dla przyspieszenia przeprawy dział i w tej chwili właśnie przysłano Sułkowskiemu rozkaz, aby na niejaki czas brygadę jazdy do innego odkomenderował korpusu, w celu osłony marszu armii. Wiadomo że wojsko francuzkie w tej kampanii nadzwyczaj mało jazdy miało, której tak spiesznie jak piechoty nie można było uorganizować po wielkiej klęsce 1812 roku, naturalną więc bardzo rzeczą było, że cesarz w różnych kierunkach polskiej używał kawaleryi. Już nawet Sułkowski, czujący obowiązek posłuszeństwa, gotował się do wypełnienia rozkazu, kiedy Krukowiecki dowiedziawszy się o tem, przybiega nagle i dowodzi na poparcie swoich dotychczasowych domysłów, że cesarz już zaczyna dzieło naszej zaguby, bo rozdziera nas na części, i że teraz jest obowiązkiem wodza Polaków przeszkadzać temu ile możności, jeżeli niechce być nieczułym na honor i na to co cały naród o nim powie. Młody więc i gorący Sułkowski biegnie natychmiast do cesarza będącego na moście i nieco zbyt mocne czyni mu przedstawienie. Cesarz nie przywykły do uwag tam gdzie każe i jeszcze w chwili boju, rozdrażniony wreszcie kilkogodzinnem niebezpieczeństwem swojej artyleryi, ostro gromi Sułkowskiego i rozkaz wypełnić każe, co się natychmiast dzieje, lecz Sułkowski w pierwszym zapale po powrocie od cesarza, daje słowo honoru że tylko do Renu odprowadzi Francuzów. To nieszczęśliwe słowo honoru słyszane przez całe wojsko nasze, stało się później powodem do oddalenia się jego i pozbawienia nas korzyści rzadkiej jego waleczności. Szliśmy ciągle dalej. Dzieliły się jednych umysły, drugich serca nieszczęściem hartowały. Chcąc wszystkich do jednego zwrócić mniemania, zaspokoić bojaźliwszych, a mocniejszych silniej jeszcze utwierdzić, podało nas kilku myśl, aby oświadczyć Napoleonowi naszą wdzięczność i wierność, prosić go o wzgląd na naszą troskliwość o rzeczy ojczyste i aby dozwolił zapytać siebie, czyli idących z nim do Francyi uważać nas będzie za część francuzkiej armii na żołdzie jego zostającej, czy za wojsko polskie zbrojnie swój naród reprezentujące? Zwierzyliśmy się tej myśli jednemu z najbliższych cesarza generałów i czekaliśmy na odpowiedź. Zewsząd wówczas dochodziły nas wieści o zbieraniu się Bawarów pod rozkazami Wredego, w celu zamknięcia nam drogi do Francyi. Już nawet korpus kozacki pod komendą Czerniszewa obszedłszy nasze prawe skrzydło, ciągle nas wyprzedzał dla połączenia się z niemi. W wigilią bitwy pod Hanau, Napoleon jadący konno

przy armii, dojechał był naszego korpusu i stanąwszy nad drogą kazał mu stanąć, celniejszym zbliżyć się oficerom i tak do nas przemówił:

„Doniesiono mi że chcecie mnie widzieć! Nie chcecie mię „opuścić bez pomówienia zemną, bez dowiedzenia się wprzódy, „czy jako wojsko polskie uważanymi będziecie w Francyi, „a w każdym przypadku odprowadzicie mię do Renu. Nie „mogę wam żadnego czynić zarzutu. Otwarcie, godnie, szla„chetnie postępujecie. Lecz słuchajcie mojej rady. Do kogo „chcecie wrócić? Do ojczyzny? ta zawojowana. Do króla wa„szego? On nie ma piędźi swojej ziemi. Dałem wam go za „monarchę, należało dać wam wojownika, musiałem wybrać „takiego, któryby nie wzbudzał w sąsiadach waszych podej„rzeń i obawy, musiałem dać wam Niemca. Rządząc wami „wolą moję wykonywał. Szacowałem go i był istotnym moim „przyjacielem. Chcecie powrócić, nie sprzeciwię się temu. Kilka „tysięcy mniej więcej żołnierzy, tak nawet jak wy walecznych, „nie są dla mnie stanowczemi, lecz strzeżcie się, aby wasi „ziomkowie, potomność nie zarzucały wam kiedyś tej niesta„łości. Wrócicie wśród nieprzyjaciół z pokorą i schylonem „czołem, wrócicie żebrzący łaski, kiedy zwycięzcami wrócić „możecie. I cóż tym powrotem zyskacie dla was, dla ojczyzny? „Jeźli mię opuścicie, już nie będę miał prawa przemówienia „za wami, a jednakże ile mi się zdaje, mimo wszystkie klęski, „jestem jeszcze imieniem mojem najpotężniejszym z mocarzy „europejskich. Patrzcie czym się już tak bardzo odmienił? „czy nie jestem dawnej mocy człowiekiem? Całe Niemcy po„wstają przeciw mnie, w tej chwili nawet dowiedziałem się, „że najdrobniejsze Książątko niemieckie, także mi wojnę wy„powiada. Nie jest-że to ów lew umierający w bajce, któ„rego i osieł swem kopytem potrąca. Fortuna jest kobietą „a nawet nierządnicą, raz temu, drugi raz innemu się narzuca. „Ale potrafię ja jeszcze pod moją ugiąć ją wolę. Jedna bitwa „wygrana nad Renem druga nad Odrą łatwo mię do was „doprowadzą. Może iż wasza nieszczęśliwa gwiazda zaćmiła „moją. Nie to się zawsze u was działo, czegom żądał. Pradt „głupstwa robił, nie poznał was i położenia swego nie zro„zumiał.“

W tej chwili wzniosła się z pod granatowego płaszcza naga, ranna i obandażowana ręka młodzieńca siedzącego równie jak my na koniu, który temi słowy przerwał cesarzowi:

„Nigdy, najjaśniejszy panie, nie wystawiono ci w prawdzi„wem świetle całych zasług i wysileń biednych Polaków. Gdy„by cię była prawda doszła, gdybyśmy tyle przeszkód nie byli „doznali od twoich podwładzców, byłbyś dopiero ujrzał, cze-

gośmy zdolni dla ojczyzny i dla ciebie." — Tym młodzieńcem był Jan Skrzynecki. *).

„Wierzę, wierzę, odrzekł Napoleon. Nietylko w Księstwie „Warszawskiem, ale i na Litwie wszystko szło z tego powodu „źle lub opornie. Nie mogłem o wszystkiem wiedzieć i być „wszędzie. — Ale wróćmy do obecnego stanu rzeczy. W sku„tku traktatów exystujecie, w dalszych traktatach mogę wam „byt ten zapewnić, a jeźlibym i tego nie zdołał, przynajmniej „z bronią, honorem i szacunkiem nieprzyjaciół wrócicie do siebie. „Chciałem zawsze waszego istnienia, bom na wszystkich po„lach chwały w Włoszech, Egipcie, Hiszpanii i Niemczech wi„dział przy sobie Polaków. Zawarłem był traktat z cesarzem „austryackim, podług którego oddawałem Illiryą za Gallicyą, „którą do was przyłączyć chciałem. Gdybym był was chciał „poświęcić, byłbym pokój zawarł w Dreźnie. W najnieszczę„śliwszych czasach żyliście nadzieją, gdybyście się jej dziś wy„rzekli, obwiniałyby was o lekkość i płochość naród i dzieje. „Uważać was zawsze będę jako wojsko Księstwa Warszawskiego, „jako Polaków, sprzymierzeńców. Cały wasz rząd z Stanisła„wem Potockim znajdziecie w Francyi, a więc wszyscy będzie„cie razem reprezentować wasz naród. Będziecie w stosun„kach z moim ministrem spraw zewnętrznych. — Daję wam „słowo, że po największych klęskach nie zapomnę o was w trak„tacie. — Takie są moje rady."

Oto jest ta mowa, którą najpierwszy i to natychmiast skreśliłem, i wszyscy co ją odtąd drukiem ogłaszali, mniej więcej wierne tylko podali kopie tego com napisał. Oryginał jej francuzki oddałem generałowi Dąbrowskiemu. Zażądał jej odemnie później Wielki Książę Konstanty, wskazałem mu, gdzie jej ma szukać. Jeżeli była w domu Towarzystwa Przyjaciół

---

*) Mamy w ręku list Jenerała Skrzyneckiego, w którym chwila ta rozmowy tak w kilku słowach jest dotkniętą: „Cesarz często się powtarzał. Między innemi kilkokro„tnie powracał do zarzutu że się w 1812 zawiódł na Polakach. Les Polonais (mówił) „n'ont pas montré assez de patriotisme. Les Russes en ont montré beaucoup plus. „J'entendais sous la *Pospolite* la levèe en masse de la noblesse. La noblesse ne s'est „pas levèe. Najmniej cztery razy to samo powtórzył. Był to wyrzut bolesny, którego „niesłuszność ja tem mocniej czułem, żem wiedział od p. Kajetana Koźmiana jakie „przeszkody stawiał rządowi naszemu w formowaniu armii rezerwowej poseł francuzki, „arcybiskup Pradt. Żywo więc się poruszyła krew młodzieńcza we mnie, i bez względu „i uwagi na potęgę Cesarza przerwałem mu mowę temi słowy: „Sire, on ne nous a ja„mais permis de deployer l'energie nationale. Cesarz kazał mi powtórzyć co mówiłem, „poczem odrzekł: Ha! je marchais jour et nuit vers Moscou, je ne pouvais pas être „à Varsovie, et cette bête d'ambassadeur, cet imbecile, cet abbé, n'a rien fait." Byłem „ranny pod Lipskiem w rękę prawą. Nosiłem więc ją w poprutym rękawie. Siedziałem „na koniu podczas tego spotkania z Cesarzem jak i inni oficerowie. Słów kilka, któ„rem wyrzekł, wypadły jak z procy, wystrzeliły z serca, bo zabolało."

(Przyp. Red.)

Nauk, w sali Dąbrowskiego, łatwo zgadnąć, co się z nią stało po roku 1831.

Zaledwie cesarz zakończył mowę swoją, najpierwszy generał Toliński, a za nim wszyscy zawołali — „Niech żyje cesarz! wszędzie z nim pójdziemy.“ Sam tylko Sułkowski zasmucił się wspomnieniem uroczyście danego słowa honoru, że za Ren nie przejdzie. Prosił więc o uwolnienie od służby, otrzymał je i zabrawszy z sobą cały sztab swój, Henryka i Konstantego Zabiełłów, Zbijewskiego, Dzierzbickiego i Kraszewskiego udał się przez armią nieprzyjacielską do Polski. Chciał on abym i ja z nim się oddalił, jako dotychczasowy szef sztabu armii polskiej. Innem powodowany przekonaniem pozostałem przy wojsku. Nie miłem to było Sułkowskiemu, szanował przecież moje przekonanie, choć i zdaniu i zamiarowi jego przeciwne. Ale cóż czyni w tej chwili Krukowiecki? Zapewne jako pierwszy poduszczyciel do opuszczenia cesarza, on co do tego kroku groźnemi deklamacyami zmusił Sułkowskiego, najpierwszy dołączy się i powróci do kraju. Otóż nie! on najpierwszy go odstąpi i zostanie. Błysła dumie jego nadzieja, że oddaliwszy już Sokolnickiego i Dąbrowskiego, teraz po oddalającym się Sułkowskim niezawodnie ogarnie dowództwo naczelne nad wojskiem polskiem, i pozostał przy korpusie. Do zgonu mego nie zapomnę spojrzenia Sułkowskiego na niego, w którem zapłonął cały ogień gniewnego oburzenia! Odjechał Sułkowski, a oddaliwszy się od nas na milę skreślił na prędce rozkaz dzienny, tłómaczący powody swego oddalenia się. Przysłał mi ten rozkaz przez adjutanta, z poleceniem ogłoszenia go wojsku. Ale wróciwszy z tem pismem do głównej kwatery polskiej, jużem zastał generała Dąbrowskiego, jako nowomianowanego przez cesarza dowódzcę. Potwierdził mię w stopniu szefa sztabu swego, a ja naturalnie wówczas sądząc, że gdy już jest nowy dowódzca, nic mi bez jego wiedzy ogłaszać nie wolno, okazałem mu rzeczony rozkaz dzienny. Dąbrowski odczytawszy go rzucił w ogień, mówiąc iż usprawiedliwienie podobnego kroku mogłoby zachwiać niektórych umysły, kiedy im owszem mocy do najdłuższego wytrwania dodawać należy.

Nazajutrz zbliżyliśmy się do rozpoczętej z Bawarczykami bitwy pod Hanau, i już pierwszemi kolumnami wstępowaliśmy na plac boju. Z obowiązku mego jako szef sztabu przybiegam do Dąbrowskiego po rozkaz jaki kierunek mam nadać czołu korpusu. Na co tenże: Rozkazów wyższych niema, a więc na prawo zupełnie postaw korpus. Ale tam, mówię, generale niema nieprzyjaciela, prócz kozaków Czerniszewa, i do tego tak głębokim przedzielonych od nas parowem, że nigdy zetrzeć się nie zdołamy i nie będziem wcale do bitwy należeć. Właśnie tego potrzeba, odrzekł Dąbrowski, abyśmy nikogo nie stra-

cili. Napoleon i bez nas przełamie Wredego, a nam o to iść powinno, abyśmy ile możności w największej sile za Ren się dostali. Im więcej nas tam będzie, tem więcej znaczyć będziemy, zwłaszcza przy obecności naszego rządu w Paryżu. Jak życzył tak się stało, zaledwie kilka kul doleciało do nas przez całą bitwę i ani jednego nie straciliśmy człowieka. Bitwa ta krótko trwała i wymagała pospiechu, ponieważ idąca za nami od Lipska armia sprzymierzona mogła na nas z tyłu uderzyć. Za pozwoleniem Dąbrowskiego udałem się na miejsce najzaciętszego boju i właśnie w chwili stanowczej stanąłem przy orszaku cesarza. Już artylerya bawarska wysunęła się była naprzód lasu, a bardziej na prawo z tegoż lasu nieco rzadszego przezierać zaczęły massy jazdy Wredego, kiedy cesarz przybywa do piechoty swojej gwardyi. Czterem batalionom każe iść krojem tegoż lasu, uderzyć na jazdę i rzęsistym zniszczyć ją ogniem, czterem zaś drugim batalionom, zrzucić proch z panewek i pójść wprost na działa nieprzyjacielskie.

Dziś jeszcze przypominam sobie ten odbity w duszy mojej groźny dźwięk głosu cesarza *„proch z panewek“* spokojnym i męzkim głosem dowódzców batalionowych powtarzany. Widzę jeszcze te tłumy czarnych niedźwiedzich czapek ruszających z miejsca, tych starych żołnierzy Arkoli, Piramid i Austerlitzu, te żywe massy wrzące męztwem i groźbą jak zwolna bez najmniejszego wahania się postępują pod okiem ubóstwionego przez siebie Napoleona. Najuroczystsze milczenie panuje w orszaku cesarza. Wszystkie oczy w jeden punkt zwrócone, a im bliżej nieprzyjaciela zbliżają się czapki niedźwiedzie, tem wszystkie serca patrzących silniej biją, tem oddech każdego nawalniejszy, gorętszy. Rozpoczął się wreszcie attak stanowczy. War niesłychany w lesie. Zda się że całe łany dębów raz po raz z trzaskiem i grzmotem walą się na ziemię. Dym rozległy, tentent, wrzawa piekielna. W godzinę wszystko ucichło. Ogromne tylko stosy ludzkich i końskich trupów sterczą po lesie. Działa Bawarskie znikły, bitwa skończona, wygrana.

Na wolnej już drodze ku Francyi pomaszerowaliśmy z armią francuzką do Moguncyi, gdzie marszałek Kellermann, dla uniknienia zamieszań w chwili przechodu przez miasto takiej liczby wojska, każdemu korpusowi inną ulicę przeznaczył, i każdą taką ulicę z obu stron szyldwachami zamknął. Każdy korpus odpowiadał za porządek stanowiska, które mu wskazano, każda ulica tymczasowym posiłkiem opatrzyła korpus na niej umieszczony. Kilka tylko godzin trwało to rozporządzenie, zaraz bowiem wszystkie korpusy w oddzielnych rozeszły się kierunkach. Wojsko polskie udało się do Zwejbrück, gdzie Dąbrowski nowy nadawszy skład brygadom i dywizyom

korpusu, pomaszerował do Sedan podług otrzymanego na to rozkazu, i gdzie przysłany przez cesarza generał adjutant Flahault reorganizował cały korpus polski, odłączając tych oficerów co na linią bojową iść mieli, od tych z których tak nazwane kompanie honorowe, tymczasowie złożył, aż do powołania ich do szeregów czynnych w razie potrzeby. Kompanie te zostały pod dowództwem Dąbrowskiego aż do wzięcia Paryża.

F. M.

Z POEMATU

APOSTOŁOWIE

USTĘP II.

Uczniowie Pana idą i czynią,
Niepowstrzymani uczni pustynią,
Stawiają kroki mocne, a pewne,
Niebacząc ani na słowa gniewne,
Ani na więzy, ani na turmy,
Ni na podszczute pospólstwa hurmy;
I budujące z ust płyną słowa,
I miłość boża nie nowa, nowa.
Nie patrząc w pisma szerokie zwoje,
Roznoszą prawdy swoje, nie swoje —
Że mędrcy w suchą wczytani kartę,
Słyszą jak gdyby karty wydarte.

Nie liczna wprawdzie Chrystusa trzoda
Lecz każden mówi i czyni cuda.
Od Heliopolis do Romy staréj
Już słychać szmery żyjącej wiary.
A Jeruzalem, a lud wybrany,
A w bramowanych szatach kapłany?
Ci zawsze jedni uparci w błędzie,
Stoją jak wrogi, albo jak sędzie. —
Smutno też w okół jak po zniszczeniu,
I czczo i pusto jak po zwątpieniu.
Żaden głos czystszy niezabrzmi w wietrze,
Tylko przekupnie głuszą powietrze,
A wszędzie pełno tej podłej rzeszy,
Co nieznużenie za zyskiem spieszy,
Zawala progi kościoła kupią,
I zyszcze chęcią przebiegle — głupią. —

Cisną się tłumią gdzie zyski zoczą,
W Salomonowy przybytek tłoczą,
Ten ptactwo niesie, owoce drugi
I targi wiodą jak kościół długi.
Ależ nie dziwno że motłoch taki
Wstępuje w ducha ciemnego szlaki,
Że się gromadzi do tego proga
Z którego wionął archanioł Boga,
Szerokie schody, liczne kolumny
Wygodnie mieszczą ten rodzaj tłumny,
Aniołom brało serca komórki,
I wyszli nocą jak białe chmurki,
Od miasta zbrodni odnosząc loty,
W nową świątynię cichej prostoty.
O! biada jeśli powrócą z niemi
Męże co z Bogiem chodzą po ziemi,
A po raz drugi wzniosą nań ręce,
By spełnić nową mękę po męce,
Krwią barankową zlać te marmury;
Wtedy gromowe nadciągną chmury,
I w proch rozbiją przybytek próżny,
Naród rozproszą w motłoch podróżny,
Że niezostanie jednej rodziny,
Którejby liczne córy i syny
W jednym poddaszu jadły chleb dzienny,
I jeden miały spoczynek senny.
Bez ziemi ojców nadzy, bez dachu,
Na szmery liścia pomkną od strachu,
Obcy przychodzień ich groby zdepcze,
A powieść o nich z piasku poszepcze.

—

Jako Pan wyrzekł tak się i stało,
Wszelki duch wierny napełnion chwałą,
I rozwiązana wybranych mowa,
A kiedy spadła zasłona słowa
Do różnych różnym czynią językiem,
Po Etyopsku z Etyopczykiem,
Latyńską rzeczą z Latyńcem twardym,
I z Egiptczykiem i z Grekiem hardym —
I dziw zadziwia naród przemnogi,
Ludzież to czynią czy żywe bogi?
Przed babylońską jedne budową
Wróciło wiernym zamglone słowo;
Duch im to sprawia którego ciało
Tak się w narodach roztęczowało,

I żyje w ciągłej przyczyn bezwiedni,
Aż w końcu wieków skupią się w jedni,
Jednym miłości złączeni wieńcem
Staną przejrzyści przed oblubieńcem,
I ziemia żywym ogniem rozgorze
W zapowiedziane królestwo boże,
Wtedy różnica zniknie języka,
I wszelka różność słowa poznika,
Gdy wszyscy staną na tej wyżynie,
Gdzie z łona Boga duch w duchu płynie,
Którego w żadnem osobnem słowie,
Związany grzechem człek niewypowie —
A gdyby wydał słowo przed ludem,
Całąby ziemię napełnił cudem,
Jak tych wybranych uczni dwunastu,
Co oto wyszli na podziw miastu, —
I stoją w ciżbie co się doń miecie. —

Rybitwa stary cichy jak dziecie,
A jak mąż silny mimo wiek długi,
Apostół nieba w postaci sługi.
Za nim młodzieńczyk twarzy niewieściej,
Z którego włosem wietrzyk się pieści.
Co chwila nowe ciągną gromady,
A wszystko naród od chorób blady,
Gdzieniegdzie tylko z tłumu wystawa
W drogich jedwabiach dumna postawa,
A reszta ślepa i trędowaci
I śród tych święci znachodzą braci.
Za rąk włożeniem, za słowa siłą
Życia przeszłości jakby nie było.

Na placu który pod Syon wzbiega,
Wybranym drogę nędza zalega,
A oni stoją patrząc do koła
Na powiek rosy, na smutek czoła —
Gdzie promienieje z narodu wiela
Łza Magdaleny, wzrok Nataniela —
I wraz tam świecą palec rybitwy,
I wysłuchalne starca modlitwy.
Z licznej gromady Piotr widzi jedną,
Upokorzoną niewiastę biedną,
Dziecie złożyła na kamień szary,
I w sobie pełna wysokiej wiary
Myśli a myśl jej czoło namaszcza,
Gdybyż cień upadł z świętego płaszcza,

I cień upada w Piotra zbliżeniu,
I uzdrowione dziecie od cieniu.

Wśród kolumnady przybytku Boga
Wilgoć i ciemność była złowroga —
Tam kiedy weszli Jan zadrżał cały
Na widok duchów co uciekały,
Wzbitych przez skrzydeł lot rozpostarty;
Nie poraz pierwszy widział on czarty,
Lecz one były tak przezłośliwe,
Że ich niemogło znieść oko żywe.

Duchy przepaści, co w wietrze brzydną,
Przelatywały z pychą bezwstydną,
Trzęsąc wężami skudlonych włosów;
Kiedy z świętymi gońce niebiosów
Płynęły pobok w jaśni Edeńskiej
I w biało-srebrnej szacie panieńskiej,
Nie powikłani w złych chęci boju,
Z długiemi w rękach palmy pokoju.

A był przedsionek niezwykle ludny,
Od rzeźbnej bramy do przejścia trudny —
Kiedy Piotr wszedłszy na miejscu mowy,
Podniósł zwój ciężki papyrusowy,
Podany ręką domu pachoła,
I czytał w zwoju z zamrokiem czoła.
A czytał w ciszy, w ducha skupieniu,
Poczem jął mówić o odrodzeniu,
O zmartwychwstaniu, o sile wiecznej,
Nieśmiertelnością ducha bezpiecznej,
I jako siły tak wielkiej użyć,
By wszystko wznosić a nic nie burzyć,
Na podobieństwo wszechmocy bożej,
Która z niczego ogromy tworzy,
A ogrom pychy w cień próżny spycha,
Jak nieme głośna, a siła cicha.
Jak duma własne swe niszczy dzieło,
I na kim pańskie słowo spoczęło,
Aby odtwarzać z światła zachwytu,
To co się kryje w głębiach błękitu.
A potem kazał o czasów mierze,
I jaki wieczne zwycięztwo bierze,
Konając mowę do serc słuchaczy,
O tym co koił szlochy ich płaczy,

I zwierzom oddał się wzorem chleba,
I był jak człowiek a rodem z nieba.

Gdy Bóg uwielbia wierne przed tłumem,
Plac się rozlega dzikich słów szumem;
Piotr i Jan widzą przezedrzwi bramy,
Jak z dołu schodów wieją rękami —
Jak środkiem tłumów złością wzburzonych,
Ciągnie żołnierstwo w chełmach spłaszczonych,
Brodaci Żydzi, Rzymianie gładcy,
I w kościół wchodzą z rozkazem władcy.

Dawnemi czasy kiedy nad morzem
Piotr nad błękitnem chodził przestworzem,
Gdyby zobaczył taką straż zbrojną,
Rzuciłby sieci i łodź spokojną,
I pomknął kroki z nad jasnej szyby,
Strwożony w sobie rybitwa ryby.
Lecz odkąd został ludzi rybitwą,
Jasny czystością, cichy modlitwą,
Nie rzuci płocho łódź powierzoną,
Którą steruje w dal nieskończoną.

Pełen najszczerszej w Panu otuchy,
Podał Apostoł ręce w łańcuchy;
Bratnim uściskiem dłoń okowana,
Objęła złote ramiona Jana,
A pożegnanie rozjaśnia radość,
Że woli Pana dzieje się zadość. —

Przez chałaśliwą prowadzon zgraję,
Co w szczęściu wielbi, w nieszczęściu łaje,
Nie widział żadnej przyjaznej twarzy,
W gwarnej hałastrze owych nędzarzy,
Kromie dwóch niewiast co z twarzy smutnej
Łzy ocierały białemi płótny,
I przez okrycia jak przez mgły śrebrne,
Poznał Apostoł święte służebne.

I szedł spokojny z skupionym duchem,
A głos jak z duszy dzwonił za uchem:
Pokąd czas służby twej nieprzeminie,
I włos ci jeden z głowy niezginie,
Ja ci kajdany pokruszę twarde,
I moce książąt wydam na wzgardę, —

Ja uspię czujne żołnierskie straże,
I palcem jednym bramy wyważę. —

Cisza — na mieście pusto i głucho,
Nic czuwające nie drażni ucho.
Miesiąc wypłynął w ciche powietrze,
Miasto im dalej widne tem bledsze,
Tylko w dolinę ku Getsemani,
Dwa cienie jakby słońcem przewiani,
Schodzą powoli od miejskiej bramy,
Ten ze skrzydłami, ów z łańcuchami. —

Honfleur, 1854 r.

T. Lenartowicz.

WSTĘP KRYTYCZNY DO DZIEJÓW POLSKI

przez

AUGUSTA BIELOWSKIEGO.

We Lwowie 1856. Drukarnia Zakładu Ossolińskich.

Prawdziwie uczony autor dzieła, o którym mówić zamierzamy, poświęcił mu dwanaście lat poszukiwań, a mocno wierzy, że nie nadaremnie. — „Skutek nad moje spodziewanie wypadł pomyślnie. — Co chwila nasu-„wały się nowe dowody przekonywające mnie najmocniej, że owo wyobra-„żenie o pochodzeniu Słowian, które głównie z porównania polskich kro-„nik wyniosłem, było jedyne wyjaśniające prawdziwą przeszłość tych lu-„dów słowiańskich.“ Autor rozbiera szeroko najdawniejsze sprawy domniemanych Ojców naszych, odnosi je na cztery wieki przed Chrystusem, na południowy brzeg Dunaju, przechodzi do niemieckiej Morawii, nakoniec do Polski.

Samo dzieło ma trzy części: rozpoznanie źródeł — dzieje Lęchitów, ale nie Lechitów — pierwotne dzieje Polski, której przed X wiekiem być nie miało; albowiem Polska, jestto ułamek, przedłużenie Wielkiej Morawii: Piastowie prostemi następcami Świętopełka, Światopułka.

Lecz nie zupełnie ufajmy autorowi, kiedy mówi, że skutek poszukiwań założonych przezeń wypadł nadspodziewanie pomyślnie.

Nasamprzód, pan B. nie wynalazł tej myśli o pochodzeniu Słowian. Gatterer, Niemiec, na końcu zeszłego wieku ogłosił, że Słowianie są dawnymi Getami, Dakami. To mniemanie podobało się nadzwyczajnie Joachimowi Lelewelowi, który rozpamiętywał nad niem r. 1818, a rozszerzył i utwierdził we swoich nowych, ogromnych badaniach, o których przedstawiliśmy nasze uwagi — nasze powątpiewania, albowiem nie widzieliśmy dowodów na ustanowienie historycznej pewności, a przynajmniej prawdopodobieństwa.

Byłże pan B. szczęśliwszy? Jestże wolen tych zarzutów, które czyni innym, najdumniej, a czasami niesłusznie? Nie udzieliłże za wiele rzeczywistości najfantastyczniejszym złudzeniom? Podobno tak jest. Joachim Lelewel tyle poetyczny miarkował przecież swoje uniesienia — uśmiechał się ku czarującym majakom, ale nie śmiał iść ślepo za niemi.

Jeżeli uznał getycki początek Słowian, jeżeli się domyślał niekiedy szczęśliwie, jeżeli wyprowadzał wnioskowania dosyć podobne, jeżeli prze-

bijał chmury, rozwieszone nad początkami naszemi, nie był przecież systematyczny, nie upiera się namiętnie. Sam nie był pewny, i nikomu nie narzucał pewności. Naprzykład rozbierając podania Mateusza, chciał je wytłómaczyć przez bliższe czasy i nazwy — wracał się do Krakowa, do Pomorza, do Danii nawet.

Znużony, zniechęcony, podaniami często dziwnemi zapytywał samego siebie, czyli przypadkiem Mateusz żartów nie stroił. Żartów — nie — zachował co słyszał, co jemu podała na owe czasy rozległa i poważna uczoność, ani miał przeczucia że da powód do tylu poszukiwań, do tylu objaśnień.

Pan B. pozwala sobie nierównie więcej, aniżeli sobie Joachim Lelewel pozwolił, przez twierdzenie bezwarunkowe, że Mateusz przedstawił nasze początki wiarogodne i prawdziwe, że w nim jest nasza najdawniejsza historya. Gdy dotąd, zaledwie w szóstym wieku ukazuje się pierwszy jej brzask, a zaledwie dziesiąty wiek jest dla nas rzeczywiście historycznym, wiekiem naszego wstąpienia politycznego i duchowego do Europy; pan B. odnosi nasze dzieje na cztery wieki przed Chrystusem, za Dunaj, daleko na południe. Tu na północy Karpat, nad brzegami Wisły, mamy być ludem dosyć nowym, — wędrowcami, osadnikami, wychodniami umykającemi przed Rzymianami.

Pan B. uprzejmie, ale surowo nagania Naruszewiczowi i Czackiemu to, że „nadużyli poważnego słowa — *świadectwo*, stosując je często do „pisarzów o dwieście lat późniejszych.“

Czacki pod innemi względami bardzo zasłużony, pisarz łatwy i szczęśliwy, nie był krytykiem historycznym. Pan B. oddaje pochwały krytycznemu umysłowi albo uczuciu Naruszewicza, a poniewiera nim. Sam cóż czyni? Co jako niepokonane przedstawia świadectwo?

Dlań Nestor, Miorsz, Mateusz, nieomylnymi świadkami początków naszej historyi, chociaż przedzieleni dziesięcioma, a nawet piętnastoma wiekami od czynów które zapisali; chociaż pan B. przepaści siedmiowiekowej między Dekebalem a początkami Wielkiej Morawii nie ma czem zapełnić, jako tako przerwać jednym czynem — jednem nazwiskiem. Taki skok nie ma być nadużyciem!

I gdyby takich tylko sobie skoków pozwalał uczony poszukiwacz, często piękny pisarz, aczkolwiek nie zawsze jednem i temże samem poruszany natchnieniem!

Jest jedna godna czci we świecie umysłowym Słowian powaga, prawie stanowcza, co do poszukiwań takich, jakie pan B. poczynił. — Szafarzyk, najśmielszy, a razem najspokojniejszy poszukiwacz Słowiańskich Starożytności. — Szafarzyk nie lękał się wstąpić do tej otchłani naszych początków, lecz się nie posuwa o jeden krok, póki znaku mocno nie utwierdzi, po którymby siebie i innych prowadził.

Lecz to nic! Szafarzyka obciąża grzech niepojednany. Nie naznacza on pierwszej ojczyzny Słowianom za Dunajem; Getów za naszych nie przyjmuje Ojców.

Nie rozumiemy także drugiej żałoby wytoczonej przeciwko niemu, ja-

koby on Słowian „ze wszystkiemi ludami w Europie pobratał.“ — Ależ nie! — Szafarzyk najstaranniej rozdziela Słowian od innych narodów Europy, a gdzie ustanawia tożsamość, albo powinowactwo, nigdy nie jest bez dowodów. — Czyliż nie odwołał szlachetnie swego błędu o Sarmatach, których w swojej dotąd pięknej rozprawie o pochodzeniu Słowian wydanej r. 1828 miał za Słowian? Byłże uważniejszym pan B. w swoich poszukiwaniach? maż dowody na bratanie nas z Getami, Dakami, Autariotami, na przeniesienie naszej pierwotnej historyi za Dunaj na pięć wieków przed Chrystusem? Po wszechstronnem, po długiem rozważaniu odpowiadamy — nie. — Nam pan B. swego przekonania nie udzielił — przekonania które uważamy jako uczone i szlachetne złudzenie.

Ta część która obejmuje rozpoznanie źródeł mocno nam się podoba — mniej owem złudzeniem, które panu B. pozwala widzieć getycki początek Słowian nawet tam gdzie Getów czyli Daków przez domysł nawet najśmielszy dostrzedz nie można.

Najpierwsze źródło, występuje kronika lęchicka Linchitów, ludu Illirii, późniejszych Getów, Daków, Słowian. Czyli istnieje owa kronika Linchitów? — nie. — Czyli mamy dowód pewny, że istniała? — nie. — Sąż z niej ułamki — jeden wyraz przynajmniej? — nie. — Miał jej użyć Dzierżwa a raczej Miorsz, jako mieć chce pan B. — O tem naczelnem źródle nie posiadamy żadnych a żadnych objaśnień, czyli była, co zawierała, i zkądby to wydobyte, na czem oparte być miało. — Pan B. naucza, że Kriton z Pieryi, że Dion z Prusei pisali zaginione getyckie dzieje, że dzieje Daków opowiedzieli Appian i podobno Staciusz, że o tychże narodach czynili badania Kassiodor i Jornandes.

I cóż ztąd? Pan B. twierdzi poważnie, że tych wszystkich a przynajmniej ostatnich użył mityczny, tajemniczy autor kroniki Lęchitów, z której Miorsz ułożył swoje opowiadanie.

Lecz na czemże pan B. buduje takie twierdzenie? Domyśla się, przypuszcza. Na tej przeto powadze, o której nawet mówić nie można — czyli była kiedykolwiek, z której nie mamy najdrobniejszego ułamku — pan B. opiera swoje wyobrażenie o pierwotnych siedliskach Słowian za Dunajem, na pobrzeżu adryatyckiem.

Roczniki polskie kościelne, pan B. uważa jako inne źródło o pochodzeniu Słowian, uważa dosyć słusznie jeśli ma chodzić o same polskie rzeczy. Lecz coby z tych roczników kościelnych wziąść można na wykazanie pochodzenia Słowian i Polaków? — nierozumiemy.

Owe roczniki kościelne klasztorne są oderwanemi zapiskami, których bezimienni autorowie właściwej historyi przedstawiać nie mieli zamiaru. Zakonnik naznaczał zdarzenia ważne dla klasztoru gdzie mieszkał, najwięcej dla dyecezyi, nigdy dla kraju, dla państwa, dla odległych czasów. Światełka to niepewne bardzo, przecież nieocenione i najważniejsze, ale zupełnie podrzędne dla tych badań, jakim pan B. tyle czasu, tyle umiejętności i gorliwej pracy poświęcił.

Tych roczników kościelnych, a właściwie odpisów, pan B. widział

około trzydzieści, których drukiem nie wiele ogłoszono, a wnieść można, że nierównie więcej czeka na szczęśliwe odkrycie. Jeden rocznik pan B. najwyżej ocenia, ten, który towarzyszy trzem dotąd znanym rękopismom kroniki Miorsza, a który zaczyna się rokiem 899 pamiętnym przez śmierć Arnolta cesarza, zagryzionego przez wszy na ukaranie jakiejś wielkiej zbrodni. O zagryzieniu przez myszy pełno podań u nas i po innych krajach, ale z tych podań można wnioskować, jakie z tych roczników dla historyi światło. Rocznik przyczepiony do kroniki Miorsza ma być najdawniejszy, lecz pomnijmy, jest to odpis, dopełniony, przerobiony w XIV wieku, oszpecony wtrętami, a zatem powaga nadzwyczajnie podejrzana i niepewna, nietylko dla badań o pochodzeniu Słowian, ale także co do początków właściwej polskiej historyi. Nad tym rocznikiem pilniej się zastanawiał pan B., przedrukował go, albowiem upatrzył w nim przejście z Wielko-Morawii do Polski, upatrzył nawet i to, że Piastowie, że książęta i króle Polski, są następcami kniaziów Wielkiej Morawii, rozproszonej nieodżałowanie przez Niemce i przez Węgry. — Polska, to wielka Morawia przedłużona, działająca pod innem nazwaniem Polski — Morawia, przedłużenie Daków — odnowione państwo Daków. — Rocznikowi towarzyszącemu kronice Miorsza nie damy tej ważności, jaką jemu pan B. życzyłby nadać. Jest tu nawet subtelność, której nie możemy nie wytknąć. Pan B. twierdzi, ale nie dowodzi, że kronika Miorsza z XI ma pochodzić wieku, wnioskuje przeto, że i rocznik ma być równie starożytnym — a przecież wyznaje, że pierwopismo, że odpis zarażony, pofałszowany wtrętami, do XIV wieku odnieść należy.

Upraszamy, czyli taki odpis za świadectwo wiarogodne podać się godzi? Nie byłożby znowu stosowniej, loiczniej i bezpieczniej kronikę Miorsza z XI wyprowadzić wieku, gdzie dla niej nie ma miejsca? Pytamy, czyli pan B. na tyle niepewnych dowodach opierając swoje poszukiwania, nie nadużywa najsamowolniej poważnego wyrazu: *świadectwo historyczne?*

Ukazuje się dalej owa sławna kronika Lęchitów i Polaków przez Miorsza, znanego dotąd pod nazwiskiem Dzierżwy. Pan B. wbrew temu, czemu wierzono powszechnie, naucza, że Miorsz żył na początku XI wieku. Cudzoziemiec Anglosaxończyk na dworze Ryxy, przez jej sprzyjanie, nabył znaczenia i potęgi. Chociaż duchowny, miał syna Roberta kasztelana Sieradza, a wnuk, także Robert, otrzymał biskupstwo krakowskie. Miorsz wprowadził do Polski herb Korab — przyżeglował. Nie chcemy przedwcześnie stawiać trudności, ale jakże nie nadmienić, że nazwa Miorsz nie jest anglosaska, że cudzoziemiec kapłan łatwoby nie znalazł małżonki, że podanie, jakoby duchowni polscy XI wieku pospolicie żony brać mieli, należy zgoła odsunąć — że to jest nadzwyczajnie przesadzonem, co mniema pan B., jakoby u nas kiedykolwiek przeważał słowiański obrządek.

Że herby z XI wieku mogą pochodzić, nie zaprzeczamy stanowczo, aleź mniemanie, że Miorsz kapłan obcy uzyskał natychmiast herb, narodowość, nazywamy domysłem, przypuszczeniem. Nawet pan B. uważa, że Miorsz w swojem opowiadaniu jako Polak nie przemawia.

Miorsz czerpał owo opowiadanie z kroniki Lęchitów, której bytu nie

wykazano i z polskich roczników, nad któremi należy długo i uczenie pracować, nim im powaga świadectwa przyznaną będzie.

Kronika Lęchitów zaczyna się na cztery wieki przed Chrystusem, sprawami Graka, Kraka, Krakusa, a kończy się na wojnach Trajana przeciw Dekebalowi, po których miało nastąpić ogromne wychodztwo, przesiedlenie u getyckich ludów; początek Słowian na północy Karpat, nad Wisłą, jak mieć chce pan B.

Owa kronika lęchicka obejmowała zdarzenia spełnione na południu Dunaju, dzieje Linchitów illiro-dackich którzy później wystąpili jako Lechici, jako Lachowie, jako Polacy.

Ma to być jeden i tenże sam lud, chociaż pan B. niezmiernej przerwy między Illirami, Dakami, Lechitami i Polakami niczem nie zapełnia, i również niczem nie dowodzi związku i podobieństwa, między tymi ludami, między ich historyami rozerwanemi przez ośm a nawet przez dwanaście wieków. Pan B. mówi: „nikt nie wątpił, że jesteśmy ich potom„kami." Nasamprzód my pierwsi, rozważywszy co pan B. na poparcie swojej teoryi przywodzi, powątpiewamy najzupełniej.

Gatterer ogólnie, Lelewel bardzo ostrożnie tylko się domyśla. Dopiero pan B. stanowczo wykłada tożsamość Linchitów, Autariotów, Getów, Daków, Lechitów i Polaków Wisły o czem dotąd powszechnie nawet przeczucia nie miano. Pan B. widzi we swoim Miorszu, czego on sam nie widział, czego on sam bynajmniej nie twierdził.

Miorsz miał pomięszać czasy, miejsca; zdarzenia dokonane za Dunajem do Polski, do Krakowa, do Sieradza przenosi, co wszystko pan B. krytycznie rozdziela, wyjaśnia. Ma naprawiać i tłómaczyć Miorsza który przecie był bliższy podań i czasów a użył czyli użyć miał owej tajemniczej, zatraconej dziś kroniki Linchitów adriatyckich.

Dotąd znane rękopisma kroniki Miorsza są następne:

1. Szamotulskiego pisany 1426 albo 1471.
2. Kuropatnickiego przerwany na roku 1415.
3. Lubiński również z XV^go^ wieku.

Te daty nie są bez uwagi. Jestże roztropnem uwierzyć, że kronika która zaraz po 1035 spisana być miała niema dawniejszych nad wiek XV odpisów. Przynajmniej podobnaż wskazać domysł, że kronika Miorszowa we wiekach XII XIII i XIV istniała, że z niej powstały odpisy XV wieku? Warszewicki wspomina Mierzwę, którego pan B. na Miorsza wykręca, owo świadectwo wysoko oceniając. Czytamy je i nieuderza nas. Warszewicki żyjący przy końcu XVI wieku mówi ogólnie; ani wie jakoby Miorsz czyli Mierzwa miał być najdawniejszym naszym kronikarzym.

Kronikarz, a raczej historyk, znany pod nazwiskiem Marcina Galla, wedle pana B. jest Gawłem zakonnikiem, a nie sam był autorem tej zajmującej pracy *). Spółautorem ma być Michał Kanclerz, Polak, i on

---

*) Pan Bielowski twierdzi:

„Między duchowieństwem obrządku łacińskiego jakie się Polsce już od czasów „Mieczysława I zasługiwało, wystąpił nowy zakon pod koniec wieku XI. Byli to mnisi

Gawłowi cudzoziemcowi dostarczył tyle dokładnych wiadomości, szczegółów, odcieni, które przez cudzoziemca bardzo trudno mogły być dostrzeżonemi. Gallus nie ma oznaczać narodowości, to tylko imie zakonne; pan B. nachyla się ku temu mniemaniu, że Gallus czyli Gaweł był przybyszem do nas, ale takim który znał język polski, gdyż ma uderzające

„św. Gawła sprowadzeni z Prowancyi czy Helwecyi za Władysława Hermana i szerzący „się w Polsce pod Bolesławem Krzywoustym. Przypadek zjednał im nadzwyczajne względy „tych królów. Troszczącemu się bezpotomnością Władysławowi podał radę Franko biskup „Kruszwicki aby przesłał wota św. Idziemu doświadczonemu w tej mierze patronowi któ„rego zakon na cześć św. Gawła założony kwitnie w Prowancyi, niedaleko ujścia Ro„danu. Nie lenił się król polski w okazach wdzięczności za cud tak wielki: powstawały „kościoły i zakłady kosztowne na cześć tego świętego w Kłodawie, w Krakowie, w Łę„czycy, w Krobii *(lepiej w Krobi)* i po innych miejscach a księża nie mało względów „od Władysława doznawszy, starali się wcześnie zapewnić sobie wpływ na syna jego; „postanowili więc i dawne swoje zasługi przypomnieć i położyć nowe opisując czyny „młodego Bolesława. Tak powstał *Galli Chronicon.* Że to pisał mnich tego zakonu „niema najmniejszej wątpliwości, że ten mnich zwał się na imię Marcin na to niema „żadnego dowodu. Piszący po łacinie Sarnicki zowie go po prostu Gallus jakby to było „jego imię własne. Jakoż jest rzeczą naturalną że między mnichami tego zakonu imię „patrona ich które z łacińska brzmi Gallus a w ustach polskich Gaweł musiało być naj„powszechniejsze. . . . Jest to imie pospolite zakonników klasztoru w którym zostawał „a prawdopodobnie było oraz jego imieniem własnem zakonnem. W oboim tedy razie „wypada go Gawłem nazywać.“

Autor w tym ustępie nagromadził bałamuctwa co niemiara. Naprzód św. Gallus czyli Gaweł i św. Idzi niemają z sobą nic wspólnego. Pierwszy, Irlandczyk, towarzysz św. Kolumbana, osiadł w Helwecyi i założywszy tam w pobliżu jeziora konstancyeńskiego sławny klasztor, (zniesiony na początku bieżącego stulecia) umarł około r. 646. Święty Idzi, Ateńczyk, żył po nim i także klasztor w Prowancyi blisko Tarascon ufundował. Każdy ze swojej strony przyjęli regułę św. Benedykta. Nie było żadnego zakonu św. Gallusa, zresztą wyjąwszy Kartuzów, żaden nowy zakon pod koniec wieku XI nie powstał. Jeśli tu mowa o reformie cysterskiej św. Benedykta to choć założenie klasztoru w Citeaux do r. 1098 odnieść trzeba, choć naprawę zarządzili trzej pierwsi opaci, głośność jej dopiero za św. Bernarda w dwadzieścia kilka lat później się zaczyna. Zkądinąd klasztor Szwajcarski św. Galla niema nic do czynienia z reformą Cystersów, zaś klasztor św. Idziego przyjął w r. 1066 (jak świadczy Mabillon w *Annales ordinis S. Benedicti* T. XIV) zwierzchnictwo Kluniaku. Że do Polski Cystersi, Niemcy i Francuzi napłynęli nieprzeczymy (Starowolski powiada w życiu błog. Wincentego Kadłubka: *omnes tunc fratres Galicæ vel Germanicæ nationis fuerant)*, wszakże naprzód przyszli Francuzi ze sławnego i potężnego opactwa Morimond do Jędrzejowa którzy przezwali Morimundem, do Lądu, do Wągrówca, ale to dopiero za synów Krzywoustego.

Za Władysława Hermana budowano kościoły pod inwokacyą św. Idziego, klasztory nowe niepowstawały. Tak samo za Krzywoustego. Jeśli przybywali z zagranicy księża to Benedyktyni tacy, jacy już byli w Sieciechowie i Tyńcu, ci mogli z Kluniaku lub Saint-Gille pochodzić, mogli nawet pochodzić z St. Gallien (na co niema żadnych dowodów) ale cóż ztąd?

Nieprzeczymy żeby Gallus kronikarz nie mógł mieć za patrona św. Galla apostoła Helwecyi; ale zkąd pan B. wziął wiadomość że kronikarz był Benedyktynem? Gdzież znowu dowód że imie Gallus (Gaweł) było u nas po klasztorach pospolite (wcale ono nie pospolite na zachodzie)?

Widząc śmiałe twierdzenia, napotykając wyrażenia: „niema najmniejszej wątpliwości“ lub „jest rzeczą naturalną“ dziwić się potrzeba i smucić nad taką niepomiarkowaną lekkomyślnością uczonego zkądinąd pisarza.

polonizmy, co właśnie upoważnia twierdzić, że raczej był polakiem. Wyraz *patria*, który Gallus stosuje do siebie jakoby wskazywał na polską narodowość, nie znaczy wiele, w skutek tej uwagi podanej przez J. Lelewela, że *patria*, naówczas oznaczała kraj, nie koniecznie ojczyznę. Sporu oceniać i rozwięzywać nie chcemy. Lecz natura kroniki, jej treść, jej cały widok, jej tchnienie, jej życie, raczej mówiłyby zatem, że Gallus był Polakiem. Jest mnóstwo uczuć i wyrażeń tej kroniki, które ze serca i z umysłu cudzoziemca wyjśćby nie mogły.

Współdziałanie Michała Kanclerza przyznaje Gallus, Michał nazwany wyraźnie *Opifex*. Takich spółpracowników mogło być i więcej, albowiem Gallus wyznaje że przedstawia to jedynie co od innych słyszał. Powtarza, naśladuje, skraca. Nie wynagrodzona strata! Gallus mówi: „multa et magnifica gesta prætermittam.“ O Bolesławie spaniałym tylko „pauca de multis.“ Wszystko co opowiada, a co poprzedza rządy Bolesława III, uważa jako wstęp, jako przygotowanie. Nie możemy nie mniemać, aby Gallus niebył Polakiem. Zna wszystko, ale mówi co chce, co uznaje za potrzebne. Wiele rzeczy wynurzyć nie śmie. Wiedział zdarzenia zaszłe przed wprowadzeniem Chrześciaństwa, teraz zatracone na zawsze: miał wstręt pobożny, ale przesadzony ku czynom dokonanym przez społeczeństwa pogańskie. Szanował swoje dzieło: przerabiał, przekształcał je dwa razy. Pierwszy rzut obejmuje rękopism Szamotulskiego, a przerobienie zachowały rękopisma Sędziwoja i Zamojskich. To przerobienie wzmiankuje czyny, które przeminął rzut pierwszy, naprzykład o Skarbomirze wojewodzie Krakowa, umorzonym podobno za to, że strącenie Bolesława III zamierzał. Chociaż pisał o żyjących osobach, o zdarzeniach wielkich, które umysłem narodowym wstrząsały, umiał przecież być niepodległym „ut veritatem historiæ teneamus.“ Nie był to mnich przesądny, obojętny, ciemny jako często naucza pan B. lubiący wyszydzać i szarpać zakonników owych czasów, zapominając najdziwniej, że własnie zakony dzisiejszy świat przygotowały i stworzyły.

Pierwszy rzut dochodzi wydarzeń 1109 r. a przerobienie zamknione zdobyciem Nakła 1119; domysł, że po 1119 Gaweł umarł, albo swego opowiadania dalej prowadzić nie chciał.

Pan B. pozwoli nam sprostować jedno uchybienie, za które przecież nie czynimy go odpowiedzialnym; Długosz podał, że Bolesław III odwiedził grób św. Idziego we Francyi; temu pan B. zaprzeczył. Lecz zajmujące poszukiwania pana Przezdzieckiego wykazały dostatecznie, że Bolesław III był rzeczywiście we Francyi. O tych poszukiwaniach *Przegląd* dał wiadomość.

Kronice Nestora obszerniejsze pan B. poświęca uwagi i słusznie. Nestor jestto Polanin, czujący się Polakiem, piszący najpodobniej tym samym językiem jakim ówcześni Polacy mówili i choć zbłąkany nieco wpływem wschodniej Cerkwi — ściśle a historycznie oceniający rzeczy. Ruś niebyła ani dla Wschodu ani dla Zachodu, zachowała niepodległość, a ku Wschodowi nie miała uniesień utworzonych daleko później.

Po kronice Lęchitów użytej przez Miorsza, po samym Miorszu kronika Nestora ma być stanowczym dowodem o pochodzeniu Słowian takiem, jakie pan B. koniecznie pragnąłby ustanowić. Nieśmiemy wierzyć temu. Nestor świadectwo poważne, a często wiarogodne zupełnie, opowiada co sam widział, co miał przez starców udzielone, co odebrał z podań mniej więcej odległych. Lecz upraszamy, co mógł wiedzieć Nestor o pochodzeniu Słowian zadunajskiem, o wędrówce Słowian, on, żyjący we XII wieku. Jakież nadużycie wyrażenia *Swiadectwo historyczne.* Miałże Nestor jakiekolwiek o tem pochodzeniu podania? Milczy on — A gdyby i miał, jestże bezpiecznem przyznawać nieomylność podaniom, których najbliższy początek sięgałby wieków dwunastu, a najdalszy wieków szesnastu? Miorsz wedle pana B. radził się i trzymał owej kroniki Lęchitów. Nestor i takiej nieposiadał pomocy. Brał swoje wiadomości z Byzanckich pisarzy, u których ani spomnienia o pierwszych siedzibach Słowian. — Nestor przyszedł na świat 1056 r. w Kijowie. Wstąpił do klasztoru Boga-rodzicy siedmnastoletni, przyjęty przez Teodozjusza Igumena, a wyświęcony przez Stefana Igumena.

Chociaż bez potrzeby i związku, co do głównej rzeczy, pan B. przytacza zajmujące opowiadanie odkopania relikwii Teodozego przez samego Nestora. — Uczeń swego mistrza wygrzebał. Po długiej pracy dotknąwszy relikwii, uderzony religijnym przestrachem Nestor zawołał „Hospody pomyłuy.“ Były i cuda przy odkryciu tych świętości — słupy promieniste unoszące się z pieczar nad kościół, gdzie relikwie złożone być miały. Stefan biskup widział łunę rozłożoną nad pieczarami, a zbliżając się ku nim, mnóstwo świateł, które nagle zniknęły.

Zostawiamy każdemu wolny sąd o tych i o innych cudach, zatwierdzanych przez niepoliczone wiarogodne świadectwa. Co do nas nie nazwiemy ich ani zmyśleniem, ani złudzeniem. Ale świętości nie przeraziły Połowców, którzy 1096 Kijow i Monastyr złupili, „a braci naszych zabili orężem bezbożni synowie Izmaela nasłani na ukaranie Chrześcian.“

Nestor pod rokiem 1106 zapisał śmierć Jana Wiszatycza dziewięćdziesięcioletniego starca. „Od niegom, mówi, wiele słów słyszał i wpisał w ten latopis.“ Złączywszy to, co Wiszatycz sam widział, i co od innych starców młodzieńcem będąc usłyszał, Nestor miał podania dosyć wiarogodne, a sięgające początków ujarzmienia Słowian przez Waregów. Mógł też mieć inne podania rusko-słowiańskiej miejscowości.

Lecz podań o pochodzeniu Słowian nie miał żadnych; — podań słowiańskich przez samychże Słowian mieć nie mógł, a jako mamy prawo twierdzenia po wielokrotnem odczytaniu i rozważaniu', Nestor ani miał na myśli tego, co w nim pan B. widzieć, a innym pokazać pragnie. To dostatecznie wykażemy. Pod wyrazy Nestora, ogólne, nieoznaczone, można wsuwać wszystkie domysły, wszystkie tłomaczenia, którymby się Nestor mocno dziwił, gdyby je teraz mógł mieć przedstawione.

Latopis, który za dzieło samego Nestora poczytać się godzi, dochodzi r. 1113. — Jednak są i późniejsze czyny zapisane przez samego Nestora, a wskazujące, że nawet po r. 1125 wykształcał, uzupełniał swoje

opowiadanie. Nestor, jedne i też same sprawy krótko i obszerniej przedstawiał, ztąd wynikałoby, że coś nakształ Gawła swoje dzieła przerabiał, ulepszał, rozszerzał, mówiąc dzisiejszym językiem, robił drugie wydanie. — Nestor umarł między 1130 a 1136 póżnej doszedłszy starości, może ośmdziesiątletniej.

We środku dzieła swojego pan B. rozbiera szeroko mniemanie Nestora o pochodzeniu Słowian. I my się zastanowimy nad niem. Lecz tu przy ocenieniu raczej bibliograficznem nasuwa szczegóły malujące wewnętrzny stan Słowian, tych Polanów, którym zdobywcy, a może wezwani naczelnicy i wodzowie, udzielili swojej nazwy Rusinów.

Nestor, Kijowianin, Polanin, Polak, syn polskiej ziemi i myśli niesprzyjał żywiołowi waregsko-ruskiemu, który powoli zewnętrznie raczej słowianiał, a przecież obcym nigdy być nie przestał. Nawet tej chwili kiedy piszemy, zasada polityczna wniesiona przez Warragów, wzmocniona przez Mongoły, dotąd się nie zmieniła. Ta część Słowian, która utworzyła państwo moskiewskie, przestała być samoistną, przyjęła fatalne tchnienie, najnieprzyjaźniejsze jej narodowemu życiu.

Nestor mówi, że człowiek z ludu spotkawszy mnicha, zwracał się, na bok ustępował, unikał, jakoby „odyńca i świni“. — Było przeto na początku XI wieku mocne uczucie pogaństwa, a może lud słowiański nienawidził chrześciańskiego wyznania, wprowadzonego przez politycznych ujarzmicieli, przez Waregów. Prawie to samo zaszło na zachodzie nad brzegami Elby i Odry. Wschodni i zachodni kościół przerażały nieco. Na samym do nich wstępie widziano Niemca. Jest ogromny a ważny spór czyli Ruryk panował Nowogrodowi jako ujarzmiciel, jako zdobywca; czyli jako wezwany naczelnik, wódz i sędzia razem. Pan B. mniema, że to był najazd, podbój, ujarzmienie gwałtowne. Ruryk rządził Nowogrodem, Sineusz Białem-Jeziorem, a Truwor Izborskiem. Lecz nagła zmiana. — Sineusz i Truwor znikają, może zamordowani przez Ruryka, przez brata. Wadym Chrobry ginie także, spór Nowogrodzan złamany — a takiemi sposoby powstaje ruska monarchia „podlana krwią słowiańskiego ludu.“

Sposoby wynalezione przez Ruryka powtarzały się nieraz w moskiewskiej historyi. Innychże użył sposobów Caryzm na zatracenie Nowogrodu, Pskowa, Rzeczypospolitej Kozaków? i t. d.

Co do Ruryka atoli, możnaby inne przyjąć tłumaczenie. Sam pan B., uważa, że przed czasami Ruryka, Waregi, Normandy, Russy, Rossy, przez Nowogród, przez Żmujdź, Smoleńsk i Kijów podróżowali na wschód.

Oni pierwsi Chrystianizm zachodni wprowadzić, pieczary, groby, nekropole założyć mieli; a dowodem naczynia opatrzone napisami łacińskiemi. Normandowie przeto dawniej znali Nowogrodzian i innych Słowian. Byli u nich gośćmi — a wiadomo, że Słowianin, dla podróżnika, dla gościa, miał religijne uczucie. Gość był niejako nietykalnym. U tychże samych Nowogrodzian, zachował się zwyczaj wzywania kniaziów na naczelników, a jeżeli źle rządzili, łamali prawo, składano ich i wyganiano. Kniaź obrany, przez więzienie do Cerkwi na poświęcenie władzy przechodził. — Ruryk mógł być przeto wezwanym, obranym jako gość, jako przy-

jaciel, jako sprzymierzeniec. Lecz pod temi świętemi wezwaniami gościa, przyjaciela, sprzymierzeńca, naczelnika, ułożył zdradziectwo, ujarzmienie, mordy, dosyć pomyślne, ale nie tyle stanowczo, jako mniema pan B. — albowiem Nowogrod zaraz po Ruryku był znowu swobodny, a poźniej broniony i zasłaniany przez Litwinów i Polaków, do końca XV wieku był samoistny, wolny, niepodległy, naprzeciw kniaziom Moskwy. Caryzm — jedność moskiewska są to czyny daleko późniejsze. Wylano wiele krwi, dopełniono wiele zbrodni, nim się wzniosło samowładztwo moskiewskie. Początkiem, nie zawsze był gwałt i mord. Rossya jako przyjaciołka, jako opiekunka, przysięgając uroczyście, okazując serdeczność, wytępiała. Nasamprzód pocałowanie, zdrada i mord — potem.

Jestże podobnem mniemanie, że mnogie waleczne ludności słowiańskie, drużynom Normandzkim, bardzo drobnym, pozwoliły się ujarzmić, łatwo a nikczemnie, że uległy przemocy, która zatrważającą być nie mogła? Daleko później, kiedy Rurykowicze na południe się posunęli czemże była ich władza nad Słowianami? Słowianie uznawali niejako zwierzchnictwo książąt Kijowa, ale u siebie mieli własny rząd, własne naczelniki. Polityczna i ziemska jedność ruskiej monarchii w wiekach IX, X, XI, XI i XIII jest to marzenie, jest to fałsz postawiony, przeciw najpewniejszym czynom historycznym. Chcemy rozumieć pana B.: mniema on, że gwałt i ujarzmienie nie dały początek władzy, pojęciu politycznemu panującemu teraz nad brzegami Wisły. Lecz jest coś fatalniejsze aniżeli gwałt — zbrodnia jawna i szczera dowodzi przynajmniej śmiałości, ależ przyjaźń, ależ przysięgi użyte, aby bezpieczniej zdradzić, bezkarnie zamordować! Takiemi sposobami zakładali i rozszerzali swoje panowanie Ruryk z braćmi i następcy ich.

Naszem przeto zdaniem nasamprzód były przyjaźń, zaufanie, umowa prawa, a później ze strony Ruryka zdrada, ujarzmienie, mord, czyny pod względem moralnym i politycznym ohydniejsze, aniżeli władza narzucona przez gwałt.

Pan B. chce koniecznie aby sam gwałt był początkiem władzy Ruryka nad Nowogrodem. My początek tej władzy uznajemy występniejszym — zdrada i mord — mord własnych braci — mord Nowogrodzian — mord Dira władzcy Kijowa, mord Polanów — a jeżeli do następnej historyi kniaziów zajrzymy, — cóż tam jest? Zdrady i mordy nieprzerwane. Nie znamy zbrodni którychby sobie nie pozwoliła moskiewska władza przeciw samym Moskalom, przeciw innym Słowianom, przeciw Europie. Imiona się zmieniały, ale duch nie; owszem rozwijał się on i do coraz groźniejszej wznosił potęgi. Ruryk, Iwan Groźny, Piotr I, są to działacze jednej i tejże samej myśli.

Nestor podaje rodowód i rozejście się narodów od wieży Babel (Wawel) — czyli swój własny, czyli ze słowiańskich wydobyty podań? — Ani jedno, ani drugie.

Jerzy, Grzesznikiem nazwany, Mnich carogrodzki, Greczyn, ułożył rozejście się narodów. — A owego Grzesznika pismo przełożono na język bulgarski.

Cóż Nestor uczynił? Rękopism grecki przełożył, albo tłómaczenie bulgarskie przepisał. Powtórzył rozejście się i usadowienie narodów takim samym porządkiem co i Jerzy Grzesznik. Nic ze swoich poszukiwań czyli podań miejscowych nie dał; nie myślał o tem, co jemu myśleć koniecznie pan B. nakazuje.

Po wyrazie Illuryk, Illyrianin, dopisano objaśnienie *Słowianin*. Dopisałże Nestor? Może jaki przepisowacz późniejszy, co bynajmniej nie dowodzi, aby Jerzy Grzesznik Illirian, Lenchitów i Illurian miał za jeden i tenże sam naród. Wieleż podobnych objaśnień, sprostowań, dodatków do kroniki Kadłubka czyli Bogusława wprowadzono? — Pan B. przytacza dowód, którego przecież sam pierwszy rozumieć nie chciał. Cicero mówi o Bardyllu najdawniejszym królu Illirów, a uczony objaśniacz nad wyrazem Illirius położył, id est Slavonius. Dowodziż to, że Cicero Illirian uważał za Słowian, a Bardylla za króla Słowian?

Nestor, albo przepisowacz Nestora, objaśniacz Cicerona, widzieli Słowian na ziemi trzymanej niegdyś przez Illirian i wnieśli dobrodusznie ale najfałszywiej, że Illirianie a Słowianie są jednym i tymże samym narodem, że my Polacy jesteśmy potomkami illiryjskich wychodźców. Taki loiczny domysł może być przebaczony Nestorowi, przepisowaczowi Nestora, objaśniaczom Cicerona, ależ panu Bielowskiemu! Nestor, który nie wymienia podań miejscowych o pochodzeniu Słowian, który nic nie wie o przeszłości ziemi na której żył, o wielkich na niej dokonanych zdarzeniach, nie zna Antów, Samona, nie ma uczucia, aby Słowianie na północy Karpat mogli być mieszkańcami przedhistorycznymi — uderzony blaskiem Carogrodu, urokiem Wschodniej Cerkwi, zaufawszy uczoności nieomylnej Jerzego Grzesznika, wniósł sobie, że Słowianie z nad adriatyckiej zatoki wyszli za Dunaj, nad brzegi Wisły, a później na brzegi Dniepru i Wołchawy.

Pan B. ma dosyć umysłowej siły na uznanie, że takie podanie samo przez siebie nie ma wielkiej wagi; że zeń żadnych pewników wyprowadzić niepodobna: czuje, że to podanie Nestorowe jest niedokładne, nie jest odgraniczone ani datami, ani czynami historycznemi, a przecież takie podanie surowo i słusznie przezeń osądzone mianuje: „najcenniejszem z podań „jakie Nestor umieścił.“

Nestor mówi ogólnie, nie wskazuje nazwisk, dat i czynów, a pan B. jakiż ustanawia wniosek dlań wierzytelny i niezawodny? Oto, że Nestor, a właściwie Jerzy Grzesznik, pod Dakami ustępującymi przed Trajanem rozumiał Słowian. Lecz zkądże wie pan B., że Nestor takie o Dakach i Słowianach miał rozumienie? Wolnoż Nestorowi narzucać to, o czem on nawet ciemnej nie posiadał wiadomości? Jestże to krytyka historyczna? Nestor nie rozsadzał Słowian, wędrowców z za Dunaju, jako naucza pan B., tylko opisuje narody słowiańskie, gdzie były, jako je widział. Nawet gdyby miał jaki domysł o rozejściu się Daków, cóżby o niem miał pisać przedzielony odeń dziesięcio wiekami?

Pan B. uważa, że Nestor sam całego Latopisu nie ułożył. Zbierał sobie podania, czerpał z klasztornych roczników, a przynajmniej zapisek,

które z różnych czasów i od różnych osób pochodziły. Na to wprowadza styl i treść, utworzone nie przez jednę myśl. Jakież ostrzeżenie, aby tego wszystkiego, co mamy pod nazwiskiem Nestora, nie koniecznie za nestorowe dzieło, świadectwo i przekonanie uważać! A nawet jestże sposób uważania, skoro wiemy, że Nestor ślepo i dobrodusznie trzymał się powagi bizanckich uczonych?

Latopis Nestora, pod względem mowy którą był spisany, ma swoje a ważne znaczenie. Jest on pomnikiem najdawniejszym mowy Słowian naddunajskich, Bulgarów, przyniesionej nad Dniepr: ma on właściwości, znamiona, które dotąd przechowała polska mowa, zgłoski zupełnie odpowiednie brzmieniu dzisiejszych polskich zgłosek *ą*, *ę*, nawet litera nestorowa *s*, jako nasze *dz*, wymawiana być miała. Dzisiejszy język rossyjski urzędowy, naukowy, nie jest wiernem przedstawieniem ani Kirylicy, ani żyjących dotąd narzeczy po niektórych właściwie moskiewskich ziemiach. Są w nich polonizmy. Znaki mniej więcej wydatne polskości. Zkąd to wynikło? My możemy dać tylko jedno tłómaczenie, oparte na podaniu samegoż Nestora. Cała Słowiańszczyzna wschodnio-północna, a później ruskie i moskiewskie ziemie, są osadami, rozszerzaniem się, wylaniem się Polan, Lechów Wisły i Warty. Ztąd przeto znaki, pozostałości polskiej mowy, zatłumione napływem różnych żywiołów, cerkiewnym, kirylickim, fińskim, mongolskim, a nakoniec rządowym językiem.

Nestora znał i użył Długosz, czasami dosłownie go on przekłada. Był znany Nestor Bielskiemu i Stryjkowskiemu.

Są dwa polskie przekłady Nestora. Jeden wykonany przez księdza Ławrowskiego kanonika Przemyśla, doprowadzony do roku 989, a drugi zupełny przez księdza Wagilewicza, opatrzony objaśnieniami; ani jeden ani drugi nie ma wydawcy! Znanych rękopismów Nestora jest dotąd 53, z nich najstarsze obejmujące tekst dawny: ławrentowy, hipacki, chlebnikowski, radziwiłowski i troicki. Nikonowy, chociaż dużo późniejszy, ma czyny nieznane innym rękopismom.

Nestora wydał, a uczenie objaśnił Schlözer 1802—1809, części pięć. Tymkowski ogłosił 1824 rękopism ławrentowy, dochodzący 1019. Kommissya rossyjskich starożytności zrobiła wydanie Nestora 1846 w dwóch tomach. To wydanie ma być najlepsze. Zdaniem przyjętem powszechnie, pierwopism Nestora zaginął. Przepisowacz Ławrenty żyjący w XIV wieku, miał mieć pierwopism Nestora, przepisał, ale doń wiadomości z innych ksiąg czerpane przymieszał. Nie odrzucamy tej nadziei, aby kiedy pierwopis Nestora nie miał być odszukany. Do podań Nestora o pochodzeniu Słowian powrócimy. Są one zawsze godne najpilniejszej rozwagi.

Do autorów dających objaśnienia o słowiańskich początkach, należy także Kozmas urodzony 1045, Polak ze szlachetnej i możnej rodziny, jednej z tych które roku 1039 z Polski do Czech gwałtem uprowadził Brzetysław Czeski. Przytaczamy słowa samego Kozmasa:

„Wiozą więcej niż na stu wozach dzwony niezmiernej wielkości i wszystkie skarby „polskie, postępuje za niemi mnóstwo szlachetnych mężów okutych łańcuchami, a szyje „ściśnione obróżami, a wśród nich, ach! nieszczęśliwy jeniec mój pradziad, kapłan.“

Kozmas daje obszerny opis tej ohydnej wyprawy, która miała za jedyny cel rabunek bez żadnej politycznej myśli. Mieszkańce Gdecza zamożnego grodu, poddali się dobrowolnie, wyszli naprzeciw Brzetysława, niosąc rószczkę złotą, prosząc, aby ich do Czech przeniesiono. Książe zezwolił, wydzielił obszerne ziemie, zostawił im polskie narodowe prawa, nawet nazwisko Gdeczan. Kozmas przeto był Polakiem, zachował polskie uczucie, miał na myśli podania polskie. Żonaty, miał syna, a pamięć małżonki zgasłej r. 1117, w swojej kronice unieśmiertelnił rymami. Kozmas umarł r. 1125, pisał zaś dzieje niejako do samej śmierci. Kozmas opowiada najdawniejsze rzeczy słowiańskie i czeskie — zna Kraka i Przemysława, ale pan B., Kraka i Przemysława wykreśla z początkowych czeskich dziejów, jako ich i z początkowych polskich dziejów wykreślił. Kraka i Przemysława do Illiryi za Dunaj przenosi. Kozmas miał pomieszać czasy i miejsca. To co się spełniło na południu Karpat, ujrzał w złudzeniu na czeskiej ziemi. Powtarzanie się Kraka i Przemysława u Polaków i Czechów jest wielkiej ważności. Nestor Słowian wschodnio-północnych z nad Wisły wyprowadza, od jej źródeł, z Wielkiej i Białej Serbii i Chrobacii.

Uczeni czescy dzisiejsi, mniej więcej zgodzili się, że osady wyszłe z tejże samej Wielkiej i Białej Serbii i Chrobacii dały początek czeskiemu narodowi. Polska przeto byłaby środkiem, z którego się rozwijała i rozpromieniała cała Słowiańszczyzna. Stawiamy domysł, ale tylko domysł, ażali imiona występujące na samem zaczęciu czeskiej historyi nie są imionami należącemi właściwie do Polski? Mogło jeszcze być inaczej, a naturalnie i loicznie. Między temi ludami, które później pod imieniem Polski wystąpiły, a ich osadami, ich rozszerzeniem, Czechami, zachodziły długo przyjazne stosunki — może nawet był jeden rząd, jaki federacyjny związek, a z niego pewne czyny, pewne nazwy spólne, pożyczone, podobne przynajmniej. Powtarzamy, dajemy domysł — ależ rozumniej jest szukać Kraków i Przemysławów na ziemi która przechowała podania o nich, ich pomniki, aniżeli z panem B. puszczać się za Dunaj, do Tracii, gdzie nawet przez wykręcenie i nadużycie natrafić nie można na Kraka albo Przemysława.

Pan B. należy do tych którzy wierzą, że u Czechów i Polaków był wprowadzony słowiański obrządek, który później łacińskim zastąpiono przez gwałt i prześladowanie. Borzywoj książe czeskie dwukrotnie miał być chrzczonym — obrządkiem słowiańskim około 881, a obrządkiem łacińskim 894, toż samo i z naszym Mieczysławem nastąpić miało. Na to nie znajdzie się dowodu, a choćby i był, my tym czynom nie przyznajemy takiej niezmiernej ważności, jaką ujrzeli panowie Bielowski i W. A. Maciejowski — widocznie rozumujący pod najfałszywszem a dla Polski najniebezpieczniejszem złudzeniem. Słowiański obrządek wprowadzony przez Metodiusza i Kirilla nie był odszczepieniem, nie była to cerkiew wschodnia byzancka oderwana od Rzymu, był czysty rzymsko-katolicki co do jedności, nauki i władzy.

Co straciła Polska na tem, że stanowczo poszła za obrządkiem łacińskim? — nie wiemy; — wiemy zaś, co stracili Słowianie, ci którzy na-

miętnie się upierali przy słowiańskim obrządku odszczepionym, uznającym za naczelnika patryarchę Carogrodu. Trudno, abyśmy kiedykolwiek zrozumieli, owe przymilania się pokazowane przez Polaka wschodniemu obrządkowi. Jestże to budowanie narodowej jedności? Godziż się to z naszem historycznem sumieniem? z naszym rozwojem, z naszem położeniem i posłannictwem pośród Słowian? Jest tu błąd w swoich następstwach loicznych nadzwyczajnie fatalny. Są mocne domysły, że Metody Krakowianom czyli Wiślanom, ludom Chrobacii, chrześciaństwo opowiadał: nie bylibyśmy przeciwko temu, aby te kraje pod rządami Świętopełka, a przynajmniej z nim sprzymierzonemi być nie miały.

Obrządek słowiański miał istnieć nietylko pod Mieczysławem I, ale nawet pod samym Bolesławem Wielkim. Dopiero 1022 r. kapłani słowiańscy z Polski wyrzuceni być mieli — wedle Kozmasa. Świadectwo Nestora przytacza pan B. i my je przepisujemy:

„Tychże czasów — 1025 r. umarł Bolesław Wielki u Lachów i było zamieszanie „w ziemi lackiej. Powstali ludzie, pobili episkopy, i popy, i bojary swoje, i było u nich „zamieszanie.“

Radzilibyśmy mocno panu B., aby świadectw historycznych do swojej nie naginał myśli, aby w nich nie widział tego, co w nich koniecznie chciałby odkryć. Nestor zaświadcza poruszenie, ale nie wymienia natury poruszenia — nic zaś nie upoważnia wnioskować, aby ono wyłącznie religijne i tylko przeciw kapłanom słowiańskim wymierzone być miało. Lud zabijał i bojary. Jeżeli było oddziałowanie, mogło być ono przeciw nowemu i politycznemu i religijnemu porządkowi, walka dawnej przeciw nowej myśli. Po 1034, mniema pan B., kapłani słowiańscy mieli swój odwet, prześladowali i wytępiali łacinników. Był to spór wschodu i zachodu. Nie powiemy, aby za takiem uważaniem rzeczy, wielkich podobieństw być nie miało; ale nie widzimy historycznej pewności, a nieskończenie się dziwimy tym żalom za cerkwiami, za popami, których, jako podaje Nestor, lud ruski jako odyńców unikał. Rusin do dziś dnia unika i pluje na popa i jak od złej wróżby ucieka. Między duchem ożywiającym wschodnie wyznanie, tyle przyjemne panu B., Polakowi, a duchem ożywiającym lud ruski, po tysiącu latach niema zgody. Tym, jako wierzymy niewłaściwym, fałszywym skłonnościom, dał ośmielenie i zachęcenie W. A. Maciejowski.

Powracamy do Kozmy, który jako przez pochodzenie Polak, mógł zapamiętać i przechować podania swojej ojczystej ziemi — początku czeskiej społeczności, wysunionej ku zachodowi. Nie bez prawdziwej przyczyny, też same czyny i też same imiona napotykamy u Polaków i u Czechów, a nie jest to nasze złudzenie, ani próżność. Sami czescy uczeni przyznali, że czeska narodowość wyszła, rozwinęła się z tych ludów, które później imie ogólne Polaków przyjęły. Toż samo twierdzi Nestor o plemionach przezwanych ruskiemi, które także wyszły od Polanów, od Lachów Wisły, od Kujawian Polski. Zgodność tych podań Nestora i Kozmy wzbudza zastanowienie. Ku takimże bardzo podobnym wnioskowaniom upoważnia *Sąd Lubuszy*, a wszystko razem uderza mocno przeciw teoryi o naszem zadunajskiem pochodzeniu.

Pan B. dla Kozmy nie pokazuje wiele szacunku — miał to być bajarz — zarzut nie dosyć gruntowny i nie usprawiedliwiony. Kozmas opowiada co słyszał, co widział, ale sąd zostawia czytelnikowi i sam ostrzega, aby jemu zupełnej nie dawano wiary. Byłżeby rozumniej a nawet historyczniej uczynił, gdyby był wszystko przekręcił, na co nie miał pewnych a nie podejrzanych dowodów? Lecz przyjmujemy inny wyrzut zupełnie słuszny uczyniony Kozmasowi, ale wyrzut, który należy wymierzyć przeciw nowszym, najznamienitszym nawet czeskim pisarzom. Kozmas uwielbiał książęta których wielbić nie należało, miał silne skłonności ku Niemcom. Kozmas nie zadziwia nas tyle, ile późniejsi!

Mateusz herbu Cholewa, autor kroniki Lęchitów i Polaków, biskup Krakowa, nastąpił może 1143 po Robercie herbu Korab, którego pan B. mieć chce wnukiem swojego Miorsza, jeżeli tylko o herbach XI i XII wieku coś na pewno twierdzić wolno. Sam Innocenty II dał Mateuszowi wyświęcenie. Naówczas zapewne poznał on św. Bernarda, opata Jasnej Doliny, którego może około r. 1153 zapraszał do Polski swojem imieniem i Piotra ze Skrzynna, po którym zostały dziwne, zajmujące, a nie wyjaśnione podania. Przyrzeka je zabrać i przedstawić tyle naszemu piśmiennictwu zasłużony Aleksander Przeździecki.

Pan B. ma zwyczaj wprowadzania ustępów nie nadto przypadających do rzeczy które opowiada, ale wprowadza ustępy ciekawe i mniej znane, — naprzykład o tym Piotrze ze Skrzynna. Piotr posiadał wspaniały zamek niedaleko Wrocławia na górze Sobótka, na której wznosiła się niegdyś sławna świątynia Słowian. Sam uczony, lubił mieć około siebie uczonych. Mniemano, że Piotr ze Skrzynna przybył z Danii do Polski, i ztąd miał być nazwany Duninem, ale mniemano fałszywie; albowiem bulla Celestyna III r. 1193 wymienia ojca i dziada Piotra, jako Polaków, dawnych mieszkańców Szląska, który naówczas miał miano Polski. Piotr ze Skrzynna albo sam, albo ze swoich przodków miał być przybyszem do Polski z nadbaltyckiej z nadłabańskiej Słowiańszczyzny, która wedle Gwidona z Rawenny miała być nazywana Dacyą, Dakyą mniejszą, jako przypomnienie, jako powtórzenie innej wschodnio-południowej Dakii opuszczonej przez Daków za czasów Trajana. Sam nawet Piotr ze Skrzynna bywał mianowany Dakiem, to jest zachodnim Słowianinem, ale nie Duńczykiem. To wszystko skwapliwie chwyta pan B. na umocowanie swojej teoryi, że nad brzegami Baltyku i Elby, inna, nowa, druga Dakia założona być miała. Nie chce przypuścić, że Nowa Dakia, zamiast Danii fałszywie położona, albo przepisana być mogła: że jest prawie niedorzecznem, ogromnej, potężnej, mocno zaludnionej Słowiańszczyznie przyczepiać nazwisko Małej Dakii, kiedy wiadomo, że owa Dakia Trajana, Dekebala, porównana do zachodniej Słowiańszczyzny, była drobnym kraikiem. Lecz pan B. pozwala sobie najśmielszych przekręceń — napotyka u naszych kronikarzy danomalchickie wyspy, nazwa, która z nazwy Dania i Amalchium, morze baltyckie, utworzona być mogła, dosyć naturalnie, aczkolwiek powtórnie. Cóż robi pan B., wyspy danomalchickie wytłómaczył na wyspy dalmackie.

Mateusz zostawił ciekawy dla nas pomnik, swój własny list do św.

Bernarda, którego zapraszał do Polski, aby nawracał Rusiny. Śty Bernard zapytywał Mateusza przez swego wysłańca, czyliby nie można wytępić bezbożnych ruskich obrządków. Mateusz powątpiewał — mniemał, że nawrócenie Rusinów jeden św. Bernard mógłby wykonać.

„Naród ruski," mówił on „niepoliczony jako gwiazdy — prawdziwej nie szanuje „wiary, nie pomnąc, że po za kościołem katolickim niema zbawienia. Błądzi brzydko „nietylko co do wiary Ciała Pańskiego, ale także co do małżeństw, co do chrztu, i co „do innych Sakramentów. Zarażony mnogiemi złudzeniami i heretyckiem zepsuciem, „Chrystusa tylko pozornie wzywa, czynami mu zaprzeczając. Nie trzyma zgody, ani „z nami, ani ze wschodnim kościołem. Od obudwu Ruś oddzielona nie ma z niemi „wspólności Sakramentów. Nietylko na Rusi, która stanowi niejako drugi świat, ale „w Polsce u Czechów i po całej Słowiańszczyznie obejmującej liczne ziemie, mógłbyś „zebrać wielkie owoce."

Świadectwo to wielkiej wagi tłómaczy późniejsze poselstwo do Honoriusza i apostolską wyprawę św. Jacka.

Jeżeli Gaweł koniecznie ma być cudzoziemcem, Mateusz jest pierwszym Polakiem, który opowiadał polskie dzieje po łacinie. Znamy doskonale zarzut powtarzany do przesycenia, jakoby łacina zatłumiała rozkwitnienie naukowe narodowej mowy. Nasamprzód nikt nie zabraniał używania polskiej mowy.

Katolickie polskie duchowieństwo nie miało do niej wstrętu, skoro samo na synodach nakazywało kapłanom znajomość języka polskiego, — zakładało szkoły. Zła wiara, albo powierzchowne uważanie rzeczy, nie dozwoliły dotąd ujrzenia innej wielkiej przyczyny, która opóźniła nieco rozkwitnienie polskiej mowy.

Polska czuła się żyjącą częścią europejskiej jedności, którą rozumieć i od której zrozumianą być chciała. Ztąd używanie łaciny. Tego uczucia nie miały inne słowiańskie narody — naprzykład Ruś a później Moskwa — a co na tem straciły, podobno nie potrzebujemy dowodzić.

Mateusz jest autorem trzech pierwszych ksiąg, które nas doszły pod imieniem kroniki Wincentego Kadłubka — czyli jak pan B. życzy sobie mieć Bogusławica, to jest, syna Bogusława, chociaż nazwisko Kadłubek bardzo być może zupełnie narodowe. Tych przeto dziejów, jakie Mateusz nakreślił, czystych, nie posiadamy, ale tylko ich przerobienie. Nie wiemy co Bogusławic zatrzymał, co zmienił, co wyrzucił. Czyli Mateusz znał Miorsza? Naturalnie — pan B. twierdzi, ale nie dowodzi. Milczenie Gawła i Bogusławica podobno nie umacnia domysłu o istnieniu owej kroniki Miorsza, o której dopiero w XVI wieku wspomina Warszewicki ogólnie, zgoła nietwierdząc że to miał być nasz najdawniejszy kronikarz.

Pan B. prawie zawsze widzi coś w pisarzach, czego oni sami nie widzieli, o czem oni przeczucia nie mieli.

Mateusz miał odróżnić starożytne sprawy Illiryan, które Miorsz zamięszał i zaćmił przenosząc je nad brzegi Wisły i Odry, a zamięszałby sposobem niewytłómaczonym, jeżeli miał, jako wierzy pan B., kroniki adryatyckich Linchitów czyli Lęchitów. Mateusz wie, że Grak żył, wal-

czył i panował w czwartym wieku przed Chrystusem na południu Dunaju, a nigdy nie był na dzisiejszej polskiej ziemi. Jestto przedmiot pierwszej księgi Mateusza, która bynajmniej nie dotyka właściwej polskiej historyi. Można ją uważać za wstęp. Druga księga zaczynająca się od Ziemowita, jest tylko przejściem do polskiej historyi, zbliżeniem się do niej, chociaż i tu znajdujemy pomięszanie, albowiem nie odróżniono Daków czyli Illiryan, których sam św. Paweł nawracał, i tych Słowian, później Polaków, którym Metody i Kirilli światło chrześciańskie przynieśli.

Pan B. na dowód przytacza śpiew katedry gnieźnieńskiej, która ich wzywa jako apostołów i patronów Polski. Lecz ten dowód nasamprzód za pomocą historycznego wywodu powinien być uczyniony. Należałoby wykazać, kiedy ów śpiew powstał, na jakiej się opiera powadze? O czem pan B. ani słowa nie mówi, ale przytacza inne podanie, aczkolwiek nie pojmujemy jak ono ma wyjaśniać nasze zadunajskie pochodzenie. Metody władcy Wiślicy, czyli Wiślan, poganinowi jeszcze, polecał przyjęcie chrześciaństwa, przepowiedział, że na innej, na obcej nawróci się ziemi: ztąd domniemanie, że Światopełk przeciw temu władcy Wiślicy wojował, że zwyciężył, że zatem ludy tych ziem przeszły na słowiański obrządek, a uległy kierunkowi Wielkiej Morawii. Ta mowa, domyślanie się nie jest bez celu, albowiem pan B. zaraz ustanawia historyczny pewnik, że Polska X i XI wieku to odnowiona Wielka Morawia, a królowie Polski to następcy książąt Wielkiej Morawii.

Legend kościelnych nie lekceważymy bynajmniej — są one odbiciem życia duchowego narodów. Lecz legenda nie jest jeszcze historyą. Radzilibyśmy, aby o tem nie zapominał pan Bielowski z innej strony tak namiętnie uprzedzony przeciw mnichostwu dawnych wieków, przeciw zakonnikom którzy uważani jako uczeni, jako literaci, przechowali dzieła starożytnych, przygotowali to, czem jesteśmy, czem się wyznajemy.

Że coś było, że coś nastąpić mogło, że legenda na jakiemś podaniu się opiera, nie myślimy zaprzeczać. Że część krakowskiej ziemi zakreślona nadaniem biskupom Pragi mogła odebrać pierwsze nasiona chrześciańskiej nauki, że mogła wejść do działań Wielkiej Morawii raczej jako sprzymierzona, aniżeli podbita i zmuszona ulegać władzy Świętopełka, bynajmniej nie upoważnia twierdzić, że kraj gnieźnieński był nawrócony i poddał się rządom Wielkiej Morawii. Pan B. zawsze widzi więcej, aniżeli widzieć wolno. Legenda mówi tylko, że św. Metody wzywał kniazia Wiślicy, a milczy, że nawrócił, milczy, że lud przynajmniej pozwolił się ochrzcić. Owszem legenda raczej wyznaje, że wzywania Metodyusza żadnego nie przyniosły skutku. Konstanty Porfirogenita bardzo bliski tych czasów a dokładnie objaśniony, najwyraźniej zaświadcza, że Chrobaci byli poganami. Jednym przeto czasem niweczy domysły i zapiski, jakoby Mieczysław chrzcony słowiańskim obrządkiem dopiero później został chrześcianinem wedle zachodniej nauki. Nie byłże Bolesław Wielki *natus perfido patre*, jak mówi grobowy napis? Wedle pana B. *perfidus* nie ma oznaczać poganina, jeno zwolennika słowiańskiego obrządku, wscho-

dniej cerkwi. Jestże to krytyka historyczna, wstęp krytyczny do polskiej historyi?

W drugiej księdze Mateusz idzie jeszcze za Miorszem, ale więcej za Gallusem — *przerabia*, *skraca*, *powtarza*, *dorywczo*, *niedbale*, a czyny zkądinąd dobrze znane, *koszlawi najdziwniej*. Lecz kiedy tenże sam Mateusz zadunajskie opowiada rzeczy — Mateusz *wiarogodny*, *zachowawca najprawdziwszych podań* o naszych pierwotnych początkach na IV wieki przed Chrystusem! — Czasy, a przynajmniej ostatnie lata Bolesława III, Władysława II i Bolesława IV, Mateusz opowiadał sam przez siebie, z własnych czerpał wiadomości. Lecz należy zawsze pamiętać że pierwopism Mateusza zaginął; mamy tylko przerobienie przez Bogusławica. Ważność zatem Mateusza co do przedchrześciańskich polskich czyli zadunajskich dziejów, jest wielce podejrzaną. O tej ważności Mateusza sam autor ma bardzo rozsądne wyobrażenie, wyznające, że Mateusz prostował Miorsza, że Gawła skrócił ladajako, a dopiero opowiadał pewnie i wiarogodnie to, na co sam patrzał. A dla czegoż taka wiara, takie wysokie znaczenie dla Mateuszowych zadunajskich powieści — wedle Joachima Lelewela spisanych, jakoby na żart, a wedle pana B. wyjaśniających tajemnice naszych początków?

Po Mateuszu biskupie krakowskim, wziął pióro historyczne także biskup Krakowa Wincenty Kadłubek, czyli Wincenty Bogusławic zakonnik Cystersów Jędrzejowa, pierwszy Polak przyjęty przez zgromadzenie dotąd złożone z Niemców albo Francuzów — dziwne nadużycie, które się jeszcze przedłużało nawet do XV wieku.

Nazwanie Kadłubka, Kadłubowica, syna Kadłubka, pan B. wyprowadza następnie. Niemcy, imię syna Bogusława, Bogusławica wykrzywili najpotworniej. Był on dla nich Gottlobem, a dla Polaków Katlubem, wywód dowcipny, ale czy stosowny? Jestto subtelność. Nam się niepodobnem wydaje, aby Wincenty biskup Krakowa nie umiał dokładnie podać swojego nazwiska, a zakonnicy chociaż Niemcy usłyszeć i przepisać dokładnie. Pięknie, łatwo i uczenie przedstawiony żywot Bogusławica, czytelnikom musi być znany. Bogusławic mianowany proboszczem Sandomierza między 1186—1194 szanowany i miłowany przez Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego otrzymał biskupstwo Krakowa 1207. Towarzyszył Salomei wydanej za Kolomana, która z nim mieszkańcom Halicza panować miała 1214. Lecz jeszcze nie nadszedł czas wprowadzenia do polskiej jedności tych ludów zbłąkanych podbojem normandzkim i wschodniem wyznaniem.

Salomeja uwięziona — a Bogusławic musiał uciekać.

Bogusławic był głęboko przenikniony cnotami, jakie za szczyt i kwiat chrześciańskiej uważają się nauki. Osobisty majątek oddał klasztorom — hojnie rozporządzał dochodami biskupiemi, a godności duchowne udzielał uczonym i pobożnym. Gorliwy kapłan umiał być dobrym obywatelem. Wzniecił się wielki spór o to, co mianowano swobodami kościoła, Wincenty biskup Krakowa, kiedy kraj potrzebował, pozwalał, aby dobra du-

chowne obładowano ciężarem. Szarpany pono (bo nic pewnego w tej mierze niema) za ustąpienia, które prawom kościoła miały być szkodliwe, złożył biskupstwo 1218 i jako zakonnik Cystersów Jędrzejowa skończył dni swoje r. 1223. Wincenty Bogaławic przerobił trzy pierwsze księgi Mateusza, korzystał z nich. Wielka, a na owe czasy zasłużona wziętość, której dostąpił Wincenty sprawiła, że pierwopism Mateuszowy zaginął, zdaje się na zawsze. Rocznik przy kronice Miorsza nazywa Bogusławica najuczeńszym w świecie. To za wiele. Lecz że był uczonym, że przez nauki dostąpił dostojeństwa — że był między pierwszemi umysłami swego czasu, że wszędzie objawia wysokie moralne uczucie, że ujmuje i podnosi czytelnika, to wszystko przyznajemy najchętniej. Naśladowca, zbieracz, przerabiacz, nie więcej wiedział nad swego poprzednika o dawnych sprawach, za to ważny, ujmujący i wzniosły, chociaż często we formie szorstkiej i nie wykończonej, kiedy we czwartej księdze opisuje to, co sam widział, do czego sam wpływał.

Jest to prawdziwy trud czytać i rozumieć Bogusławica, obfitującego w zagadkowe i subtelne pomysły i wyrażenia. Tej piękności pojmowania i przedstawiania przyznanych Wincentemu przez pana B. jesteśmy mu zmuszeni odmówić, a znowu nie zatwierdzimy wyrzutu jakoby Bogusławic nie był krytycznym, — wymaganie dziwne, — albowiem ani wzniesienie się naukowe owych wieków ani nawet dostatek źródeł nie były takiemi, by nawet najuczeńsi mieć mogli pojęcie historycznej krytyki, której dziś nie jeden uczony, swobodnie, lekko używa czyli raczej nadużywa. Naszem zdaniem, Wincenty jako pisarz, ani świetnych pochwał, ani przykrych nie zasłużył nagan. Uczciwemu Niemcowi Bartoldemu, dość zajmującemu historykowi Rugii i Pomorza ukazał się Wincenty jako Dante. Słuszniej uważa pan B. że Wincenty Kazimierza II za idealnie przedstawił, chociaż nazwy *Sprawiedliwy*, gdyby ona złudzeniem lub pochlebstwem być miała, byłoby nie przyjęło podanie albo sumienie narodowe. Kilka rysów pozwalają wnioskować o rzeczywiście pięknym, o religijnym umyśle Kazimierza.

Nie wiemy dla czegoby wizerunek Mieczysława nazwanego *Starym* miał być więcej satyrycznym aniżeli historycznym. Wszakże Wincenty nazywa Mieczysława *principem summæ magnanimitatis*, a syna jego również Mieczysława *juvenem permiræ tam industriæ quam elegantiæ*. Ale on kapłan historyk i Polak, miał obowiązek pozostać surowym, a raczej sprawiedliwym przeciwko nadużyciom i gwałtom, jakich sobie pozwalał Mieczysław stary.

Podżegacz wojen domowych, łamiący najłatwiej uroczyste przysięgi, miłośnik nadużyć i łdzierstw, był osądzony słusznie, moralnie, chociaż pod względem politycznym jest co by na usprawiedliwienie, a przynajmniej na zrozumienie Mieczysława Starego mogło być powiedziane, i co słuszność nakazuje powiedzieć. Mieczysław pragnął odnowienia, raczej zaprowadzenia mocnej monarchii, utrzymania narodowej jedności — pomysły wielkie, ale zawczesne, do których się jeszcze nie była usposobiła polska społeczność, które się rozwinęły i urzeczywistniły swobodnie i pięknie w XIV

wieku. Mieczysław chciał uskutecznić gwałtownie to co jedynie być mogło wypadkiem organicznego i swobodnego rozwoju. Wincenty nie lękał się obrażenia tych, których jeszcze żyjących bez gniewu i pochlebstwa wiernie i niepodlegle przedstawił, a ocenił przez wysokie moralne uczucie. Służył prawdzie, chociaż wiedział, że prawda wzbudza nienawiść, a niekiedy na tego od którego wychodzi sprowadza prześladowanie. Wszakże pod koniec życia schronił się do klasztornej zaciszy, może przed niechęciami, może na zbudowanie dzieła, z którego długi czas Polska czerpała duchowe życie. Był czytany, wykładany i objaśniany we wszystkich szkołach, a jeżeli wyłączymy Długosza, nie wyrównali jemu krytyczniejsi i gładsi kompilatorowie XVI wieku. Panowanie Kazimierza Sprawiedliwego, przedstawienie zdarzeń prowadzonych do chwili kiedy Władysław Laskonogi księstwo Krakowa, a razem zwierzchnictwo nad polskiemi obejmował ziemiami — i my nazwiemy pięknym pomnikiem naszego kronikarstwa.

Pierwopisu kroniki Bogusławica nie posiadamy, a najdawniejszy odpis jest ze XIV wieku, ale odpis zepsuty wtrętami, omyłkami, opuszczeniami. Pan B., który widział przeszło dwadzieścia rękopismów wynurza nadzieję, że porównanie tych rękopismów i innych, które jeszcze mogłyby być wynalezione, dozwoliłoby odbudować czysty prawdziwy text, praca ogromna, albowiem najważniejsze rękopisma porwali cudzoziemcy, a użycie ich utrudnione nadzwyczajnie. Biblioteka petersburska, założona i powiększona włączeniem innych polskich bibliotek, ma tylko pięć rękopismów, a tyle ich uwieziono, bez korzyści dla samejże Moskwy. Łupy oświaty, której nie utworzyła, a na której zatracenie wszystkich użyła gwałtów.

Rękopim kurnicki najważniejszy. Jakiś objaśniacz czyli przepisowacz umieścił wyraźnie: „że autorem czwartej księgi Vincentius Cadlubonis vulgariter appellatus.“ Jan hrabia Tarnowski rękopism kroniki Bogusławica, który posiadał we swej książnicy Dzikowa, kazał oprawić w czerwony aksamit, opatrzyć klamrami kosztownemi, po rogach ustawić srebrne wieńce a na środku okładki wizerunek pięknej roboty — czyj — pan B. nadmienić zaniedbał, lecz zapewne Wincentego biskupa Krakowa. Książnica uniwersytetu Krakowa ma ośm rękopismów. Siedem innych znanych zginęło, albo je ukryto. Nie tracimy nadziei, aby nowe odkrytemi być nie miały.

Z porównania tych rękopismów pan B. wyprowadza następujące zdanie: Kronika Bogusławica doszła nas zmieniona szkaradnie, jedne wyrazy dodawano, drugie wykreślano, a skrócenia są takiej natury, że jedén i tenże sam wyraz podwójnie czytać i rozumieć można. Czytelnik na boku pisał swoje uwagi, a przepisowacz wcielał je do tekstu. Imiona własne ludzi i krajów przekręcano potwornie na czasowniki, albo na wyrazy bez znaczenia.

Teraz, my uczonego autora znowu pytamy: Jestże krytycznem, jestże dozwolonem, na kronikach tyle niepewnych, tyle pofałszowanych, budować teorye o pochodzeniu Polaków, czyli Słowian; ustanawiać czyny, które przed piętnasto wiekami zajść miały, czyli tylko zajść mogły? Są to marzenia uczone zapewne, wyłożone najpoważniej, ale zawsze marzenia. Jo-

achim Lelewel nazywa je *żartem*, jako nawzajem pan B. dociekania Lelewela nieskończenie rozważniejsze i podobniejsze także żartem mianuje.

Boguchwał biskup Poznania, jest autorem kroniki pisanej między 1245 a 1253 rokiem, kiedy dni swoje zakończył. Boguchwał wymienia dwa źródła swej pracy, opowiadania innych i roczniki które po wielu znajdował kościołach. Czytał istniejące jeszcze wówczas pamiętniki Piotra Włostowicza. Boguchwał ogólnie dotykał dawnych zdarzeń, ale jest ciekawym i obszernym kiedy przedstawia sprawy Wielkopolski, które znał dokładnie, do których musiał wpływać jako wysoki dostojnik kościoła — a zatem członek ciała które senatem, zawiązkiem senatu nazwaćby można. Dotąd był znany jeden rękopism kroniki Boguchwała nazywany Hodiejowskim, po swoim właścicielu Hodiejowskim podsędku królestwa Czechów. Gelazy Dobner, ostatnich lat przeszłego wieku miał ten rękopism, początek wydrukował, ale wypuścił resztę, zaś ów rękopism dotąd nie jest odszukany. Jest tylko domysł że przeszedł do książnicy klasztora Pragi, a wejście do niej niepodobnem zrobiono.

Godzisław Baszko przez pana B. odzyskał swoje prawdziwe nazwisko Godysław Pasek — a był kustoszem poznańskiej katedry we środku XIII wieku. Ochrzcił 1257 Przemysława, który później koronował się królem Polski i wziął początkowanie odbudowania politycznej jedności państwa, albowiem Polska mimo roździałów nie przestała być jednym narodem. Pasek pisał kronikę na wezwanie swego biskupa Boguchwała, na którym głównie opiera opowiadanie, zmieniając, rozszerzając, a nie zawsze szczęśliwie. Czyny między 1250 rokiem na którym Boguchwał urywa a 1272 Pasek sam przez siebie przedstawił. Jest to część najważniejsza dla właściwej historyi Słowian, ale także i dla tej teoryi o pochodzeniu Słowian, na której poparcie pan B. wyszukuje i przyjmuje wszystkie dowody, a raczej to, co przez wielkie nadużycie nazywa dowodami. Kronika Paska ma dziwne wtręty, dopiski, powsuwane przez czytelników i przepisywaczy. Niepodobna ustanowić, co należy Paskowi, a co Bogusławowi, a co tym, którzy po nich a na ich odpowiedzialność i pod ich imieniem dokładali.

To uważa sam pan B., a jednak w tej przerobionej, pofałszowanej kronice odkrywa ciekawe a ważne napomknienia, „o pierwotnych dziejach Illiryjskich“ — które do naszych dziejów koniecznie usiłuje przyczepić. Naprzykład: kraj, który teraz nazywamy Węgrami, ma być miejscem z którego wyszły wszystkie słowiańskie narody. Pasek tych dawnych Panonów czyli Słowian wyprowadza od Jawana wnuka Jafeta, takiż sam rodowód Appian Dakom naznacza, a ztąd pan B. loiczny ale tylko dla siebie wyprowadza wniosek, że Słowianie Dunaju o których mówi Nestor, a Dakowie ustępujący przed Trajanem, są jednym i tymże samym narodem.

Konstanty Porfirogenita zna książęta Wielkiej Chrobacii, zna ich także legenda Metodyusza. Pasek wymienia Wisława księcia na Wiślicy, Waltera pana na Tyńcu, zna Popielów których także wzmiankuje śpiew czyli sąd Lubuszy — dowód stanowczy przeciw panu B., że Popielowie

są miejscowem, czesko-polskiem podaniem. Ród Popielów przetrwał do Bolesława IV, zawsze nieprzyjazny Piastom, a Piastów, a założyciela tej rodziny, pan B. za Dunaj przenosi, wyrzuca ich z naszych podań i historyi. Zgadzamy się chętnie na to, że Boguchwał i Pasek oprócz Mateusza i Gallusa jeszcze inne źródła mieć mogli, znać czyny przez innych pominione — dowodem darowizna Bytomia i Oświecimia książętom szląskim, uczyniona przez Kazimierza Sprawiedliwego, a nieznana Wincentemu. Niepodległość zdania o Bolesławie Śmiałym czyli wspaniałym, i my szanujemy, tem bardziej, że Pasek był duchownym. Pasek miłował ród Odoniczów — w swojej kronice mówi o nich ze czcią, jednak nie zataja, że Władysław Odonicz był wspólnikiem mordu Leszka Białego. To dobrze. Lecz jakiżto ma związek z tem, ku czemu pan B. wszystko naciąga, że Graka czyli Kraka, że Przemysława, że Leszków z właściwej polskiej historyi trzeba wyrzucić, a przesadzić za Dunaj, do Illiryi, do Trakii, przymięszać do Linchitów, do Autariotów.

Pan B. wymienia siedem rękopismów kroniki Paska wydanej przez Sommersberga, Załuskiego i Miclera, a wytłómaczonej na polski język przez Kownackiego r. 1822. Pan W. A. Maciejowski zapowiedział nowe, oczyszczone, sprostowane wydanie tej kroniki, do której i on także, ale z innych względów, przywiązał ogromne znaczenie.

Między źródłami których użył, pan B. stawia także dzieje węgierskie przez Gwidona, źródło dosyć nieczyste i odległe — ale wiemy, uczony autor przyjmuje wszystko co tylko napotka. Gwidona wydał r. 1848 Endlicher w zbiorze dawnych węgierskich pomników.

Abul Hasan Ali Kotbedden, Arab przezwany Masudym, jeden między najuczeńszemi swego czasu, życie całe poświęcił naukom i podróżom — mianowany arabskim Herodotem, kwitnął przy końcu IX, a umarł we środku X wieku, naówczas kiedy się zawiązowały trzy wielkie słowiańskie jedności: czeska, polska i ruska. Uczony, znał i zebrał żyjące jeszcze między Słowianami podania. *Łąka złota i kopalnia klejnotów* Masudego są właściwie ułamkami i wyciągami dwóch innych jego dzieł *Powieść czasu* i *Księga średnia*, w których on obszernie wyłożył sprawy słowiańskie.

Dotąd nie odkryto tych ostatnich dzieł niewątpliwie najważniejszych dla początkowej historyi Słowian — ale można mniemać, że ich odkrycie nastąpi — co poruczamy gorliwości tyle zaszczytnie znanych oryentalistów, panów Kaźmirskiego i Al. Chodźki.

Masudy nadmienia, że sami Słowianie mianowali się potomkami Jafeta i syna jego Madaja, wspomina o wspaniałych słowiańskich świątyniach, o mędrcu, który rządził Słowianami. Należałoby wnioskować, że Masudy brał swoje wiadomości z ust samychże Słowian, z ich podań, z ich pism — może; — lecz nie, Pan B. raczej przypuszcza, że Masudy ma powtarzać to jedynie, co Strabo, co Jornandes, co greccy albo rzymscy pisarze o Słowianach podali. Gdyby to przypuszczenie prawdziwem być miało, pisma Masudego chociażby je i odgrzebano, nie wieleby przyniosły korzyści, albowiem Grecy i Rzymianie, dalszej, głębszej, zakarpackiej do-

kładnie nie znali Słowiańszczyzny, a prawdopodobnie znał ją i mógł znać Masudy, któremu także pan B. zarzuca, że nie wiedział co przedstawiał, że jego podania na południe Dunaju przenieść należy.

Tożsamość Getów, Daków i Słowian pan B. opiera na świadectwach najpodejrzańszych, których świadectwami historycznemi nazywać nie podobna, które nasamprzód ugruntować należy. Dajemy przykład: Focyusz patryarcha konstantynopolitański żyjący we środku IX wieku, pisze: że starożytność Słowian nazywała Getami. Z tego ogólnika nie popartego niczem, pan B. wyprowadza zatwierdzenie swojej teoryi — wedle nas wyprowadza za bardzo fałszywie.

Prokop i Jornandes pisarze VI wieku mówią o Słowianach jako o narodzie dawniej bardzo mało znanym, po raz pierwszy wychodzącym na południu Dunaju, a przecież Jornandes i Prokop, ostatni szczególnie, byliby niezawodnie wspomnieli, że to są Getowie albo Daki, byliby natychmiast poznali dawnych mieszkańców Dakii, przyjęliby tożsamość, a przynajmniej podobieństwo, pokrewieństwo chociażby odległe Słowian i Daków. Ale nic i nic — żadnego dowodu, ani domysłu. Focyusz wiedział, a żyjący przed nim — bliżsi czasów wiedziećby nie mieli! To, co Masudy zostawił o Słowianach, aczkolwiek ułamkowe, zajmuje najżywiej. Odróżnia Słowian i Russów, Normandów, Waregów, dwa narody, zupełnie odmienne, nieprzyjazne. Masudy niezna ruskiej monarchii — nie było nawet jej początków. Ruska monarchia, jestto wynalazek daleko późniejszy, — kiedy Moskwa wzniosła się do wielkości o której nawet marzyć nie śmiała. Ruś, nazwa polityczna, ale nigdy narodowa, przedstawia się Masudemu podzielona na liczne niepodległe ziemie, rządzona przez własnych, przez domowych książąt, naczelników, wojewodów, taka sama jaka objawiała się Prokopowi, jaką ujrzeli Niemcy wdzierający się do niej, na wschodni brzeg Elby czyli Laby. We wieku dziewiątym, Masudy niezna północnej Rusi, Nowogrodu, a Kijowa z Rusią nie mięsza. Kijow naówczas był jeszcze samoistny, rządzony przez Dira, którego Masudy nazywa Malek-ul-Dir. Miał on być najpotężniejszym władzcą, naczelnikiem, niezawodnie wezwanym, wybranym przez Słowian — albowiem byłoby niewytłómaczonem przypuszczenie jakoby drobne normandzkie drużyny podbić, ujarzmić miały mnogich a walecznych Słowian. Kijow, kraj pięknie uprawiony, a handel tyle rozległy, że nawet Andaluzyi dotykał — dowód — ile jest fałszywem mniemanie, jakoby Słowianie przed poznaniem zachodu dziczą rozrzuconą po lasach być mieli, — dowód również przeciw drugiemu domysłowi, jakoby Słowianie Kijowa i Nowogrodu bardzo nowemi być mieli — wedle Joachima Lelewela we czwartym albo szóstym wieku. Masudy dziwnie poświadcza i usprawiedliwia Nestora, który owe polskie ziemie, uważa za kraj najwykształceńszy, za pierwszy między Słowianami. Jakichże objaśnień nie należałoby się spodziewać o dawnych Słowianach, jeżeliby kiedy obszerne dzieło Masudego odkrytem być miało! — Masudy opisował co widział, to co sam słyszał z ust samychże Słowian, a może i miał ich własne piśmienne pomniki; albowiem jesteśmy tego przekonania, że Słowianie przed ułożeniem Kirylicy, pisali, mieli własny alfabet — nie karby,

nie same runy, albo jakie nacinania; — mieli własny alfabet, najpodobniej Głagolicę. Słowiańszczyzna pokazała się Masudemu, podzielona, niezgodna, a między jej krajami, nazwy Czechy i Polska jeszcze nie istniały, a przynajmniej przez obcych przyjętemi nie były.

Masudy wiedział atoli o czasach, kiedy Słowianie składali jeden ogromny naród nazywany Welinana. Ich król, naczelnik, Madżek, był naczelnikiem najwyższym między innymi naczelnikami wielkiej słowiańskiej rzeszy, albowiem Słowianie nigdy królów mieć nie chcieli.

O tej właśnie słowiańskiej rzeszy pod Madżekiem Masudy mówił obszernie we swoich dwóch dziełach dotąd nieznanych *Powieść czasu* i *Księga średnia*, o których najpożądańszem odszukaniu jeszcze wątpić nie trzeba.

Joachim Lelewel pilnie się zastanawiał nad temi podaniami Masudego. Owoż godzi się przedstawić te poszukiwania uczynione przez męża który nachylony latami a zawsze najcierpliwszy szperacz, nie przestaje wzbogacać literatury narodowej ważnemi dziełami.

Oto tłómaczenie i domysły o Masudym podane przez Joachima Leewela.

Najliczniejszym słowiańskim narodem wedle Masudego mieli być Luzajet, Luzija, Luzana, Ludzana, Ludhana, handlujący w Andaluzyi, w Konstantynopolu, z Kozarami. Do Korduby szło poselstwo słowiańskie r. 955. Tych Luzana czytanych rozmaicie, Lelewel uważa za Łuczan nad Styrem — domysł nie bardzo szczęśliwy; może byłoby stosowniej rozumieć Łęczycanów, tych samych, których Niemcy przekręcili na Licicavici, a którzy utworzyli pierwszy zawiązek polskiej społeczności. Nazwy Ludzana, Ludhana, napomykają domysł o Ligiach, o Lachach nawet. To nie jest niepodobne — albowiem Masudy, Arab, do niepoznania wykręcał i koszlawił słowiańskie imiona — a przytem arabski sposób pisania upoważnia najniepodobniejsze czytanie, naprzykład: Zentabir i Rautbir — Menabeni i Menani.

Jaki lud słowiański rozumieć przez Welinana? Kto to był jego naczelnik Madżek? Nawet Joachim Lelewel tyle lubiący rozwikłować historyczne plątaniny i zagadki, nie śmie się upierać przy Wołynianach. Dwie były chwilowe jedności, pod Samonem zmarłym 658 i pod Światopełkiem zmarłym 894 r. Lecz z tych Welinana bardzo niebezpiecznie przechodzić do Morawian, a z Madżeka trudno wnioskować na Światopełka. Madżek coś raczej przypomina Mieszka, Mieczysława; a jakiego? Inny domysł także nie byłby nienaturalnym: Samo, Samek i Madżek, nazwa, która różnym słowiańskim władzcom wspólną być mogła.

Tych poszukiwań, tych domysłów nie zabraniamy, nie naganiamy, szczególniej kiedy je popiera nauka rozległa, jakiej posiadanie wykazał pan B. Czegoż nie upoważniamy? Aby domysłom i poszukiwaniom nadzwyczajnie niepewnym nie przyznawać nazwy krytyki, historycznej umiejętności.

Powtarzamy, opisanie i ocenienie źródeł, z których pan B. dla swojej teoryi czerpał usprawiedliwienie i dowody, bardzo się nam podobają. Pan B. powołał także inne świadectwa, innych pisarzy, za któremi

chodził nawet do Szkocyi, do legend anglosaxońskich. Praca ogromna, a jednak wykonana łatwo i wdzięcznie. Odczytana przez nas trzykrotnie nie nużyła nas, nie przykrzyła się nam. Pan B. uczynił wszystko, co tylko można uczynić na ustanowienie swojej teoryi, której byłby dowiódł, gdyby ona dowiedzioną być mogła. Trud atoli w głównej kwestyi jest stracony. My przynajmniej nabyliśmy przekonania, że takie pochodzenie Słowian, takie początki Polski, jakie przedstawia pan Bielowski, na zawsze odrzucić należy.

Teraz damy naprzód ogólne zebranie, ostatnie wypadki tej teoryi, tych domysłów o pochodzeniu Słowian — o pierwszych zawiązkach naszej rzeczywiście polskiej historyi. Następnie, wskażemy badania i dowody, które pan B. powołał na utwierdzenie swojej teoryi, na przekonanie przynajmniej siebie, że ona jest prawdziwa.

(Dokończenie nastąpi).

O MAGII

A W SZCZEGÓLNOŚCI O STOLIKACH

NAUK DWIE

X. PIOTRA SEMENENKI.

NAUKA I.

DOGMAT KOSCIELNY

O SZATANIE I JEGO STOSUNKACH Z LUDŹMI.

(Nauka miana w Rzymie, u. ś. Klaudyusza, 19 kwietnia 1857).

Najmilsi Bracia!

Przedmiot z którym dziś do was przychodzę, rzadko jest wnoszony na kazalnicę pańską; tym przedmiotem jest Szatan, i jego działanie, jego stosunki z ludźmi. — A dla czego taka rzadka o nim mowa? Nie powiadam: w miejscach gdzie wiara kwitnie; ale tam gdzie wiara wystygła, albo jej już nie ma, tam właśnie gdzieby ta mowa była najpotrzebniejszą? Dla czegoż tedy taka rzadka? krótko powiem: bo się ten przedmiot nie podoba. — A dla czego się nie podoba? W tem właśnie leży zagadka. — Lecz tę zagadkę łatwo rostrzygnąć. Dosyć mi spojrzeć na tych którym się ta rzecz nie podoba, na tych którzy o Szatanie nic słyszeć nie chcą. Widzę ich: są to nieprzyjaciele Boży! skryci czy otwarci; ale nieprzjaciele. O! więc wiem dla czego zamykają sobie uszy, dla czego od tej mowy uciekają. Odrzucają oni Boga, nie chcą mieć Pana dobrego; więc tem bardziej nie chcieliby mieć złego, tem bardziej nie gadaj im o Szatanie! Przyznaję: z logiką postępują! Ale logika pragnienia i woli, zbyt często nie jest logiką rozumu, logiką prawdy; a tu zgoła nią nie jest.

Przychodzę więc dzisiaj z logiką rozumu, ale rozumu opartego na wierze, dowieść wam naprzód że jest Szatan, i całe wojsko podwładnych mu duchów; przychodzę pokazać czem on jest, jaki jego początek, jaka natura, jakie działanie. To pierwsza rzecz z którą dziś do was przychodzę.

Lecz dla czego przychodzę? Czemu nie naśladuję tych ostrożnych mistrzów, tych wyrachowanych stróżów, tych psów niemych co wolą milczeć niż na złodzieja szczekać, już nie wiem dla jakich powodów? — Jakto? milczeć? I dla czego proszę? Czy żeby nas nie poczytano za nieuków? Mnie się zdaje że to największy zaszczyt, jaki może spotkać od ludzi pozbawionych prawdy! Czy żeby się z nas nie śmiano? O mój Boże! co mi to za śmiech co się za chwilę przemieni na zgrzytanie zębów! I ja także mógłbym się z nich śmiać doprawdy, i to bezpieczniejszym śmiechem, gdyby mi jedno tak serdecznie żal ich nie było. Więc milczeć nie będę. Owszem mówić będę: bo na to dał nam Bóg miłość do serca, abyśmy w każdej potrzebie prawdę jego w ustach nosili i głosili światu. Mówić będę, i to dzisiaj: bo i potrzeba jest dzisiejsza. — Wielka zaiste, obecna, rzeczywista potrzeba! Szatan dzisiaj stóma swemi językami odezwał się po świecie, i odzywać się nie przestaje, gada po wszystkich jego kątach; a mnóstwo ludzi, tłum nie ostrożny, między którym wiele dusz lepszych ale nieroztropnych, słucha go, i pyta, i rozmowę z nim prowadzi, — i nie wie co czyni! Nie wiedzą do jakiej gry śmiertelnej ręce przyłożyli, i jak ten wir szalony, który się pod ich palcami rodzi, i samych pochwycić może; i coraz mocniej, a bliżej i bliżej kręcąc, wciągnąć do przepaści! My na to patrzymy, niestety! i mielibyśmy milczyć? Nie, żadną miarą. — I dla tego jużeśmy głos podnieśli byli, i znowu podnosimy; bo się złe nie skończyło: owszem, gdzie niegdzie pokazuje się z natężoną mocą i w potworniejszej postaci. I nietylko złe się nieskończyło, ale dla wielu jeszcze się nie rozjaśniło! Nie wiedzą jeszcze co ono znaczy, nie przypuszczają kto tam na dnie; albo też nie chcą wiedzieć, nie chcą przypuszczać!

Więc druga rzecz z którą przychodzę, jest zastosowanie nauki kościelnej do tego zjawiska, co się dziś tak po świecie jak jaka zaraza rozlało. Do tego potrzeba mi wam naprzód w ogólności wystawić jaki być może i jest stosunek człowieka z szatanem i szatana z człowiekiem, co o nim wyrokuje nauka katolicka, jakie tego stosunku warunki, jaka natura, jakie następstwa. To będzie przedmiotem drugiej części mojej do was mowy dzisiejszej.

W następnej mowie, jeśli da Bóg! zostanie mi zstąpić bliżej do samego tego zjawiska które nas zajmuje, i pokazać wam ze wszelką pewnością, jaką wiara daje, że i to zjawisko, i wszystkie jemu podobne, są koniecznie stosunkiem z Szatanem, i czem innem być nie mogą.

Najmilsi bracia moi! Tuszę sobie w Bogu że między wami nikogo nie ma, coby do tej roboty niepobożnej rękę przykładał; a jeśli kto w początkach co podobnego przez niewiadomość mógł uczynić, ufam w Bogu że się już dawno spostrzegł, i tej niedobrej praktyki zaniechał. A jednak wszystkich proszę: słuchajcie! Może nie wiecie wszystkich zasad, wszystkich przyczyn, wszystkich powodów i dowodów: tylu ich nie wie! — A kiedy dobrze wiedzieć będziecie: sami roztropniejsi, sami mocniejsi, nauczycie innych, oświecicie, pokrzepicie, a może da wam Bóg dobry ocalić kogo i zbawić!

I.

Przedewszystkiem mam wam dowieść, bracia moi, że jest Szatan, a dowieść dowodami wiary. Przepraszam z góry że takiej rzeczy będę wam dowodził, tak zdaje się prostej, tak niewątpliwej. Wiem że wy o niej nie wątpicie, że dla was to dowodzenie nie potrzebne; ale wzdy miejcie litość nad tylą duszami do których ono potrzebnem być może, do których niestety, jest potrzebnem i bardzo potrzebnem. — Będę tedy dowodził tego, i to dowodami wiary.

A dla czego dowodami wiary? Bo tu filozofia nic nie pomoże. Filozofia nie może ani dowieść, ani zaprzeczyć istnienia Szatanów. Jużto wiem że o dowodzenie nie bardzo się troszczy, chciałoby się jej raczej zaprzeczyć; ale darmo, i tego nie może. I to nad jej siły. Rzecz prosta: Istnienie złych duchów jest rzeczą faktu, czynu; nie rozumowania: nie trzeba go dowodzić; dość jest pokazać. — Szatany są, bo są: niech mi teraz filozofia dowodzi że być nie mogą!

Zresztą filozofia nie dowodzi nawet tego; twierdzi tylko, i myśli że dosyć. Szukałem w filozofach dowodu na to że niema istot czysto duchowych, aniołów lub szatanów, szukałem, nie znalazłem ani śladu. O nie! Filozofia nie zstępuje tak nisko aby miała wszystkiego dowodzić; byłoby to z ujmą jej godności! Ona za wielka pani żeby nie miała kredytu u wszystkich, żeby jej nie miano na słowo wierzyć; powie ci: Tak jest jak mówię, i dosyć! A ty jeśli chcesz być filozofem, schyl głowę, mój kochany, i słuchaj! Inaczej nigdy filozofem nie będziesz!

O! dzięki Bogu! już mijają te czasy w których tak na słowo wierzono bałwanowi temu! *) Już dziś nie pomogą te pańskie śmiechy które s obie filozofia przez lat tyle stroiła z duchów i djabłów. Sami jej dawni zwolennicy już dziś mówią do niej: Dosyć tego choćby dla samego wstydu! Patrz! tu z drugiej strony stoi rzeczywistość, stoi niewątpliwa, jasna, wyraźna; a rzeczywistość to co innego niż twoje słowa i twoje śmiechy!

A zatem rzecz krótko odprawmy z filozofią: rzeczywistości zaprzeczyć nie może, wytłómaczyć jej nie umie: więc niech się usunie! Nie jej to tłómaczyć rzecz całą o złych duchach. Ona tu nic nie ma do czynienia!

Lecz może doświadczenie ją zastąpi? Może sam rozum wszystkie te czyny rozpatrując przyjdzie do wniosków rozsądnych i pewnych? I to nie. Te czyny należą wszystkie do rzeczy i wypadków z istoty swojej nadzmysłowych; doświadczenie w zmysłowych rzeczach służy nam za przewodnika; ale w nadzmysłowych być nim nie może, nie ma do tego prawa, nie ma

---

*) Oczywista że mówię o złej filozofii, i że złą tylko tak nazywam. Co już z tego samego się pokazuje że mówię o filozofii która twierdzi, a nie dowodzi; która myśli że dość jest smiać się ze złych duchów, aby ich już nie było. — Zresztą taką filozofią jest wszelka filozofia, która się nie zgadza z wiarą chrześciańską.

żadnego prawidła, nie ma kamienia probierczego. — Jedno objawienie, jedna wiara może nam dać niemylne podania, wiadomości, zasady, prawidła, a zarazem wnioski w całej tej rzeczy. Więc idźmy do wiary po odpowiedź, po naukę; idźmy po nią do samego Chrystusa.

Wiemy tedy gdzie mamy o tę rzecz się pytać. Ale teraz, jak się tu pytać? Czy to nie będzie zuchwałością pytać się czy jest szatan? Czy nawet nie będzie niedowiarstwem samo takie pytanie? — Lecz po co się tu pytać? Słuchajmy tylko! Oto proszę was: przenieśmy się razem w onę chwilę, o której mówi Ewangelia, kiedy siedmiudziesiąt dwu uczniów, wysłanych przez Chrystusa Pana do wszystkich wsi, i miast, i miasteczek żydowskiej ziemi, aby tam przepowiadali Ewangelię, wróciło oto z poselstwa swego. Patrzcie jak wszyscy weseli, jak się cieszą niezmiernie, jak się chwalą przed mistrzem swoim, i mówią: Panie, djabli sami poddają się nam w imię Twoje! To najważniejsza rzecz dla nich z którą przyszli. Wtedy im Pan Jezus uroczyście powiada: Widziałem, prawi, widziałem szatana jak błyskawica spadającego z nieba! Czy słyszeliście? *Widziałem!* powiada. Czegoż więcej potrzeba? Czy jeszcze szukać jakich dowodów na to że jest szatan? Toć mamy tego który widział: mamy widza, mamy świadka; i to jeszcze takiego widza, i to takiego świadka! — O! możemy mu wierzyć doprawdy: i biada temu któryby mu nie wierzył!

„Widziałem, prawi, szatana jak błyskawica spadającego z nieba.“ W jednem słowie macie odpowiedź i na to, że jest szatan, i na to, kim on jest. Był w niebie, i spadł z niego jak błyskawica. W tem cała istota szatana. Ale to potrzebuje kilku słów tłómaczenia.

Naucza nas wiara święta że zanim stworzył człowieka, Bóg stworzył anioły, czyste duchy, obdarzone rozumem i wolą; a stworzył na to aby Go, Stwórcę swego, rozumem znały, a wolą kochały i oddały Mu się zupełną miłością; przez co Bóg miałby w nich swoją wieczną przyjemność i chwałę, a oni w Nim swoje wieczne szczęście. — Lecz aby dojść do tego ostatniego celu, wszystkie te duchy musiały przejść przez pokusę: konieczność pokusy leżała w samej sile rzeczy, bo te duchy były wolne, a wolne były dla tego samego że miały rozum; więc musiały z dobrą wiedzą i z pełną wolą albo do Boga się obrócić albo do samych siebie. W tym przeto celu Bóg się im objawił jako ich koniec, jako przedmiot konieczny i wiekuisty ich wiedzy, ich woli, ich całej istoty, objawił się, i wezwał wszystkich aby się oświadczyli, aby dobrowolnie, z własnego namysłu, z własnego postanowienia schylili przed nim swe czoła rozumne uznając Go w najgłębszem czci oddaniu za swój początek i koniec, i oddali Mu swe serca kochające w ofierze najczystszej miłości jako jedynemu Panu, Bogu i miłości swojej, a to dopiero uczyniwszy, weszli przemienieni i ustaleni na wieki do wesela Bożego, do Jego godów wiekuistych.

I znalazł się między nimi, a jak wskazówki wiary podają był to najwyższy ich książę, cały światły, i światłonośnym, to jest Lucyferem nazwany, znalazł się, mówię, ten, który po takiem wezwaniu Bożem, zamiast na Boga tem bardziej wzrok swój wytężyć spojrzał sam na siebie,

na swoją piękność, na swoje światło, na swoją ozdobę; i cała rzesza innych za nim idąc to samo uczyniła; spojrzał sam na siebie: i uczuł szatańską rozkosz w sobie samym mieć i uznawać swój cel, i koniec, i doskonałość, ukochać siebie, i żyć dla siebie; — i zamiast uderzyć czołem przed Bogiem i Bogu się oddać miłością, i tak przez oddanie się i poddanie dojść do Bóstwa; raczej nie poddać się, ale samemu i nad sobą i nad innymi być panem, i królem, i Bogiem. Spojrzał, uczuł, zechciał, wyrzekł: i w tej chwili jako błyskawica, widziałem go, mówi Chrystus, spadającego z nieba. I cała rzesza podobnych mu spadająca tuż za nim, z nim razem z nieba runęła.

„Jakżeś upadł z nieba, o Lucyferze! — woła prorok pański —.... któryś mówił w sercu twojem: Do nieba wstąpię, nad gwiazdy Boże wzniosę stolicę moję, usiądę na górze testamentu!.... wejdę na wysokość obłoków, podobny będę Najwyższemu! — Oto patrzaj! do piekła strącony będziesz, na samo dno morza ognistego!“ Izai. XIV, 12 i nast.

Bracia moi! Patrzcie na wysokość nieba, spojrzyjcie potem na samo dno piekła, zmierzcie duchem tę przestrzeń niezmierzoną, a zobaczycie czem był szatan, a czem jest teraz. Lecz nie dosyć tego, jeszcze go dostatecznie nie znamy: trzeba nam, oczyma wiary, bliżej mu się przypatrzyć w tem jego nowem a wieczystem piekielnem mieszkaniu. Widzieliśmy w niebie jego światło i przymioty: obaczmy teraz w piekle całą jego czarną zgrozę, jaki teraz jego rozum, jakie teraz jego serce?

Ku temu zważcie, bracia moi! że podwójny był grzech szatana, czyli raczej jeden grzech ale ku dwom stronom obrócony. Grzech był upodobanie w sobie: ale w stronę ku Bogu, był on zaprzeczeniem Boga, zaprzeczenie jest kłamstwem, kłamstwem tedy był grzech szatana, kłamstwem przeciwko prawdzie Bożej, przeciwko dobru Bożemu, przeciwko Bogu we wszystkiem, a jak kłamstwo było treścią grzechu szatana przeciwko Bogu, tak kłamstwo stało się treścią i istotą samegoż szatana. Szatan zatem jest kłamstwem i kłamcą, ale na największe rozmiary, bo przeciw samemu Bogu; tak więc wielkiem można powiedzieć, jak Bóg wielki, i podobnie silnem w zaprzeczeniu swem własnem, jak Bóg potężny w swem zatwierdzeniu; a więc połączonem z najwyższą zazdrością, nienawiścią, wściekłością. To strona szatana ku Bogu. — Ale z drugiej strony grzech jego był obrócony ku stworzeniom; chciał ich wszystkich być panem i Bogiem, więc to także weszło do jego istoty i stanowi jego naturę; siedzi w głębi serca jego chęć nienasycona panowania nad wszystkiem, ale panowania po swojemu, chęć pastwienia się dowolnego nad wszystkiemi stworzeniami bożemi, chęć przyniesienia ich wszystkich sobie na ofiarę i żertwę. Ta chęć zniszczenia wszystkiego dla siebie jest drugą treścią natury szatana, to jego strona ku stworzeniom. — Z natury swojej szatan dla stworzeń jest niszczycielem i mordercą, a tak zajadłym i wściekłym, jak przeciw Bogu wściekłym i zajadłym kłamcą i zaprzeczycielem. Toć przecie to wszystko już się znajduje w samem jego imieniu. Szatan! wszakże znaczy przeciwnik, przeciwnik Boga, przeciwnik wszystkiego co wyszło z rąk Bożych, przeciwnik

to jest kłamca i morderca! I tak go nam maluje Chrystus Pan, który go przecie widział od początku; słuchajcie! „On mężobójca był od początku, i wprawdzie nie ostał się, bo nie ma prawdy w nim. Kiedy mówi kłamstwo, z własnego mówi, bo kłamcą jest i ojcem kłamstwa (Jan VIII).“ Słyszeliście: kłamca i mężobójca, i to od początku! Słyszeliście z ust Chrystusa Pana, ta jest szatana własność, to jego ojcostwo, ten grunt, ta natura!

A za naturą, wiecie dobrze, idzie działanie; więc jaka natura szatana, takie też i działanie jego. Cały rozum szatana tylko jedno myśli, i tą myślą wiecznie się dręczy i męczy: jakby zaprzeczyć Boga i wszystko czem On jest; cała wola szatana tylko jednego chce, tylko jedno ma upodobanie, i tem upodobaniem wiecznie się wścieka: jakby zniszczyć, jeśli już nie może Boga, tedy przynajmniej wszystko co do Boga należy, w czem Bóg swoje chce mieć upodobanie. To myśli, tego chce, to czyni; taki jest szatan i takie jego działanie.

— Bracia moi! oto nasz nieprzyjaciel, a za nim cała czereda podobnych do niego istot, rzesze niezliczone! Ten nasz nieprzyjaciel! Dla Boga! przypatrzcie mu się dobrze! zaklinam was na dusze wasze, na zbawienie wasze, weźcie w rękę pochodnię wiary, dajcie światło jak największe oczom waszym i patrzcie z kim macie do czynienia. Precz tu z niedowiarstwem! precz z rozlazłą dobrodusznością, z ospalstwem myśli, z lenistwem ducha! precz z płochością! precz ze śmiechami! Ah! nie tu miejsce głupiemu bezpieczeństwu! Tu nieprzyjaciel! — Tu trzeba baczności, tu trzeba odwagi, tu męztwa, tu oka jasnego, tu potęgi ducha, tu wielkiego serca, tu trzeba duszy niczem niezachwianej, niczem niezwyciężonej! Dla Boga! tu nieprzyjaciel, i jaki nieprzyjaciel! To mało że przebiegły, mało że podstępny, przewrotny, wszystkie zdrady znający; mało że potężny, niestrudzony, niezmordowany; mało że niemiłosierny, nieużyty, okrutny; to nieprzyjaciel przedewszystkiem wściekły, zajadły, rozjuszony; z którym ani przymierza, ani ugody, ani wypoczynku, ani zawieszenia broni; dla którego nie ma ani wiary, ani słowa danego, ani prawa, ani miłosierdzia; który na nic nie patrzy, niczem się nie hamuje, nic go nie wstrzyma; którego jedyna przyjemność nieszczęście nasze, jedyna słodycz nasze zniszczenie, jedyna rozkosz jakby nas rozszarpał i pożarł. „Bracia! woła Piotr święty..... *przeciwnik* wasz, szatan, jako lew ryczący, krąży naokoło, szukając kogoby pożarł (I Petr. V, 8).“ Czy słyszycie bracia moi, te słowa Ducha Świetego? Nie, nie, tu spać nie można; i dla tego tym samym głosem woła Duch Święty: „Trzeźwiż bądźcie i czuwajcie (tamże)!“

Bracia moi: oto czego nas wiara święta uczy o szatanie. Jest szatan, jest ten przeciwnik, i jest jako lew ryczący, i nic innego nie czyni, jedno krąży i szuka kogoby pożarł. Tak wiara wyrzeka: tu nie ma wątpienia.

O Boże mój! czemuż dzisiaj ludzie tak się zaślepili na tę prawdę? Czemuż tak o niej wiedzieć nie chcą, tak od niej uciekają? A co stokroć smutniejsza: czemuż do tego aż nierozsądku dochodzą, iż, byleby na tę

prawdę nie patrzyli, byleby o niej nie słyszeli, już sądzą się być bezpiecznymi, już myślą że jej wcale nie ma! Ludzie płochego sądu! Dla tego że szatanów mieć nie chcecie, już się wam zdaje że szatanów nie ma doprawdy! O dzieci! oczy zamykacie, aby być w bezpieczeństwie! — Lecz wy, bracia moi! wy przynajmniej miejcie oczy otworzone! Ah, żebyście mogli i tamtych braci waszych przekonać, żeby je przecie otworzyli! żebyście im mogli wytłómaczyć że przecie na nic nie pomoże trzymać oczy zamknięte. Ślepy, chociaż tego co koło niego jest nie widzi, jednakże to co jest, jest. Niech widzącego nie słucha, któż od razu nie wie że do przepaści wpadnie?

Teraz mi zostaje powiedzieć o stosunkach szatana i aniołów jego z ludźmi, i nawzajem ludzi z nimi.

II.

Jeżeli są ludzie którzy o szatanie samym nie chcą wiedzieć, jakże daleko więcej o tem wiedzieć nie chce, aby miał jakie stosunki z ludźmi. Tu dopiero niedowiarstwo upiera się, i sroży, i nadyma; tu dopiero nie szczędzi śmiechu, nie szczędzi pogardy, i idzie aż do oburzenia! Niech sobie robi co chce! twierdzenie któreśmy postawili stoi niewzruszone: rozum ludzki, filozofia, nic mówić nie może przeciw złym duchom; i jak prawa nie miała przeczyć ich istnienia, tak teraz równie prawa nie ma przeczyć że są stosunki między nimi a ludźmi; owszem, tem mniej ma teraz prawa. Raz bowiem od wiary wziąwszy że są złe duchy, możność stosunków z nimi jest oczywista, jawna, niezaprzeczona. I cóż prostszego? Oto z jednej strony są złe duchy, z drugiej są źli ludzie; dziwnaż to rzecz że się z sobą zejdą? Wszak *swój swego szuka*, mówi rozum pospolity; jeśli szuka cóż dziwnego że znajduje? chyba mi kto dowiedzie że nie ma żadnego środka, żadnego sposobu do tego zetknięcia się, ale któż wie jakie być mogą te sposoby żeby mógł dowodzić ich niepodobieństwa? I dla tego dotychczas jeszcze nikt tego nie dowiódł, a najmniej dowiodła tego filozofia. Ja wiem że ona tego nigdy dowieść nie potrafi.

Lecz idźmy do wiary. Wiara nas naucza nietylko że być mogą, ale że doprawdy są stosunki szatana z ludźmi i ludzi z szatanem. Te stosunki są dwojakiego rodzaju, poniewolne lub mimowolne z jednej strony, i dobrowolne z drugiej. O pierwszych nic nie mówię: nic nie mówię o opętanych, o posiadanych przez złych duchów, o których pełno jest mowy w ewangelii; o takich to mówi w jednem miejscu Chrystus Pan, że kiedy jeden zły duch takiego opuści, a on się przez ten czas do Boga nie ucieknie, przychodzi potem zwykle siedmiu duchów gorszych niż pierwszy, i mieszkają w człowieku; proszę dobrze uważyć słowo Chrystusowe: *mieszkają!* i stają się ostatnie uczynki tego człowieka gorsze niźli pierwsze. O takich nic nie mówię; właśnie dla tego że te stosunki z szatanem zwykle nie są dobrowolne: mogą one nawet nie być grzechem żadnym, i być tylko dopuszczeniem Bożem. Wprawdzie to dopuszczenie zwykle bywa za karę, zwykle w skutek grzechu, ale może też być i jest nieraz dla do-

świadczenia tylko, dla większej zasługi. Więc o tem nic nie mówię, to nie wchodzi do mego przedmiotu. Mówię o stosunkach dobrowolnych, mówię o stosunkach gdzie człowiek przyzywa szatana, rozmawia z nim, wchodzi z nim w obcowanie, zawiera niejako przyjaźń, idzie aż do umowy, do ugody czy skrytej i domyślanej, czy jawnej i wyraźnej, żachodzą zobopólne przyrzeczenia, warunki, zobowiązania: — grzech obrzydliwy, ostatni, najniższy do jakiego człowiek zstąpić może! O tych to stosunkach ostatnich mam do was mówić.

Przyczyna zaś, bracia moi, dla której o tych właśnie stosunkach wyłącznie do was mówię, ta jest a nie inna, iż te zjawiska nadzwyczajne, z powodu których cała ta mowa moja dzisiejsza przed was się wytacza, do tego to rodzaju stosunków z szatanem należą. Tak jest, twierdzę i wnet sami zobaczycie, że wszystkie te stoliki wirujące, te stukania, pisania, rozmowy, i inne tym podobne pojawy, chociaż nie wszystkie w równym stopniu, wszystkie jednakże równem prawem należą do dobrowolnych stosunków z szatanem. Rozumie się, i to zaraz dodaję, że uczynione z niewiadomością rzeczy, i bez domyślania się złego, grzechu nie stanowiły, kiedy grzech przyszedł potem powiem; tu tylko powiadam że te wszystkie zjawiska należą do stosunków dobrowolnych z szatanem.

Aby tego twierdzenia dowieść, muszę wam wprzódy jasno wyłożyć czem są w ogólności stosunki dobrowolne ze złym duchem, co o nich naucza wiara, jaki ich początek, natura, warunki; potem dopiero będziemy mogli osądzić w szczególności czem są one zjawiska, które nas obchodzą. Dziś przeto, bracia moi, tylko o tem ogólnem znaczeniu tej rzeczy powiem wam w tej części mojej mowy, czas mi nie pozwoli pójść dalej; za to przyszłą da Bóg razą, tem lepiej, tem dokładniej będziemy mogli dalszą rzecz wyłuszczyć: nauka ogólna będzie już wystawiona, zasady położone, stanowisko jasno oznaczone; wtedy same następstwa przyjdą, i rzecz cała we wszystkich swych szczegółach będzie mogła lepiej być pojętą. Upraszam przeto teraz o chwilę jeszcze uwagi, o ostatek cierpliwości.

— Wiara nas uczy że stosunek dobrowolny człowieka ze złym duchem zajść może, i że rzeczywiście zachodzi. Tego świadkiem obfitym a nieomylnym jest Pismo święte. — Przypomnijcie sobie naprzód ono spotkanie się przed Faraonem Mojżesza z Czarnoksiężnikami egipskimi. Opisuje Pismo jak pierwsze trzy znaki które Mojżesz uczynił, i oni zrobili przez czary swoje, *incantantionibus suis* (Exod. VII, 22. VIII, 7). Dopiero później wyrzekli, gdy już czarami swemi nic zdziałać nie mogli: *Palec Boży jest tu!* Digitus Dei est hic (tamże)! Przypomnijcie jak Sanl od Boga odrzucony i nie otrzymujący od niego odpowiedzi, szuka jej u duchów podziemnych, i każe by mu wynaleziono niewiastę Pytona mającą, to jest takiego ducha zaklętego; a gdy ją w Endor znaleziono, każe jej wróżyć przez tegoż ducha Pytona, i wywołać z umarłych Samuela (I. król. XXVIII, 7, 8). Przypomnijcie jak Bóg zabraniał podobnych stosunków, jak surowo je gromił, jakiemi karami je karał. Częste są te wyroki w zakonie Bożym: „Niech nie znajduje się w tobie (Izraelu!)... któryby wróż-

bitów się pytał, ani oglądał się na sny i wieszczby, ani był czarnoksiężnikiem, ani czarownikiem; ani któryby ducha Pytona się radził, ani wieszczbiarzy, ani dowiadywał się od umarłych prawdy (Deuteron. XVIII, 6)." Na te słowa ostatnie proszę was zwróćcie szczególną uwagę: *ani dowiadywał się od umarłych prawdy!* To przykazanie Boże, równie mocne i stanowcze jak ono pierwsze z Dziesięciora: Nie będziesz miał cudzych Bogów przede mną! i przekroczyć to przykazanie zważcie sami czy grzechem nie jest, i jakim? Lecz dalej mówi zakon Boży: „Nie zbaczajcie do czarnoksiężników, i wróżbitów o nic nie pytajcie (Levit. XIX, 31)!" I nietylko grzechu zabrania, ale w głównych winnych karze go ostatnią kaźnią: „Czarnoksiężnikom nie pozwolisz aby żyli (Exod. XXII, 18)." I znowu: „Mężczyzna albo niewiasta w których jest duch Pyton, albo duch wieszczbiarski, śmiercią umrą: kamieniami zakamienują ich, krew ich niech na nich spadnie (Lev. XX, 27).

Tak w nowym testamencie Piotr święty Szymona Maga, który przez długi czas czarami swemi Samaryę, a potem inne miasta zwodził, odrzucił i potępił (Dzieje Ap. VIII); tak Paweł święty do Elyma Maga, który czarami swemi Pawła Prokonsula od wiary odwracał: „O pełen zdrady, rzecze, i wszelkiego oszukaństwa, synu djabelski!.... ręka Boża nad tobą: oto ślepy będziesz (tamże, XIII, 10)!" a ten wnet światło tracąc, ręce wyciąga, i szuka ktoby go prowadził; tak potem za tymże Pawłem świętym dziewczynka Pytona mająca, ktorej pan wielki miał zysk z niej, biegała codziennie wołając: „Ci słudzy Boga najwyższego ogłaszają wam drogę zbawienia!" Ale Paweł, bolejąc, obróciwszy się rzekł do ducha: „Rozkazuję ci w imieniu Jezusa Chrystusa, wyjdź od niej." I wyszedł tejże godziny (tamże, XVI, 16 i d). Wszystko to przykłady w samem piśmie świętem zapisane stosunków onych dobrowolnych z szatanem, a razem jaki grzech to jest, i jakiej kary godzien. Ostatni przykład powinien nas z innej jeszcze strony zastanowić. Widzieliście, że taki duch wieszczbiarski, a bez wątpliwości dla tego samego zły że wieszczbiarski, widzieliście iż oddawał świadectwo prawdzie, powoływał ludzi do zbawienia; a apostoł Boży zostaje na to boleścią przejęty, i mocy Bożej którą jest odziany, do tego używa aby go wyrzucił. Zaiste, wielki przykład i stanowcza nauka, iż z wszystkimi tymi duchami sojuszu nie ma nigdy i pod żadnym warunkiem.

Sądzę, że po tych wszystkich przykładach i wyrokach Bożych, ktokolwiek wierzy słowu Bożemu, najmniejszej wątpliwości mieć nie będzie, iż mogą być, i są rzeczywiście, stosunki ludzi ze złymi duchami i nawzajem. Po tych dowodach opartych na słowie i powadze Boga samego, już nie potrzebuję przytaczać dalszych dowodów opartych na powadze kościoła, a wziętych z jego historyi, z ojców kościoła, z soborów kościelnych, z postanowień papiezkich, z powszechnej doktorów kościelnych nauki; rzecz byłaby za długa nawet, a zresztą już jest jasna, i ze stanowiska wiary dalszych dowodów nie potrzebuje.

Tu raczej już nam drugą rzecz objaśnić wypada. Przekonawszy się

o istnieniu tych stosunków, trzeba już zobaczyć jaka ich natura, jaka właściwość. Po tamtej pierwszej, ta druga rzecz jest do wiedzenia niezbędną: do niej tedy z konieczności przystępujemy, i w tym celu zastanowimy się najprzód nad tem: co te stosunki dają, co przynoszą, powtóre: jakie ich następstwo i koniec.

— Co one dają? Już w tej mierze wiele widzieliśmy w tych samych przykładach któreśmy z Pisma świętego przytoczyli. Dają wróżby, to jest przewidywania a raczej zgadywania rzeczy przyszłych; dają inne wieszczby, jak naprzykład odkrywania rzeczy zakrytych; dają czary, zamawiania i t. p.; przynoszą władzę wywoływania umarłych, prawdziwych czy zmyślonych, a raczej zmyślonych przez samychże złych duchów aniżeli prawdziwych, rozmawiania z tymi mniemanymi umarłymi, radzenia się ich, dowiadywania się od nich onej tak nazwanej prawdy, którego Bóg tak zabrania; to widzieliśmy już w onych przykładach; — a jeśli do Magów egipskich udamy się, tedy przemieniali laski w węże, zamieniali wodę w krew, sprowadzali ile chcieli żab na ziemię, takieto rzeczy czynić mogli; jednem słowem, dziwy niepospolite! Dalej uczy nas podanie, i nauka kościoła, i długie doświadczenie chrześciańskich wieków, że za pomocą djabłów mogli po powietrzu latać, z jednego miejsca na drugie i to odległe w krótkim czasie się przenosić, choroby sprowadzać lub od chorób uzdrawiać; działać na zmysły, i tu wielkie pole działania tych Magów sprzymierzeńców szatańskich: co tylko zmysły mogą doznać błędnych wrażeń, ułudy, omamienia, to wszystko zdaje się być w ich mocy; lub znowu działać na rozum, na uczucie, na serce osób pod ich wpływy podpadłych, wprowadzać w obłąkanie myśli, wrzucać w szały namiętne, popychać nawet do śmierci, lub jak zbójce nowego rodzaju śmierć samą zadawać*); to wszystko mogą, i wiele innych rzeczy już dziwnych, już próżnych, już strasznych, już okropnych, a zawsze grzesznych lub do grzechu prowadzących, chociaż często pod pozorem dobrego, z wszelkiem udawaniem cnoty, i pod najśliczniejszym płaszczykiem świętości. To wszystko dają te stosunki z djabłem, lub dać obiecują, takich rzeczy albo sam człowiek żąda kiedy z djabłem przymierze stanowi, albo mu je wtedy sam szatan ofiaruje. Dziwno się to wam zdaje? Przypomnijcież sobie, że samemu Chrystusowi Panu szatan śmiał ofiarować to samo: rozkosze zmysłów, dziwy, cuda, sławę, honory, wielkość tego świata, tam na onej górze w pustyni, z której mu pokazał wszystkie królestwa świata tego, i całą ozdobę ich, i nie wahał się rzec mu: *To wszystko dam Tobie, jeśli upadłszy pokłonisz mi się!* Czy słyszeliście? *Dam... jeśli...!* I to nie umowa? Doprawdy! I są ludzie którzy mówią, że między człowiekiem a szatanem umowy być nie może? A toć ją przecie samemu Chrystusowi przekładał!

---

*) Tu niech nikt nie zarzuca: Czyż Pan Bóg może na podobne rzeczy pozwalać? Bo niech pamięta że to wszystko nie szatan z własnej woli czyni, ale człowiek, który używa szatana. Otóż na tym świecie człowiekowi zostawił Bóg zupełną wolną wolę jak do dobrego tak do złego, i ten sam człowiek który może zabić drugiego za pomocą trucizny lub noża, nic dziwnego że może i za pomocą szatana.

O! bądźcie pewni że ją każdemu z nas przekłada, tylko że mu Bóg nie pozwala ze wszystkimi jawnie to czynić. Lecz są i tacy z którymi jawnie ją czyni, jak jawnie Chrystusowi Panu przełożył; i zawsze to samo ofiaruje: rozkosze, dziwy, honory! I zawsze ten sam warunek: Pokłoń mi się, a dam Ci!

— Teraz następuje rzecz ważna: jakim sposobem dzieje się ta umowa, ten sojusz, te pacta conventa? Tu mię słuchajcie, bracia moi! — Powszechną jest nauką w kościele, już od św. Augustyna jaśnie wyłożoną, że djabeł ustanowił, lub w danym razie ustanawia pewne znaki, pewne obserwancye, pewne rękowody, jakieś małe i nieznaczące rzeczy do spełnienia, do których przez to jego ustanowienie przywiązana jest moc przyzywania go do siebie, i mienia na rozkazy. Tak uczą nauczyciele kościelni, a tu zamiast wielu przytaczać, co mi jest niepodobna, przytoczę tegoż jednego św. Augustyna który za wszystkich stanie. „Te wszystkie rzeczy, (to jest znaki, praktyki i t. d.) mówi on *), tyle mają wagi ile z przypuszczenia myślnego, jakby wspólnym jakim językiem z djabłami umówiło się o to..... Bo nie dla tego że już takowe siłę miały, umysł się do nich obrócił, ale dla tego że się do nich umysł obrócił, stało się iż mają siłę..... Jak np. ta sama postać głoski X która na krzyż pisze się, co innego dla Greków (chi), co innego dla Łacinników (ksi) znaczy, nie z natury swojej, ale z umowy.“ I dawszy kilka przykładów innych podobnych znaków, dodaje: „Nie dla tego zgodzili się na nie ludzie, że miały już moc takiego znaczenia, ale dla tego mają tę moc że się na nie zgodzili. Tak samo i tamte znaki przez które zyskuje się zgubne towarzystwo djabłów, mają moc swoję kiedy kto ich użyje.“ — To św. Augustyn: jasno zaiste i ze wszech miar dostatecznie widzicie tedy sposób, jakim się zyskuje to zgubne towarzystwo. I zważcie że dosyć użyć tych znaków, aby się już towarzystwo zawiązało, aby umowa stanęła; tu nie trzeba jawnej, publicznej umowy, taka domyślna, taka ukryta wystarcza. Strach tu pomyśleć o płochości dusz niektórych, które tak często rzucają się do używania tych znaków, bez żadnego namysłu, przez próżną ciekawość, często tylko dla śmiechów i zabawy! Może jeszcze myślą że tym sposobem dobrych duchów przywołają? Dla Boga prosimy ich i zaklinamy niech się nie mylą! Nigdy, nigdy dobrzy aniołowie, a nawet dobre dusze, tym sposobem nie pokazują się, nigdy nie mogą być przywołane! Dodajemy dla tego tę ważną naukę do dokończenia całej tej rzeczy, i prosimy o szczególną uwagę. Aniołowie są na skinienie Boże: kiedy Bóg ich posyła wtedy

---

*) „Quæ omnia tantum valent, quantum præsumptione animorum, quasi communi quadam lingua cum dæmonibus fœderata sunt . . . . Non enim quia valebant animadversa sunt, sed animadvertendo atque signando factum est ut valerent . . . . . Sicut, verbi gratia, una figura litteræ X quæ decussatim notatur, aliud apud Græcos, aliud apud Latinos valet, non natura, sed placito et consensione significandi . . . . , ... nec ideo consenserunt in eas homines, quia jam valebant ad significationem, sed ideo valent quia consenserunt in eas: sic etiam illa signa, quibus perniciosa dæmonum societas comparatur, pro cujusque observationibus valent.“ De Doctr. Christ. lib. II, cap. XXIV. S. Aug. Opp. Edit. Maur. Tom II.

schodzą, ukazują się, mówią; to samo, acz daleko rzadziej dzieje się z dobremi duszami; lecz ani te, ani tamci nie mogą być przywołani, nigdy od woli pytających się nie zależą, nigdy na rozkaz ciekawych lub pragnących tego nie przybiegają; a co najważniejsza, nigdy nie odpowiadają na pewne znaki, na pewne praktyki, na pewne ceremonije, nigdy: to tylko złe duchy czynią; ich jest ten niski sposób, ich ta koszlawa maniera! Prawda, że kiedy się raz gdzie rozgospodarzą, to już potem i bez znaków przychodzą; ale tu o początki idzie: tam jest cecha rzeczy, tam jej istota, tam głoskami niestartemi jakby na czole nosi wypisane swoje piętno.

Taka jest nauka św. Augustyna o tej rzeczy. Po św. Augustynie tej nauki ciągle się trzymał kościół i wszyscy doktorowie kościelni. Ta jest nauka, która nam całą prawdę o tej rzeczy wyłuszcza.

O bracia moi! Teraz widzicie że są stosunki z szatanem, widzicie jaka ich natura, widzicie jaki ich sposób nawet. Nie ma co zaprzeczać, niepodobna puszczać w wątpliwość. Bo i w imię czego, proszę? W imię filozofii? Jużeśmy z nią skończyli dawno, ona tu nic nie może. W imię nauki, w imię wiadomości ludzkiej? Ona o djabłach tak mówić nie może, jak o jakich nieznanych ptakach lub rybach. Nie widziała, nie zna: czyż dla tego ich nie ma? Niechże rozsądniej milczy o tem. — W imię czegoż więcej? Czy rozumu? Ale jakiego? — Czy namiętności? Tej się nie słucha. — Czy widzimi się? Bo i cóż zostaje innego? — Ah! tu tylko wiara ma głos: a wiara dała już ten głos swój słyszeć, głos tak mocny, tak czysty, tak jasny, tak stanowczy, że go tylko słuchać można: — rozprawiać z nim nie można.

— Bracia moi, kto z was tego głosu do ostatnich swych następstw w duchu dosłuchał, już widzi jaki on sąd wydaje na rzecz tę całą, na jej następstwa i koniec; już słyszy jak on mówi że wszystkie przyrzeczenia szatańskie są tylko ułudą i omamieniem, to tylko zdrady wojenne, to przebiegi najprzebieglejszego wroga; słyszy że następstwa są najopłakańsze, że końcem jest niewola i śmierć najsmutniejsza, najokropniejsza! I zarazem w duchu z zadowoleniem dowiaduje się, jak kościół te stosunki duszobójcze zawsze miał w świętej nienawiści, odrzucał je ze zgrozą, potępiał, wyklinał, surowemi karami ścigał. Tego wszystkiego nie potrzebuję wam wystawiać, to samo z siebie za tamtem idzie, i inaczej być nie mogło i nie może. Zresztą do tych sądów wrócimy jeszcze. Dziś nam szczególniej o to chodziło, aby zyskać ogólne stanowisko, z którego moglibyśmy sądzić o rzeczy co nas szczegółowo zajmuje. Dzięki Bogu zyskaliśmy je. Wiemy już dosyć o szatanie i o stosunkach z nim ludzi. W przyszłej nauce da Pan Bóg, będziemy mogli zastosować to do naszego przypadku, i wtedy dać wolne miejsce wyrokom kościelnym, dać pęd wolny naszym skargom, żalom, wyrzutom, upomnieniom! A Bóg dopomoże!

Dziś zaś, bracia moi wstrząśnijmy się zbawiennie we wnętrznościach naszych! Wiedząc z jakim nieprzyjacielem mamy do czynienia, wiedząc jak on do rzeczy się bierze, jakich używa praktyk, tajemnic, inicyacyi,

i zaklęć swoich, jakich znaków i charakterów, któremi chce ludzi coraz mocniej do swego zaprządz poddaństwa, do swego wkuć jarzma; odsuńmy się potężnie w przeciwną stronę, i przypadnijmy tem dobrowolniej, tem zupełniej, tem serdeczniej do stóp Pana naszego Chrystusa! Ach! tam, u stóp tych Jego świętych sercem wielkiem, duszą niezachwianą ponówmy śluby nasze, odświeżmy znaki któremiśmy naznaczeni, opaszmy się na nowo węzłami co nas z Nim łączą, na nowo zwiążmy się przysięgą wierności, uświęćmy ją mocą Sakramentów; namaśćmy duszę naszą pomazaniem Ducha Świętego, naznaczmy ją aż w samej jej głębi krwią przenajświętszą nie już Pana, ale Zbawiciela, ale Miłośnika, ale Kochanka naszego; i tak mocni wiarą, mocni nadzieją, mocni miłością, mocni Panem naszym, razem z nim powiedzmy kuszącemu ludzi szatanowi: „Pójdź precz, szatanie! Bogu jednemu służyć, i jemu jednemu kłaniać się będziesz!“

NAUKA II.

O STOLIKACH WIRUJĄCYCH

W SZCZEGÓLNOŚCI.

Najmilsi Bracia!

Już znamy prawdę katolicką, znamy dogmat kościelny o szatanach i o stosunkach z nimi, wiemy już dobrze naprzód że są złe duchy, powtóre że mogą być z nimi, i niestety! są stosunki ze strony ludzi, stosunki nieszczęsne, zgubne, zabójcze na wieki.

Ale czy też doprawdy do liczby tych stosunków należą owe zjawiska stolikowe o których mamy mówić? Czy doprawdy, ogólnie rzecz biorąc, w dzisiejszych czasach są gdziekolwiek na świecie podobne ze złymi duchami stosunki? Ah! tu już słyszę co mi mówi roztrzepanie ducha, co mówi lekkomyślność tego świata; słyszę co mówi niebaczna płochość ludzi cielesnych, lub też uporne głupstwo ludzi rozumowych. — To stare bajki! tak oni mówią, to uprzedzenia wieków ciemnoty, to powiastki nianiek nad kołyskami dzieci, godne dzieci i nianiek! — Prawda, jest coś o tem w Piśmie Świętem. My Pismo święte szanujemy! — Jest o tem w Ewangelii: my dla Ewangelii czujemy wielki respekt! — Ale cóż z tego? To tak myślano o tem w owych czasach, więc tak i pisano. Trzeba się zastósować do wyobrażeń owych wieków, a rzeczy zdrowo po naszemu tłómaczyć! — To tak oni mówią, i śmieją dodawać że to w niczem uszczerbku nie przynosi powadze Ewangelii. — A kiedy parci z tej strony przez nas, w obec najjaśniejszych twierdzeń Ewangelii, nie wiedzą już gdzie uciekać, niechcąc wbrew oświadczyć się przeciw księdze świętej, poddają się na pozór. Niech i tak będzie, mówią, jak Ewangelia powiada: chcemy dla niej okazać wszelkie uszanowanie. Co w Ewangelii, to wszystko prawda: ależ

potem tych rzeczy już nie było. Wszakże Chrystus Pan zniósł to, zniszczył; na toć przyszedł aby wywrócił moc szatańską. Nie, po nim już tego wszystkiego nie było. I kto przypuszcza że później djabły na świecie panowały, znieważa samego Chrystusa Pana, grzeszy przeciwko Ewangelii, przeciwko wierze, przeciwko Bogu!

Tak mówicie, ludzie rozumni? Lecz powiedzcie: wierzycie wy, czy nie wierzycie w Chrystusa, w Ewangelię, w kościół? Powiedzcie z ręką na sumieniu: Tak, lub nie? Jeśli nie wierzycie: ah! to nie o djabłach trzeba nam mówić; ale o tej samej wierze w Boga, w Chrystusa, w kościół. A jeśli wierzycie: tedy, proszę was, zapomnijcie na chwilę o waszym rozumie, o waszej mądrości, o waszem zdaniu; a posłuchajcie tej samej Ewangelii, tego samego Chrystusa, w którego macie szczęście wierzyć. Posłuchajcie jak tuż, tuż do nieba wstąpić mając, wyprawia na świat swoich Apostołów: „Idźcie, prawi, na świat cały i przepowiadajcie wszelkiemu stworzeniu (Mar. ost.), nauczajcie wszystkie narody (Mat. ost.) kto wierzy i ochrzci się, zbawion będzie. A znaki za wiarą idące te będą: *djabłów wyrzucać będą*, językami mówić, chorych uzdrawiać i t. d. A oto ja z wami będę aż do skończenia świata (Mat. i Mar. rozdź. ost.).“ Czyście słyszeli? *Djabłów wyrzucać będą!* Więc będą djabli, tak jak będzie ich wyrzucanie. Nawet ten jest znak prawdziwej wiary, i to pierwszy znak przed innemi. Po tym znaku Chrystus każe poznawać prawdziwą wiarę: tam apostołowie, tam Chrystus, tam wiara, gdzie są znaki, gdzie cuda, a szczególniej gdzie djabłów wyrzucają. To też kościół na dowód prawdziwości swojej ten znak ludziom daje, i wyzywa wszystkie sekty, odszczepieństwa, zborzyszcza, śmiało im wytykając ich niemoc, ich nicestwo w tej mierze; daje kościół za swoją pieczęć i dowód swój to, że w nim są cuda, znaki mocy niebieskiej, ciągłe, nieustające; a szczególnie że miał i ma zawsze moc wyrzucania djabłów; toć przecie jest na to cały obrządek, święte ceremonie, zaklęcia, exorcyzmy, które napisał Duch Boży, a których skuteczność dobrze znają duchy nieczyste. I tak będzie aż do skończenia świata. Co tu mówić? Poco miotać próżne słowa? Przeciwko słowu Bożemu żadne ludzkie nic nie podoła.

Owoż bracia moi, mniej obaczni! co starych djabłów przypuszczacie, a tylko przeciw nowym powstajecie, zaniechajcie tego, proszę was, jeśli tak jest prawdziwie że macie wiarę w sercu. To nierozsądne mowy a nawet grzeszne. Widzicie sami! — dzisiaj nawet dwakroć nierozsądne i dwakroć grzeszne, w obec tych czynów, tych zjawisk złowrogich które świat napełniły i napełniać nie przestają. — Dzisiaj świętym jest obowiązkiem skupić się w jedném rozumieniu, w jednym sądzie około wiary, około kościoła i stawić czoło, uzbroić się, dać odpór tym zgubnym zjawiskom; dzisiaj szczególniej świętym jest obowiązkiem mocą naszą podźwignąć tylu niemocnych, uratować tylu nieszczęsnych, co się w tem zatraceniu gubią. — Dla tego to w tej dzisiejszej nauce z bliska i ze wszech stron dotknę tej komedyi którą dziś szatani przed światem odgrywają i pokażę wam:

Naprzód, że wszystkie jej zjawiska pochodzą doprawdy od duchów, i od złych duchów;

Następnie, że są niebezpieczne, zgubne, do zatraty wiodące; a przez Boga i przez kościół odrzucone, przeklęte, potępione.

Proszę was o uwagę, a Pana Boga o pomoc.

I.

Mówiąc wam o tej rzeczy, bracia moi, muszę wam naprzód choć w krótkim obrazie rzecz samą odmalować. Jakież to są te zjawiska? Ogólne ich nazwisko: Stoliki wirujące. To nazwisko dla tego dane, że zwykle stolików do tych praktyk używają, chociaż wiadomo że i innych rzeczy używać można. I cóż się tam dzieje? za położeniem rąk, prędzej lub później stolik się porusza, potem się kręci, potem już sam biega i t. d. To wszystko mniej więcej wiecie. To wszystko, powiem wam, mało mnie obchodzi.

Jest dziś odkryta przez umiejętność ludzką długo zatajona siła przyrodzona: światło, cieplik, elektryczność, magnetyzm, jak ją tam nazwać się podoba, choćby nawet Odem, jak ją nazywa jeden z ostatnich badaczy przyrodzenia może bystrzejszy od innych *); — jest siła przyrodzona, jedna i ta sama w swym pierwiastku jak wszystko tego dowodzi, siła, która włada w tym świecie nietylko materyalnym, ale tem bardziej organicznym, która jest panią jego: trzyma go lub rozrywa, daje mu życie lub śmierć. Ta siła dziwna jest bardzo i o niesłychanych przedtem zjawiskach; jeszcze nawet całej potęgi jej nie odkryto, granic ostatnich nie oznaczono. Jest więc siła ta złożona przez Boga w przyrodzeniu: ja uznaję ją i szanuję, owszem, dalej idę, czynię czego uczeni niestety! nie czynią; dziękuję za nią i chwalę Boga!

Ależ siła przyrodzona jest siłą przyrodzoną. Dajmy jej wszystko nietylko co ma, ale co tylko mieć może w swoim przyrodzonym obrębie, wszystko, ależ i nic więcej. Ten jej zakres przyrodzony nie wiemy wprawdzie jak daleko się rozciąga; ależ wiemy ściśle i wiedzieć powinniśmy gdzie się już nie rozciąga; wiemy, i wiedzieć powinniśmy z wszelką pewnością co już leży za jej granicami. Nie wiemy naprzykład z wszelką ścisłością gdzie się kończy królestwo roślin, a gdzie się zaczyna królestwo zwierząt, ale z największą dokładnością wiemy, że lwy i orły nie do pierwszego ale do ostatniego należą. Gdybym tego nie wiedział, tedyby cała nauka niemożebną się stała. Tak samo rzecz się ma z siłą przyrodzoną i z siłą duchową. Choć ich spólnej granicy oznaczyć ściśle nie mogę: ale wiem dobrze jaka jest przyrodzona a jaka duchowa, i że tamta tą nie jest, ani ta tamtą **). Gdybym tego nie wiedział, tedyby znowu cała nauka o przyrodzeniu samem niemożebną się stała. Więc trzeba ściśle strzedz tych granic, skrzętnie rozróżniać te właściwości, nawet pod warunkiem

---

*) Reichenbach.

**) Bierzemy tu siłę przyrodzoną w tém znaczeniu jak się w naukach ludzkich bierze, to jest siłę władającą w świecie materyalnym i organicznym. Siły duchowe chociaż także w swoim rodzaju są przyrodzone, ale jest to inne przyrodzenie, o innych prawach, pod zmysły nie podpadających; a potém w naukach ludzkich przyrodzeniem (naturą) nie nazywa się. Zresztą rozumowanie nasze w każdym razie równie znaczy.

uratowania samejże nauki, pod karą wywrócenia jej i uczynienia niepodobną. Nie trzeba i nie można kłaść na karb siły przyrodzonej, to co jest nad przyrodzenie, co należy do siły duchowej. Czyn taki to zabójstwo samejże wiedzy ludzkiej, samej nauki, samego rozsądku. I to czynią, niestety, uczeni! Nie czynią tego, coby czynić powinni; a czynią czego im czynić nie wolno.

To powiedziawszy i za pewne przyjąwszy, obróćmy się teraz do stolików. Oto stoliki te kręcą się; przybiegają uczeni; trzebaż to wytłómaczyć: więc różni różnie wołają. To nic innego, jedno pulsacye pulsów samych! To znowu nic innego, jedno elektryczność! To znowu magnetyzm zwierzęcy! To znowu to, to znowu owo! Ten tak wykłada, a ten inaczej. — Niech i tak będzie! Niech każdy ma słuszność, albo jej nie ma, to mnie mało co obchodzi. Póki stoliki kręcą się tylko, i nic innego nie robią tylko się kręcą, kto wie? może to — nie powiem pulsacye palców, to tłómaczenie dla mego rozumu nietylko za nadto dziwnem, ale zanadto śmiesznem się wydaje; ale, może to i elektryczność, może to i magnetyzm? kto wie? może; — a nawet niech i tak będzie!

Lecz tu rzecz idzie nietylko o to kręcenie się stolików, idzie nawet wcale o co innego niż o to kręcenie się. Stoliki chodzą na prawo i na lewo jak się im podoba, stoliki stukają i to z własnej woli i to tyle razy ile im się zechce, stoliki kłaniają się, padają, do góry podnoszą, na dół zstępują, i t. d. w pewnej myśli, w pewnym celu; jednem słowem spełniają rzeczy rozumne, rzeczy od woli zależące.

Magnetyzm, czysty magnetyzm! wołają uczeni magnetyczni. Magnetyzm, czy nie, rzecz ta zaczyna nas teraz obchodzić, bo rzecz zaczyna nabierać duchowych własności, zaczyna być moralną nie naturalną; teraz już nam się trzeba nad nią zastanowić, tu już musimy powiedzieć co o tem trzymać mamy, jeśli z wiarą mamy trzymać.

Proszę tedy uważać: Oto kładziemy prawidło jasne, niezaprzeczone, niewzruszone. To wszystko należy do siły przyrodzonej co się odbywa według praw stałych, niezmiennych, zawsze jednostajnie powtarzających się w jednakowych okolicznościach; — takie jest prawo, taki zakon natury. Natura tem stoi że jest w swych zjawiskach jednostajna, sama z siebie niezmiennemu prawu podległa. A więc gdzie tego nie ma, tam nie ma natury; gdzie działanie nie jest ślepe i jednostajne, ale dowolne i zmienne, tam nie natura działa, ale duch wolny, ale istota rozumem i wolną wolą obdarzona. — Wszakci to jest jasne, niezbite prawidło! Trzymajcież je, proszę, mocno. Tam natura działa, gdzie działanie jednostajne i niezmienne; ale gdzie zmienność, gdzie dowolność, gdzie nawet kaprys, tam nie natura, tam z pewnością nie natura.

Więc teraz spojrzyjcie na te chodzenia, stąpania, zatrzymywania się, pląsy, dygi, ukłony itd. itd., raz poważne, drugi raz śmieszne, raz czułe, drugi raz szydercze, a zawsze znaczące, tych stolików zabawnych: — i powiedzcie mi teraz że to siła przyrodzona!

Ależ bo to wszystko, wołają znowu magnetyści, to wszystko dzieje się według myśli osoby działającej. Co mówicie: według myśli? Jeszcze

gdybyście mi powiedzieli: według woli; choć i to dziwne, choć i to zresztą nie prawdziwe, ale jeszcze zrozumiałbym jakokolwiek. Według woli dzieje się mnóstwo dziwnych rzeczy w magnetyzmie, więc możebym i tu mógł co podobnego przypuścić. — W każdym razie, kiedy się powie: według woli, to się da wytłómaczyć. Naprzykład: chcę podnieść moją rękę, mam wolę, i podnoszę. Nie wiem wprawdzie jakim sposobem, ale to dobrze rozumiem że wolą moją podniosłem rękę. Dajmy tedy, patrzcie na co przystaję! dajmy mówię że to co z ręką moją zrobić mogę, że to samo przez siłę magnetyczną mogę zrobić i ze stolikiem. Rzecz to wprawdzie stokroć dziwniejsza; rzecz nawet bardzo różna jedna od drugiej; jednakże można powiedzieć że jest i coś podobnego. Podobieństwo jest w tem że i tu i tam używa się woli. — Więc puszczam to, nie przeciwię się, daję na to że mogę wolą stolik kręcić. — Ale myślą? Myślą samą kręcić stoliki, i żeby stoliki według samej myśli mojej kręciły się, na samą myśl moją czyniły co czynią, to dopiero przypuszczenie potworne! A toć ja przecie myślą moją własnej ręki podnieść nie jestem zdolny; i gdybym cały dzień o tem myślił jak rękę podnieść, tedy się ręka pewnie nie podniesie sama. A gdyby się podniosła: oh! tedybym dopiero miał się czemu dziwować; a ja myślę że nietylkobym się zdziwił, alebym się przestraszył niemało, gdyby się tak ręka moja sama podnosiła bez mojej woli na proste o tem pomyślenie. Owszem, myślę że każdy z was i dziwiłby się i przestraszył, gdyby na prostą myśl naprzykład: że wczoraj milę lub dwie uszedł, same nogi natychmiast ruszać się zaczęły i te same dwie mile szły znowu bez rozkazu. Ah! bo doprawdy byłoby się czego przestraszyć; wtenczas już o niczem myślić nie byłoby można, nawet śnić o niczem; człowiek nie miałby odpoczynku ni we dnie ni w nocy. Eh! co tu i mówić jeszcze o bredniach takich? A jednak uczeni mówią o nich, mówią poważnie że stoliki na moją myśl odpowiadają, to jest że dość mojej myśli aby mi stukały tyle i tyle razy, i t. d. że do tego nie potrzeba mojej woli *). I to uczeni mówią, i poważnie mówią. I gdzież ich myśl wtedy była kiedy coś podobnego mówili? Bo w tej mowie doprawdy myśli niema, niema myśli porządnej, logicznej, jednem słowem niema myśli ludzkiej. Można słusznie o nich powiedzieć, co o podobnych im mówi Duch Święty: *Evanuerunt in cogitationibus suis.* Sczeźli wszyscy w myślach swoich! — Ah jakto smutna dla uczonych i rozumnych mówić słowa, w których myśli niema, słowa, które się z rzeczami biją, i przegrać muszą koniecznie! To się im niestety zdarzyło w tej sprawie ze stolikami. A dla czego? bo nie chcieli prawdy powiedzieć. Stoliki rzeczywiście na myśli odpowiadają, ale nie odpowiadają *według myśli;* to jest odpowiadają nie według mojej myśli. Tego uczeni nie chcieli powiedzieć, boby to ich koniecznem następstwem zaprowadziło w świat duchów, a oni o tym świecie nic wiedzieć nie chcą. Jednakże trzeba było coś powiedzieć. Więc powiedzieli niedorzeczność. Co za smutna rzecz dla uczonych!

— Lecz po co tak na progu stoję, a nie idę dalej do samego jądra

---

*) Między wielu innymi patrz: Gasparin: Des Tables etc. passim.

rzeczy? Tu nietylko na myśl stoliki odpowiadają, ale się dzieje zupełnie co innego i co więcej daleko znaczy; tu dopiero leży prawdziwa treść rzeczy, prawdziwa jej istota. — Oto, *stoliki same myślą*, i tę myśl następnie objawiają jak każda istota rozumna i samowolna: a więc mówią, a więc piszą; — myślą, mówią i piszą, nie według woli, ani nawet według myśli osoby wyzywającej, ale według własnej myśli, według własnej woli. W tem jest cała istota rzeczy!

Bracia moi, to jest faktum które uczeni jak mogą przekręcają, to jest ci którzy mówią o niem, tusząc sobie że w tłómaczeniu będą mogli mu sprostać, to jest przekręcić *). Inni zaś którzy mają bystrzejsze oczy, i którzy z góry widzą że przekręcić go nie będą mogli, mędrzej sobie poradzili, i głuchem milczeniem, nie przypuszczaniem go do dyskussyi, chcą to faktum żywcem pogrzebać **). Ale my tem głośniej o niem mówmy; a z drugiej strony w tem jaśniejszem wystawiajmy go świetle; bo w całej tej rzeczy wszystko około tego faktum się obraca, wszystko od niego zawisło, i inaczej być nie może: w każdem bowiem zjawisku idzie o ostatni, największy, najwydatniejszy czyn; w nim dopiero całe zjawisko pokazuje się czem jest, objawia swą cechę prawdziwą, swe piętno ostateczne, swoją istotę zupełną.

A więc dobrze przed oczy sobie całą rzecz wystawmy: Stoliki myślą, mówią, piszą, według własnej woli, według własnej myśli. Ktokolwiek zajmował się tą rzeczą, ktokolwiek o niej czytał jakie dokładne sprawozdanie, sprawozdanie z faktów, bo nie mówię o czczych rozumowaniach, ten wie dobrze że tak jest. Przetoż faktów szczegółowych nie przytaczam. Możeście je sami widzieli, słyszeliście o nich niezawodnie, zapewneście i czytali fakta oczywiste, fakta najniezaprzeczeńsze. Pełno ich: w oczy biją! — Dzięki Bogu! jeszcze uczeni światem nie rządzą: więc jeszcze możemy prawdę o rzeczach wiedzieć. O! bo gdyby kiedy to nieszczęście na świat spadło, w tedy dopiero poznalibyśmy co to jest prawdziwa inkwizycya. Inkwizycya uczonych inna wcale od tej, o której kiedyś ci sami uczeni bajki pisali. Wtenczas pewno nie wiedzielibyśmy tego o rzeczach co o nich wiedzieć potrzeba, ale to tylko coby się uczonym dać nam wiedzieć podobało. Lecz dzisiaj, na szczęście! mamy jeszcze wolność od ciemnoty: jeszcze uczeni światem nie rządzą. Słyszeliśmy tedy, czytaliśmy, dowiedzieliśmy się co nam potrzeba wiedzieć o tej rzczy. Wiemy że stoliki myślą, mówią, piszą, jak osoby rozumne, niezależne, samowolne. Wiemy że to jest prawdziwa istota tej rzeczy.

Ale teraz cóż z tego za następstwo? Proste jak sam rozsądek: oto że tam są osoby inne od nas, niezależne, niepodległe, a rozumne i samowolne. Toć przecie prawda ta jasna jak dzień biały!

Mój Boże! do czego to przyszło! Czyż to takich już rzeczy trzeba dowodzić? Takież to zatępienie umysłów? Takażto ślepota ducha! Takaż to nieobecność wiary! Co mówię: wiary? Takiż-to brak zdrowego już roz-

*) Tu należy cała szkoła magnetyczna.

**) Taką jest cała szkoła pozytywna, materyalna, w świecie uczonym rej wodząca: Faraday, Arago, Babinet, i t. d. i t. d. a nawet Reichenbach.

sądku! Takie wywrócenie wszelkiego pojęcia o rzeczach, że kiedy o djabłów idzie, tedy nie można przychodzić do ludzi z wyższemi zasadami, z wnioskami głębszemi, nie; ale trzeba się zniżyć do najprostszych rzeczy: trzeba ich prosić żeby nie zapominali pospolitego rozumu, trzeba błagać pokornie aby wrócili do zdrowego rozsądku, trzeba modlić, upraszać, zaklinać aby przecie mieli oczy do widzenia, uszy do słyszenia i głowę jakąkolwiek do sądzenia po ludzku o rzeczach! Do tego przyszło!

Więc już raz obaczcie że prosty rozsądek, najpospolitszy rozum mówi, twierdzi, woła że w stolikach tych wiercących się nie magnetyzm te dziwy sprawia, nie żadna siła przyrodzona; ale że to co w nich puka, stuka, kręci, gada, pisze, śmieje się, szaleje, to są osoby. Tu wątpliwości nie ma, tu wątpliwości nawet być nie może.

Lecz czy te osoby są dobre, czy też to są złe duchy? To drugie pytanie, na które także nie ma i być nie może wątpliwej odpowiedzi. — Tu znowu musimy postawić prawidło: bo w każdej rzeczy, w każdym sądzie o rzeczy powinno być jakieś pewne prawidło, na którem wszystko opierać się powinno. Tutaj zaś prawidło będzie następne: Jakie czynności, takie osoby. — Wszakże to jasne!

Patrzcież tedy, proszę was, jakie czynności tych osób stolikowych! Lecz słyszę, słyszę ile tu rozróżnień, wymówek, obron, usprawiedliwień, — a to już od tych co wierzą że w tych stolikach doprawdy osoby działają. Trzeba rozróżnić, mówią, są tam dobre duchy i są złe: złe odrzucić, ale dobrych trzeba przyjąć i słuchać. Tak przecie słuszność każe!

Nowa tu przeprawa, bracia moi, ale się ja na nią nie puszczę. Nieskończyłbym, nie, nieskończyłbym gdybym tu chciał rozprawiać z tymi obrońcami dobrych duchów. Nie będę, przeto i to tem bardziej że gdybym się wdał w rozprawę, jużbym tem samem prawdzie uchybił. — A naprzód nie skończyłbym: bo tych ludzi nic nie przekona. Oni swym rozumem sądzą o rzeczy, która jest nad wszelki ich rozum. Chcą rozróżniać co nie do nich należy rozróżniać, przypisują sobie urząd którego nie mają, mieć nie mogą. Sądzić które duchy są złe, a które dobre, to tylko należy do Boga w niebie, i do kościoła na ziemi. Więc gdybym z nimi rozprawiał w tej mierze, przyznałbym im to prawo, tę moc, ten urząd: a wtenczas biada mi, i biada im! Nietylko jabym nie skończył rozprawy, ale oniby się w swojem utwierdzili. Taka jest fatalna logika zaślepienia w zdaniach na własnym sądzie opartych: wszelkie rozprawy to zaślepienie powiększają, krzepią, gruntują! Mężu, sługo Boży! z zaślepieniem nigdy nie rozprawiaj! tylko mu daj słyszyć głos mocy Bożej, głos obowiązku; a tym obowiązkiem posłuszeństwo.

Lecz nie tylkobym nie skończył, alebym jeszcze prawdzie uchybił. Rozprawiając o tem czy tych duchów słuchać, czy nie słuchać, przypuściłbym że w tych stolikach są duchy których można słuchać, że i dobre duchy mogą przez stoliki stukać, pukać, mówić i pisać: a to jest fałsz wierutny, który już teraz wykazać muszę. Słuchajcież mię teraz, bracia moi; pokażę wam że wszystkie duchy w stolikach siedzące, lub ze stolików wylazłe, są koniecznie, wszystkie bez wyjątku, złymi duchami.

Dowód jest prosty: Wiara nas uczy że między aniołami a czartami nie ma żadnych pośrednich duchów. Wprawdzie są dusze w czyscu będące, które mogłyby uchodzić za coś pośredniego, ale naprzód są to dusze nie duchy, całe zajęte pokutą swoją w miejscu na to przeznaczonem; powtóre mam mocny powód z wiary pochodzący że ile razy przemawia głos jaki jakoby duszy czyscowej, tyle razy przemawia nie żadna dusza, ale zły duch tylko. Uczy mię tego Rytuał rzymski, i właśnie w naukach i obrządkach exorcyzmowych przez kościół na wypędzanie czartów spisanych. Tam kościół przestrzega exorcystę, aby, nie wierzył złemu duchowi kiedy będzie udawał i mówił że jest duszą albo świętego jakiego, albo umarłego*). Ten jest zwykły wykręt szatański i płaszczyk którym się przykrywa; i kiedy mię tak kościół na wszystkie wypadki o tem przestrzega, zmuszony jestem ile razy odzywają się owe mniemane dusze święte czyscowe, natychmiast przypuścić że to są istne złe duchy. Tak więc między aniołami i czartami nie ma żadnych pośrednich duchów któreby ze mną mogły obcować, a ja mógłbym im wierzyć. Aniołowie w niebie i przy straży naszej, czarci w piekle i tu na ziemi, w ciemnościach tych, jak ś. Paweł mówi (Ef. VI, 12), ku kuszeniu naszemu i abyśmy z nimi walczyli, oto jedyne duchy z którymi mamy do czynienia. Owoż wiara uczy nas że aniołowie nic od siebie samowolnie nie czynią, ani nawet za prostem zezwoleniem Bożem; że wszystko czynią na skinienie Boże, że Bóg sam przez nich działa: oni są narzędzia, a Bóg działaczem. Z tego już widzicie, że sam taki stan aniołów wbrew się przeciwi całej tej sprawie stolikowej: toć rzecz jasna! Gdyby w stoliku anioł odpowiadał, tedyby sam Bóg odpowiadał. Boże wielki! jakie myśli dzikie i okropne rodzą się z samego takiego przypuszczenia! Sam Bóg przez swego anioła kręciłby stolikiem, gadałby...... Dosyć! Nie mogę mówić dalej przez uszanowanie jakie winienem dla Stwórcy mego, dla Boga mego! I wy, ludzie niebaczni! to przypuszczacie, to twierdzicie, tem się bronicie, co nawet wymówić nie można, co nawet pomyślić, zgroza! Czy nie widzicie jaka herezya, błąd, bluźnierstwo w tej myśli samej? I jeszcze przypuszczać będziecie że to dobre duchy, że to anioły? O dajcie pokój błędowi! Dalej go chować byłoby zbrodnią!

Ale ja teraz więcej wam powiem, i do ostatka was przekonam, jak ta cała rzecz jest djabelska. Wiecie dla czego kładą się ręce, i dla czego kręci się stolik? To wszystko nie bez przyczyny. Położenie rąk, to znak umówiony z djabłem; czy on połączony jest z jakiem zjawiskiem przyrodzonem, lub nie; czy przez to położenie działa magnetyzm, lub jaka inna siła naturalna, lub też nie, to wszystko jedno; w każdym razie to jest znak na dzisiaj znaczący. Wiecie o tem, czy nie wiecie, przypuszczacie czy nie przypuszczacie że to znak, to znowu wszystko jedno; jużem to wam w przeszłej nauce wytłómaczył, nie trzeba się samemu o te znaki umawiać, dosyć jest raz przyjęte uczynić. I to nawet często dosyć jest

---

*) Neque ei credatur si dæmon simularet, se esse animam alicujus Sancti, *vel defuncti*, vel Angelum bonum. *Rituale Rom.* de Exorcizandis Obsessis a dæmonio; ab init.

raz tylko lub drugi ten znak uczynić, potem się i bez znaków obejdzie. Więc tedy macie znak umówiony, — a wiecie jaka to rzecz znaków umówionych potrzebuje; rzecz djabelska. Ale jeszcze więcej wam powiem: Powiem wam tajemnicę kręcenia się, przyczynę dla czego to stoliki nie co innego powszechnie czynią jedno to że się kręcą? O posłuchajcie: Kręcić się, to jest właśnie rzecz djabelska; i w tem cała tajemnica! — Bóg miłosierny pozwalając djabłu to pojawienie się na świecie, zmusił go pokazać się w swej własnej postaci, ażeby go ludzie łatwiej poznali. Kręcić się, powtarzam, to rzecz djabelska! Patrzcie: kiedy kto pijany, tedy mu się w mózgu kręci; kiedy kto przytomność straci, kręci mu się w głowie. Patrzcie: kiedy kto szaleje, kręci mu się w rozumie; kiedy kto z namiętności przepada, kręci mu się w sercu, kręci w duszy; tamten wciąż chodzi koło jednej myśli, a ten wciąż krąży koło jednego pragnienia, albo koło jednej straty; jednem słowem kto stracił pokój swój, szczęście swoje, cel swój, temu się kręci w całej jego istocie. Djabeł stracił to wszystko: stracił cel, do którego prosto iść miał: Boga, więc prostą drogę stracił; a że siebie samego wziął sobie za cel ostateczny, więc odtąd koło siebie samego wiecznie się kręci: kręci się z głupstwa, kręci z szaleństwa, kręci z bólu, kręci z rozpaczy: ten jego wieczny, śmiertelny taniec! Z tą swoją grą dzisiaj przed świat wystąpił: nie mógł inaczej, Bóg mu tak kazał! — A ludzie? ludzie! że wiary nie mają, więc też nie mają oczu do widzenia, rozsądku do sądzenia! Widzą przed sobą piekło i nie poznawają że to piekło; widzą szatana, i nie wiedzą że to szatan; on przed nimi tańczy po swojemu, nic się nie ukrywa, kręci się jak potępiony: a oni dalejże za nim w pląsy! Nieszczęśliwi! nieszczęśliwi!

O Boże miłosierny! daj przynajmniej aby przejrzeli, póki czas jeszcze!

Bracia moi! Pokazałem wam że w stolikach są duchy, i że to są złe duchy. Kilka słów jeszcze o tem, jak tę rzecz Bóg i kościół potępia.

II.

Wszelkie stosunki ze złym duchem, proste z nim obcowanie, prosta rozmowa, a cóż dopiero używanie go do sprawek jakich, cóż dopiero wypytywanie u niego prawdy, tajemnic, przyszłości, radzenie się, wierzenie mu, że już nic nie powiem o występnem i świętokradzkiem oddaniu mu się, to wszystko uważane jest przez Zakon Boży i kościelny jako grzech najcięższy, najgodniejszy pomsty i kary. I słusznie: bo stosunek z djabłem jest zaparciem się wszystkiego cośmy winni Bogu, a szczególniej zaparciem się wiary samej, a potem i nadziei i miłości.

Nie ma naprzód wiary w Boga, ten, który się do szatana udaje. Już mu nie dosyć co Bóg objawia, czego kościół uczy: idzie szukać prawdy u mistrza kłamstwa, idzie wierzyć temu, któremu imię: zwodziciel! Ten sam, co przed Prawdą Najwyższą nie chciał ani razu głowy schylić, bije tysiące czołobitnych pokłonów przed kłamcą i naśmiewcą swoim! Wierzy w baśnie jego, na szyderstwo wymyślone, ten, który nie chciał wierzyć w wieczne prawdy Boże! O rozumie!

Ale nie ma ten i nadziei w Bogu. Bóg pokazał nam cel nasz ostatni, dał przykazania, dał obietnice, dał łaskę, dał środki, do dostąpienia ostatniego i wiecznego dobra naszego; a największy środek: modlitwę, i obietnicę wysłuchania. Ale ten który nie pojmuje, lub pojąć nie chce jak się można do Boga modlić, prosi, modli się, i spodziewa od zwodziciela, od nieprzyjaciela, od zaciętego wroga swego pociechy, łaski, zabawy, szczęścia! O rozsądku, o rachubo!

Nie ma ten nareszcie miłości. Co tu i mówić o miłości? Takiemu stosunki z Bogiem stają się jarzmem ciężkiem i brzemieniem nieznośnem, ścierpieć ich nie może; ale za to z nieprzyjacielem jego brata się wesoło, tańczy, igra, śmieje się, ściska, ma swoją uciechę i zabawę; z nieprzyjacielem Boga swego, ze zdrajcą, z niszczycielem, z mordercą swoim. O serce! o duszo!

Takto ktokolwiek z szatanem wchodzi w stosunki, wyrzeka się wiary, nadziei, miłości, wszystkich węzłów z Bogiem; choć w skutku to nie od razu się pokazuje, ale w gruncie tak jest: powoli i do skutku to przyjdzie. Wyrzeka się tych świętych węzłów z Bogiem, w których jest całe życie duszy; — wtedy dusza żyć przestaje, sama się na śmierć oddała: *quorum finis, interitus*, których końcem zatracenie. (Filipp. III, 19.) Sama dusza ten sobie okropny koniec wybrała: i dla kogo? dla szatana!

Więc słusznie rzecz tak śmiertelną i śmiertelnej kary godną, równie zakon Boży jak zakon kościelny śmiercią też karze. Prawo Boże już widzieliście: „Czarnoksiężnikom nie pozwolisz aby żyli! (Ex. XXII.)“—„Mężczyzna lub niewiasta w której jest duch Python, albo duch wieszczbiarski, śmiercią umrą, kamieniami zakamienują ich, krew ich niech na nich spadnie (Lev. XX.)!“ Takie jest prawo Boże. I nietylko tem prawem Bóg groził, ale je surowo wypełniał. Widzieliście w przeszłej nauce przykład nieszczęsny Saula, radzącego się niewiasty Pytonissy: Bóg mu tego nie przepuścił; tą zbrodnią dokonał Saul miary wszystkich innych, i pismo święte tę jednę stawia na równi ze wszystkiemi innemi, a było ich tyle w życiu Saula. „Umarł przeto Saul, prawi, dla nieprawości swoich, iż przekroczył przykazanie Boże, które mu przepisał, i nie zachował go: lecz nadto jeszcze Pytonissy się radził, a nie ufał w Panu; dla tego to zabił go, i przeniósł królestwo jego na Dawida, syna Isaï (I. Paralip. X, 13, 14.).“ Taki był zakon Boży, i takie jego wykonanie przez Boga samego. A zakon Boży w tej rzeczy jest niezmienny, i dziś równie obowiązuje, i równie karze, karze śmiercią: naprzód wprawdzie śmiercią tylko duchową; ale jeżeli upamiętanie nie nastąpi, przyjdzie i śmierć doczesna, jak Saulowi, dla tego grzechu przyspieszona.

I zakon kościelny jest w tej mierze równie surowy. Zawsze kościół ten grzech kładł na równi z herezyą i z zaprzaniem się Boga. Uważał to za odstępstwo, za zaparcie się wiary — i nawet dalekie w nim uczestnictwo nie zostawiał bez kary przykładnej.

Tak np. Sobor Kartagiński IVty złożony z 214 biskupów, miany r. 398, wszystkich podobnych wyklina: „Kto służy wróżbom, prawi, albo czarom, z łona kościoła niech będzie wykluczony. Podobnież i ten który

przywiązany jest do zabobonów żydowskich, i do dni feryalnych *).“ Wyklina tedy kościół takich; a jest to także rodzaj śmierci, bo klątwa jest śmiercią kościelną.

Tak samo przedtem koncylium ancyrańskie, niemal powszechne z całego wschodu, a miane jeszcze roku 314, gdzie przeszło stu biskupów zasiadało, nietylko na głównych winowajców, ale i na uczestników następne postanowiło prawo: „którzy wróżą, prawi, i za zwyczajem pogan idą, albo do swojego domu kogo wprowadzają do lekarstw wynalezienia, lub do oczyszczania zabobonnego, niech pod kanon lat pięciu (pokuty) podpadają, podług stopni naznaczonych, trzech lat substracyi a dwóch lat modlitwy bez ofiary **).“

Tak samo później r. 724, sobor rzymski, pod Grzegorzem II papieżem, przez niegoż przewodzony, i pierwszą i drugą karę obostrzając jeszcze, nawet do uczestników karę klątwy rozciąga: „Jeśli kto, prawi, wieszczków, wróżbitów, czarowników radzić się będzie, albo ich czarów używać, niech będzie przeklęty. I wszyscy biskupi odpowiedzieli trzy razy: Niech będzie przeklęty ***).“

Tak samo i przedtem i potem sobory laodycejski, agateński, orleański, toletańskie, rzymskie, tak samo papieże, tak samo kościół cały. Dnia by mi zabrakło, gdybym wszystkie chciał wyliczać. Dość mi na zakończenie ogólnego prawidła i ogólnej ustawy jaką prawo kanoniczne w rzeczy tej stosunków z djabłami biskupom i wszystkim swym urzędnikom przepisuje. Oto jest ta ustawa: „Biskupi, prawi, i ich urzędnicy wszelkiemi sposobami niech sprawić usiłują, aby zgubną i od djabła wynalezioną wróżenia i czarowania sztukę z powiatów swoich zupełnie wykorzenili; a jeśli jakiego męża lub niewiastę tej zbrodni spólnika znajdą, odjąwszy mu cześć wszelką, niech ze swoich okręgów wyrzucą.... Przewróceni są i od djabła w niewoli trzymani, którzy porzuciwszy Stworzyciela swego, djabła pomocy szukają; i dla tego od takiej zarazy święty kościół oczyszczonym być ma ****).“ To prawo już nietylko duchowną na duszę śmierć kła-

---

*) Auguriis vel incantationibus servientem, a conventu ecclesiæ separandum. Similiter et superstitionibus judaicis vel feriis inhærentem. Labbe et Conart. Sacross. Concilia, edit. Paris. 1671. t. II. col. 1206. — can. 89.

**) Qui vaticinantur et gentium consuetudines sequuntur, vel in suas ædes aliquos introducunt ad medicamentorum inventionem, vel lustrationem, in quinquennii canonem incidant, secundum gradus præfinitos, tres annos substrationis, et duos annos orationis sine oblatione. Ib. t. I, col. 1463. — can. 24.

***) Si quis hariolos, aruspices, incantatores observaverit, aut phylacteriis usus fuerit, anathema sit! Et responderunt omnes tertio: anathema sit! Ib. t. VI. col. 1457. can. 12.

****) Episcopi, eorumque ministri omnibus modis elaborare studeant, ut perniciosam et a diabolo inventam sortilegam et magicam artem, ex parochiis suis penitus eradicent, et si aliquem virum aut mulierem hujusmodi sceleris sectatorem invenerint turpiter dehonestatum de parochiis suis ejiciant..... Subversi sunt, et a diabolo captivi tenentur, qui relicto Creatore suo, diaboli suffragia quærunt, et ideo a tali peste debet mundari sancta Ecclesia. Decreti II pars, Causa XXVI, quæst. V. c. 12. in Corp. Juris Canon. edit. Aug. Taur. 1745. t. I.

dzie, ale i doczesną według tego świata, sławę wszelką i dobre imię i obcowanie z innymi ludźmi, winowajcom słusznie odbiera. O gdyby to prawo znowu szanowane było! I gdyby taka zbrodnia przeciw Bogu, i między ludźmi za zbrodnię była przecież uważaną!

Ostatnie wyroki nareszcie i ostatnie klątwy uroczyste rzuciła na to przestępstwo Stolica apostolska. Syxtus V wydał osobną bullę, w której zarazem całą rzecz opisuje, i tę złość, grzech, zbrodnię uroczyście potępia, i nakazuje surowo wszystkim władzom duchownym, aby ją z korzenia wytępiali.

— Śmierć tedy i z prawa Bożego i z prawa kościelnego jest karą tej świętokradczej zbrodni. I śmierć też, bez pochyby, posłuszna Bogu, po ofiarę swoją przychodzi. Śmieją się ludzie niemądrzy z klątw kościelnych, jak się śmieją ze śmierci duchowej którą grzech rodzi. Alboż to, powiadają, gorzej my się teraz mamy, po grzechu, niż przed grzechem? albo gorzej po klątwie? — O żartuj sobie zdrów dzisiaj, człowieku niemądry! chwal się bezpiecznie póki możesz.... Zaczekaj! Przyjdzie chwila gdzie żart ustanie! Prędzej, czy później, Bóg swoje kary duchowe cieleśnie spełnia; prędzej czy później i kary kościelne Bóg wykonywa. Nie, jeszcze nie wyszedł cały, kto się z Boga sprawiedliwości i z prawa jego naśmiewał; nie umarł spokojny, kto klątew kościoła nie szanował. Patrzcie na wielkich tego świata, którzy kościół prześladowali; niedaleko sięgając; przeszli oni i przed oczyma naszemi, patrzyliśmy na nich: dzisiaj widzieliśmy ich dumną zbrodnię, nazajutrz ich nikczemny koniec!

Lecz i w tej samej rzeczy, czyż nie widzieliśmy smutnych wypadków? Ach, widziałem, widziałem obłąkanych co rozum utracili z podobnych igraszek z djabłami; samiście może widzieli chorych, pełno ich, chorych jakiemiś niezwykłemi chorobami, prawdziwie djabelskiemi. Nie jeden mizernie, nieszczęśnie skończył! koniec ich śmierć: *quorum finis interitus!* O najdrożsi! co za smutny widok! Jaki ból serdeczny nie ma nas ściskać, jakich gorzkich łez nie mamy wylewać?

Odwróćmy oczy! podnieśmy je raczej do góry i podziwiajmy sprawy w tém Boże! — O! ta cała rzecz nie na darmo. Bóg ją dopuścił. — Patrz! świat dumny chciał nic niewiedzieć o Bogu; Bóg go upokorzył: oddał go na śmiech szatanom! — Wy, ludzie tego świata! czyście wielcy, czy mali; czy uczeni, czy nieucy; czy wierzący w te rzeczy, czy niewierzący, ze wszystkich was szatan się śmieje; z każdego z osobna i ze wszystkich razem. Równy śmiech dla niego i wasze dumne ku niemu zachowanie się, i wasza nikczemność; i mądrość wasza, i nieuctwo; i niewiara, i łatwowierność; jemu to wszystko równą zabawą i równą krotochwilą! Tych jego śmiechów nie zakrzyczycie! Długo, długo, do późnych pokoleń, jeźli tylko wiele ich jeszcze będzie, powtórzy historya, pamięć rodu ludzkiego, te śmiechy szatanów nad ludźmi, nad wielkimi, nad mędrcami wieku naszego. To sprawiedliwość Boża!

Lecz zobaczmy i miłosierdzie. Nietylko upokorzyć chciał ludzi Pan Bóg, chciał ich i zbawić. Chciał aby się obaczyli, upamiętali, nawrócili. Tak Bóg dobry czyni. I tu się pokaże kto z ludzi miał dobre serce, kto

miał umysł prosty. Ci wszyscy nawrócą się. Już się niejeden nawrócił, i to z wyższych umysłów. Przyjdą i inni, których Bóg przewidział. — Dzieło miłosierdzia pokaże się równie jasne jak i dzieło sprawiedliwości.

A my co, bracia moi? Jednem słowem rzecz zakończę. Upokorzmy się przed Bogiem. Podziwiajmy dzieła Jego, chwalmy Pana naszego: z jednej strony dziękujmy mu za naszą całość i wybawienie od złego; a z drugiej módlmy się za tamtych braci naszych nieszczęśliwych, módlmy się gorąco, jeszcze raz mówię: módlmy się!

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO.

MAKBET. *Tragedya Wilhelma Shakspeara*, przełożona z angielskiego wierszem polskim przez Andrzeja Edwarda Koźmiana. Poznań, nakładem Księgarni J. K. Żupańskiego 1857.

Kiedy przed kilkonastoma laty X. Hołowiński wydał dwa tomy swych przekładów z Szekspira, John of Dycalp dwie części *Henryka IV i Puste kobiety z Windsoru*, p. Józef Korzeniowski *Króla Jana*, a wielu innych to ogłaszało wyjątki to zapowiadało obszerniejsze w tym kierunku przedsięwzięcia, można się było spodziewać iż wkrótce cały Szekspir przepolszczonym będzie. Nadzieje te zawiedzionemi przecież zostały. Odżyły one dopiero od roku, gdy p. Józef Paszkowski począł swe przekłady umieszczać *w Bibliotece Warszawskiej (Śmierć Cezara, Koryolan, Romeo i Julia)*, i zarazem oświadczył, że za główne zadanie położył sobie wytłómaczenie wszystkich dramatów Szekspira, — gdy wieść się przez dzienniki rozniosła iż p. Komierowski podał już dziesięć sztuk du druku, a również zamyśla o dalszych w tym zawodzie pracach, — gdy wreszcie poczęła obiegać pogłoska, że p. Żupański zrobił układ z dwoma rodakami, którzy długo w Anglii przebywali i już od lat wielu dokonali tłómaczenia w większej części dzieł Szekspirowskich, co do całkowitego onych wydania miesięcznemi poszytami. Jest więc nietylko dostateczność ale zbytek zapowiedzi, nie tylko nadzieja lecz pewność że niebawem ujrzymy całego Szekspira w polskim stroju. Trudno bowiem przypuścić aby aż trzy przedsięwzięcia, każde mniej więcej do połowy już dokonane, nie doszły nigdy do końca. Wolelibyśmy nawet aby one nie równocześnie ale jedno po drugiem uskuteczniało się, tak iżby następcy mogli korzystać z pracy poprzedników. Należałoby przynajmniej życzyć aby tłómacze nie poczynali wszyscy swych wydań od sztuk najcelniejszych, gdyż tym sposobem, chociażby żaden z wspomnionych zamysłów nie urzeczywistnił się w zupełności, to przecież mogłoby się szczęśliwie zdarzyć że z części przez każdy dostarczonych złożyłaby się całość, w razie zaś przeciwnym przybyłoby kilka przekładów sztuk już przyswojonych literaturze naszej, a inne pozostałyby nieznanemi, i nigdy rodacy nie poznaliby całego tak dziś powszechnie wielbionego angielskiego dramatyka.

Znamieniem tych wszystkich od roku zapowiadanych przekładów ma być jak najściślejsza wierność, niedozwalająca sobie żadnych zmian ani

opuszczeń, chociażby dowcipy, dwuznaczne żarty i trywialności, tak częste u Szekspira, obrażały smak dobry a nawet i przyzwoitość, — wierność nie tylko w treści ale i w zewnętrznem odbiciu, tak iż proza prozie, wiersz nierymowy wierszowi nierymowemu, końcówka końcówce jak najdokładniej mają odpowiadać, chociażby wezwyczajone ucho polskie do ciągłego rymu i jednostajnego rytmu nie prędko zdołało przywyknąć do wierszy najpospoliciej bezrymowych albo znieść bezkształtnej częstokroć mięszaniny długich i krótkich jakoby niedokończonych wierszy. Trudno przewidzieć ostatecznego wyroku publiczności. Dałoby się wiele powiedzieć za i przeciw podobnemu sposobowi tłómaczenia. Ani jeden rok, ani jedna próba, ani jedna recenzya choćby najświatlejsza stanowczego zdania ustalić w tej mierze nie zdołają. My też niczego przesądzać nie odważamy się. Zwracamy tylko uwagę na ogrom trudności, które tego rodzaju przekłady napotkać i zwyciężyć muszą, zanim znajdą przychylne przyjęcie i ustalą swą wziętość u ogółu czytelników.

Wśród tych obietnic i przygotowań pojawia się w Poznaniu przekład *Makbeta*, wierszem ciągle rymowanym i jednakową miarą dokonany, a tak wyborny, taka siłą obok ogłady i wdzięku zalecający się, iż obawiać się należy, aby publiczność nasza nie stała się jeszcze trudniejszą, a może nawet całkiem nieprzystępną dla tłómaczów głównie wierność na celu mających, i żeby ciż nie zniechęcili się i od dopełnienia zamiaru swego nie odstąpili, co byłoby stratą dla literatury i na długi czas zamknęłoby nadzieję ożywienia tak dotąd ubogiego jej dramatycznego wydziału przez wpływ, jakiby niezawodnie zaznajomienie się z wszystkiemi dziełami Szekspira wywrzeć musiało. Najpracowitszy bowiem tłómacz nie zdołałby całego, choćby najdłuższego żywota trudem wystarczyć, gdyby zapragnął oddać zupełny zbiór utworów Szekspira z takiem wykończeniem, z taką poprawnością i tak wzorowemi wierszami jak p. Andrzeja Koźmiana. Zdaniem naszem, tłómacz dla Szekspira osobno kiedyś zrodzić się musi. Będzie musiał mieć ku temu umyślne i wyłączne przeznaczenie, odpowiedni genjusz i drogę doskonale wprzód przygotowaną. Tylko ten, co będzie mógł od pierwszej młodości swojej głęboko przejąć się Szekspirem i wtajemniczyć się w jego duch i sztukę, zdoła w całym blasku i sile odwzorować go w mowie ojczystej. A jakżeż to stać-by się mogło, gdyby poprzednio nie było przynajmniej dokładnych i wszelkiemi możebnemi wyjaśnieniami uzupełnionych tłómaczeń? Inne literatury, mniej śmiałych i ambitnych pracowników jak nasza mające, przyswajają sobie wielkich obcych pisarzy naprzód przekładami prozą. U nas każdy-by sobie za ujmę uważał taką pracę podrzędną. Nikt się nie zniży do tłómaczenia poezyi inaczej, tylko koniecznie wierszem od pierwszego razu. Pomyślny więc to trafunek, że scisła wierność i w treści i w formie uznana naczelnym warunkiem dała u nas pochop w ostatnich czasach przekładom wymagającym mało co więcej mozołu od dobrej prozy, a przecież niewykluczonym od wierszopisarskiego dostojeństwa. Wypadałoby przeto żałować, mianowicie przez wzgląd na owego przyszłego arcy-tłómacza, gdyby jakakolwiek okoliczność pozbawiła nas bezzwłocznego ujrzenia w polskim języku wszystkich razem dzieł Szekspira, a niech powtórzyć się godzi, że długo, nader długo trzebaby czekać, gdybyśmy dla każdego z nich wyglądali takiego tłómacza, jakim dla *Makbeta* okazał się p. Andrzej Koźmian.

Obawa ta nasza zdaje się nam być dobitniejszym hołdem dla pracy niniejszej, jak najżywsze pochwały, na które moglibyśmy się zdobyć. Mało wierszy udatniejszych, wspanialszych, znamy w naszym języku. Co również zadziwia, to wszędzie jednako utrzymana siła i uroczysta nadobność toku. Wszędzie wzorowa jasność, nigdzie zawiłości ani naciągania, a przytem wierność, o ile ta była możebną w takiego rzędu przekładzie.

Dosłowności niema, bo być nie mogło. Porównywając, przykładając, że tak powiemy, tłómaczenie do oryginału, czasem możnaby je pomówić o zbyteczne tekstu rozszerzanie, o nadto obszerną parafrazę. Niekiedy znajdujemy tu na jeden perjod dwa razy więcej wierszy jak w oryginale, jak np. przy pierwszem wystąpieniu Lady Makbet użyto 6 na odddanie 3½ wierszy. Nie zawsze to rozwlekłością mianować należy, bo często gdzie na tem ścisłość traci, to jasność zyskuje. Ze wszystkich sztuk Szekspira może w *Makbecie* najmniej jest ustępów zagmatwanych, niezrozumiałych albo z winy samego autora, albo z powodu złej punktuacyi, albo też najczęściej skutkiem opuszczeń i dodatków, których sobie pierwsi wydawcy dozwalali. I tu jednak kilka niedostępnych jasnemu pojęciu znajduje się. Nie trzeba przeto posądzać tłómacza o złe oddanie, gdy się naprzykład napotka tak trudne do rozwikłania miejsca jak monolog Makbeta w scenie 7ej aktu Igo lub też sam koniec aktu IIIgo. Owszem, szczęśliwie on nieraz rozjaśnia nader ciemne ustępy, a słabym dodaje siły i wdzięku, którego w oryginale nieposiadają. Ztąd w przekładzie ta uderzająca równość toku, która nadaje tej tragedyi prawie klassyczną postać. Jedyną zmianę w tym jednostajnym pochodzie stanowią dziwaczne sceny, w których czarownice występują, a które tłómacz tak wiernie a gromko przełożył, że możnaby je odtąd wszędzie przytaczać za wzór bogactwa, giętkości i sprężystości języka polskiego.

Z powyższego ocenienia łatwo się już domyśleć co najgłówniejszym może być zarzutem przeciw temu przekładowi. W nadto mozolnem wypracowaniu, w zbytecznem wygładzaniu, zatarła się rodzima szorstkość, swobodny pęd dykcyi, polot i doraźność genjuszu Szekspirowskiego. Dziwnie jakoś i wbrew swym przyrodzonym właściwościom wygląda Szekspir stąpający tak jednostajnie i uroczyście w koturnie klassycznym. Ale nie można potępiać pisarza kiedy jego zalety stają się w jakim wyjątkowym przypadku mniej przydatnemi, kiedy jako w tym razie, kształtność, jasność, staranne opracowanie, tak zawsze pożądane a tak dziś rzadkie, zagładzają nieco rodzime przymioty obrabianego kruszcu. Nic snadniejszego jak niby to naśladować dzikość, samowolność, rozrzutne niedbalstwo, które są nieraz znamieniem genjuszu, ale jeźli te w przekładach nie odpowiadają jak najdosadniej oryginałowi, to upadek prawie niezawodny, a jakżeż nieskończenie bezpieczniejszem i chwalebniejszem jest gdy tłómacz naznaczy sobie pewne granice i według ustalonych prawideł postępuje. W pierwszym razie brak dostatecznych w tłómaczu zdolności tworzy dziwolągi lub płaskie lichoty, w drugim nigdy zupełnie zbłądzić nie można. Nawet dla talentu daleko pewniejszą jest ta jak tamta droga. X. Hołowiński miał znakomitą zdolność, pracę, wytrwałość, rozumiał Szekspira dość dobrze, niechże czytelnik porówna jego przekład Makbeta z niniejszym, a ujrzy co za ogromna różnica. W jednym tylko względzie tłómacz hołdujący ogładzie zasługiwałby na najsurowszą naganę, to jest, gdyby dla utoczenia pięknego wiersza, dla zgrabnego rymu, dla jakiej świetnej antitezy, poświęcał myśl autora. Ale taki przypadek nigdzie tu niezachodzi. Są odstąpienia od myśli autora, brak często ścisłej wierności, ale nikt nie wskaże ani jednego miejsca, w któremby widocznie znać było podobne przeniewierzenie się autorowi tylko dla wypełnienia wiersza lub dla dźwięku. I my wolelibyśmy gdyby był p. K. więcej zaufał pierwszemu rzutowi pióra, mniej był przerabiał, mniej posługiwał się składnią i zwrotami klassyczne tragedje przypominającemi, a osobliwie gdyby był umiał lepiej pogodzić wspaniałość stylu z wiernością dla autora. Drugim bowiem zarzutem naszym jest, że ten ostatni warunek mógł być a nie został w wielu razach dopełnionym. Są miejsca, które zapewne nigdy z zupełną dokładnością wytłómaczonemi być nie mogą. Należało się jednak w nich starać o większe zbliżenie.

Są inne, albo bardzo małej wagi, albo takie, które tłómacz, mając zwróconą swą na nie uwagę, łatwo zdoła poprawić. Są nakoniec i takie, które koniecznie zmienionemi być muszą, bo wyraźnie pochodzą z błędnego rozumienia tekstu. Z pierwszej kategoryi kilka mimochodem potrącimy, z drugiej tylko ważniejsze, z trzeciej wszystkie. Dla ułatwienia jednak pracy i sobie, i tłómaczowi, i czytelnikom, gdyby któremu z nich starczyło cierpliwości na tak nudne zadanie, nie będziemy postępować odrębnemi kategoryami, ale iść prosto za tekstem od początku do końca, a jeźli gdzie szczególnego nacisku nie położymy, to znać że uchybienie uważamy za małoznaczne lub za niesposobne do naprawy.

Jeden przecież osobny oddział pozwolimy sobie na wstępie ustanowić, a to dla tego, że bardzo mało błędów do niego należy. Mówimy o wykroczeniach przeciw językowi lub składni wiersza. Uchybienia te może gdzieindziej nikogoby nie uraziły, ale tu w tak poprawnem dziele każdemu wpadną w oczy. Jest w nich parę, widocznie z winy drukarza pochodzących. Inne tłómacz bez wielkiej trudności poprawi. W pierwszym zaraz wierszu wyrażenie *powtórnym powrotem* wydaje się pleonazmem, również jak na następnej stronnicy wiersz:

Jak tam zkąd słońce wstaje, jak często u wschodu —

Lub na str 60:

Do odkrycia zbrodniarza, który był ukryty —

Następujące na str. 50 i 51 żadną miarą zostać nie mogą:

Syn, który wraz z nim jedzie, i zgonu którego
Również mi jest potrzeba jak i ojca jego —
. . . .
O lepiej być z umarłym, dla tronu którego
Myśmy go do spoczynku posłali wiecznego.

Tu i składnia zła, i wiersz słaby i rym za pospolity, Uderza to ostatnie tem więcej że tłómacz starannie dobiera rymów, chociaż nie sadzi się na nadzwyczajne. Nie pojmujemy również jakim sposobem uszedł jego baczności niezupełny rym *widownię* — *wspomnie* na str. 96. I oto wszystko cośmy przeciwnego językowi lub piękności wiersza wyśledzić zdołali.

Przystępując do wytknięcia odstąpień od tekstu poczynamy od czterech wierszy które koniecznie poprawić należy. W scenie 2giej aktu Igo tłómacz takie słowa kładzie w usta rycerzowi opisującemu walkę Makbeta z Makdonwaldem:

Wątpliwą była walka. Tak kiedy wśród wody
Dwaj się silni pływacze wypuszczą w zawody,
Płyną razem, jak gdyby do siebie zlepieni,
Wysilając swą sztukę wśród wodnej przestrzeni.

Na te cztery wiersze Szekspir ma tylko dwa. Nie mówi o silnych, ale przeciwnie o pozbawionych siły pływaczach. *Spent* znaczy znużony, wyczerpnięty. Nie powiada aby oni z sobą szli w zawody, ale owszem wystawia jak z sił opadłszy jeden czepia się drugiego i przez to zdolność, sztukę pływania w nim unicestwia. Na stronie 17 w wierszu pierwszym nicby było nie zaszkodziło gdyby zgodnie z oryginałem szybkość przybywających wciąż gońców do gradu nie do słów porównaną była. Wiersz zaś 4ty jest zbytecznym. Nie znajduje się w oryginale. Na str. 20 Dunkan mówi:

Dziś Kumberlandu Księcia godność mu nadaję,
Która także i dla was zaszczytem się staje,
Bo błyszcząc, jakby gwiazdy, szlachectwa klejnoty
Będą zawsze nagrodą zasługi i cnoty.

Nikt w tem nie dojdzie bardzo prostej myśli, której autor Dunkanowi użycza: Czynię Malkolma księciem Kuberlandu, nie on sam jeden (bez towarzystwa) nowy dziś zaszczyt posiędzie, bo godła szlachectwa, jak gwiazdy, zabłysną nad wszystkimi zasłużonymi. Z przekładu zdawałoby się że w godności nadanej Malkolmowi wszyscy mają się za zaszczyconych poczytać. W orginale zaś wyraźnie przyobiecane są nowe godności wszystkim zasłużonym jakoby towarzystwo wywyższeniu Malkolma. Następny monolog Lady Makbet mógł był być zwięźlej wytłumaczonym. Ośmielamy się także dać radę, chociaż w brew niektórym najdokładniejszym wydawcom Szekspira, aby z wierszy w tym monologu cudzysłowami oznaczonych, tylko pierwszy uważany był za głos tajemnie wołający na Makbeta, dwa inne należą już do własnego rozumowania Lady Makbet. Na tejże stronnicy tłómacz pisze że dworzanin, który przywozi wiadomość że Dunkan przybywa, padł *bez tchu i życia.* Znowu jeden wyraz za wiele, tak jak w poprzedzającym monologu słabem i zbytecznem jest wyrażenie *tyś za nadto łagodny* po słowach *za nadto jest słodyczy pełne serce twoje.* Oprócz tego, tu autor tylko mówi, że dworzanin padł *prawie* bez tchu, że zaledwie tyle mu tchu starczyło by swe poselstwo wypowiedzieć. To jest drobnostką, ale zaraz w następnych wierszach znajdujemy myśl autora całkiem źle oddaną. W przekładzie jest tak:

Przygłuszy sam kruk jęki swoje,
Wróżąc smutne Dunkana wejście w te podwoje.

W orginale zaś: samże kruk ochrypnie, który krakaniem obwieści fatalne (nie smutne, owszem było wesołe) wejście Dunkana. Nie przygłuszy więc kruk jęków swoich, ale przeciwnie tak często i głośno będzie krakał że aż ochrypnie. Dunkan przybywszy odzywa się w przekładzie: Nie chciałem mu (Makbetowi) dozwolić by stanął przed nami. W orginale jest: chciałem być jego zwiastunem, jego marszałkiem, to jest przybyć tu przed nim, co jest daleko więcej, — tak jak zaraz o parę wierszy poniżej *to co bierzem z radością choć w części oddajem* znaczy nierównie mniej jak słowa tekstu, które *wszystko* oddają Dunkanowi jako niczem nieograniczoną jego własność. Zaraz idącego po tem monologu Makbeta nie roztrząsamy, bo w oryginale, uderzające i w tym ustępie myśli posiadającym, ale oczywiście złą punktuacyą a może wieloma opuszczeniami przez pierwszych przepisywaczy poszczerbionym, trudno się dopatrzeć loicznego związku. Tłómacz, odstępując nieco od tekstu, wyjaśnił wątpliwości według swego rozumienia. Mogłyby jednak i tu parę wierszy być udoskonalonemi. Makbet mówi o Dunkanie: jestem jego krewnym, poddanym, jego gospodarzem, to jest, on u mnie gościem. Ten wzgląd trzeci przekład jeżli nie opuszcza, to osłabia, stawiając *Ja którybym powinien stanąć mu w obronie* naprzeciw tak mocnemu w orginale wyrażeniu: Ja, jego gospodarz, którybym powinien zaprzeć drzwi przeciw jego mordercy. *Wichry łzami zatrzyma.* W tekście jest właściwiej: wichry łzami zaleje. *Co się wzbija nad zamiar i na niego spada* zmienia porównanie które miał w myśli Szekspir. Przymierza on ambicyą do wskakującego na koń, która gdy się za nadto wzbije, nie na zamiar, bo to byłoby właśnie dobrem dla niej, ale poza nim spada. Na str. 27 *Gdybym na to przysięgła że z mej ręki zginie* jest dobry wiersz, ale nie ma tego ostrza co w oryginale: Gdybym tak przysięgła jak tyś tu przysiągł tego dokonać. Powtarzanie jednej myśli dla lepszego wyjaśnienia osłabia a niekiedy nawet zaciemnia wiersze. W scenie Iszej aktu IIgo Banko mówi:

Sen ołowiu ciężarem ciśnie oczy moje,
Nie chciałbym jednak zasnąć, a zasnąć się boję —

Pierwsza połowa drugiego wiersza jest całkiem niepotrzebną. W tekscie

jej niema. Ale co gorsza, to że przez nią cała myśl się zepsuła. Można chcieć a bać się zasnąć, ale nie chcieć a bać się zasnąć jest niepodobnem do zrozumienia. Mniemając że to pomyłka drukarza, kładliśmy przecinek po *nie*, ale i to niepomogło, zwłaszcza że *jednak* wskazuje przeciwieństwo i z wierszem poprzednim i z drugą połową wiersza, o którym mowa. Ostatnie więc przypuszczenie pozostaje, że p. K. myślał że *zasnąć się boję* znaczy to samo co *boję się że zasnę*, a w tem niemała zachodzi różnica. W scenie 2giej Lady Makbet wyrzuca mężowi że za nadto rozmyśla nad spełnionym czynem. Takie roztrząsanie (mówi) tylko do szaleństwa nas doprowadzić może. Tłómacz i niewiernie i wręcz nieodpowiednio myśli autora przekłada:

Ktoby z ludzi do takich dzieł męztwa nawyknął,
Oszalałby działając z sercem tak nieśmiałem.

Śliczny obraz snu, który Makbet następnie kreśli, należy do tych miejsc, które są rozpaczą tłómaczów. Jakże bowiem wysłowić w wierszach, że sen jest drugiem daniem, drugą zastawą na biesiadzie natury? P. K. stawia natomiast: drugi świat natury. Powinien był bię przynajmniej tem odstraszyć, że tychże samych wyrazów używa X. Hołowiński. Tu następuje miejsce, które wszyscy tłómacze, o ile ich w obcych językach znamy, źle wyłożyli. Schiller, który bardzo dowolnie z tą sztuką się obchodzi, opuścił je, Tieck tłomaczy jak p. K. Jeden tylko Gervinus w studjach swoich zrozumiał je należycie. Na przerażenie królobójcy patrzącego na swe ręce skrwawione, Lady Makbet w przekładzie niniejszym mówi:

Patrz — oto ręce moje, jak twoje skrwawione,
Lecz że serce mam czyste, cała z wstydu płonę.

Jakim sposobem serce czyste? Przecież Lady Makbet nigdzie się od współudziału w dokonanym czynie nie uchyla, nigdzie go obłudnie cnotą nie mianuje, ona wie dobrze że to zbrodnia, ale myśli że korona warta takiej zbrodni, a skrupuły, wyrzuty sumienia, rozmyślania, uważa słabością, brakiem charakteru, dziecinną fantazyą. Nie, — sens tu tak wyraźny, iż innego być nie może, i gdyby nawet wyrażenie doskonale go nie oddawało, to raczej przypuścićby wypadało, że coś opuszczono lub zmieniono, a że myśl była ta: I ja mam ręce skrwawione, lecz wstydziłabym się mieć serce tak tchórzliwe jak ty. Szekspir lubi grać na wyrazach, przeciwstawiać jedne drugim. Otóż w poprzednim wierszu używszy wyrazu *red* czerwony, tu łączy z sercem przymiotnik *white* biały, ale ten nie znaczy czysty, lecz biały, zbladły od strachu, tchórzliwy. Dla tego sprawiedliwie jedyny Gervinus ustęp ten wykłada: ihre Hände seien blutig wie seine, aber sie würde sich schämen ein so weisses Herz zu haben wie Er. Jeden tu tylko wyraz bruździ, powinno-by być dla zupełnej jasności *I'd shame*, to jest *I would shame*, a jest tylko *Ishame*, ale my w samym *Makbecie* możem wskazać najmniej kilkanaście przykładów niewłaściwego użycia czasów. Z resztą, żadne z tych nie jest gramatykalnem. Należałoby powiedzieć *I would* albo *I should be ashamed.* Atoli, taki jest przeciw nam zastęp znawców, że nie śmiemy nalegać na tłómacza aby wedle naszego rozumienia zmienił te dwa wiersze. Przeciwnie, wypada mu koniecznie przerobić następujące Malkolma wyrazy:

Dla czego milczemy,
Mógłby przeciw nam świadczyć u nich nasz żal niemy.

W oryginale Malkolm tylko mówi: Dla czego milczemy, my którzy mamy najbliższy powód do wyrzekań w tem nieszczęściu. Tłómacz podsuwa myśl, której autor ani napomknął. Nie jest ona przynajmniej niezgodną z położeniem. Ale jakżeż niezgodnemi z całą treścią tej sceny są słowa Banka:

Gdy w nasze dzienne szaty zostaniem przybrani,
Zbierzem się by rozważyć to dzieło tak krwawe.

Tu już jest jak najdziwniejsze przekręcenie myśli autora, w którym Banko mówi: *A gdy nasze nagie słabości*, (to jest jawnie wygłaszane, bez żadnej miary i ukrywania wydzierające się żal, skargi, przerażenie,) *osłonimy*, czyli uśmierzymy, pokryjemy spokojem jak na mężów przystało, *gdyż na takich wybuchach cierpi nasza godność*, wtedy zbierzem się na radę. Uwiódł tłomacza przymiotnik *naked*. Na znaczenie, które on mu daje, nie pozwala naprzód przytomność Lady Makbet, powtóre że jeszcze przed zabójstwem Dunkana wielu ze zgromadzonych było już na scenie, nakoniec że przywdziewanie szat, zwłaszcza u takich rycerzy, nie mogło być tak długiem, ani tak ważną okolicznością aby stanowiło o czasie zebrania się narady. Ostatnia scena tego aktu mogła być wierszem, nie prozą oddana, bo wszystkie nowsze wydania oryginału mają ją wierszem ułożoną. W scenie Iszej aktu IIIgo Banko mówi że *wszystkie* wróżby czarownic już się co do Makbeta spełniły. Tłómacz niewłaściwie pisze że tylko *połowa*. Lady Makbet powiada: Gdybyśmy byli zapomnieli zaprosić Banka byłoby to szczerbą w naszej wielkiej uczcie. W przekładzie zaś jest: Gdyby on nam odmówił swojej obecności. Makbet zwie radę Banka poważną i szczęśliwą, tłomacz znów na to używa dwóch jednoznacznych przymiotników: dojrzała i zdrowa. Banko mówi że w powrotnej podróży zarwie godzinę lub dwie zmroku. W przekładzie jest: dwie lub trzy godzin. Makbet patrząc na duch Banka, woła do niego: Nie będziesz mię winił. To nie jest dostatecznem. Winić go zawsze musi, ale w wyrazach Szekspira jest jakby Makbet chciał przynajmniej złagodzić swą winę, bo mówi: Nie możesz powiedzieć żem ja (to jest własną ręką) cię zabił. W scenie Iszej aktu IV Makbet zaklina czarownice aby mu odkryły przyszłość, jakimkolwiek sposobem przyszły do jej poznania, co nie jest tem samem co słowa przekładu: Jakim bądź czarem prawdę odsłońcie przedemną. Makbet widzi w ręku u niektórych duchów, które mu się w zwierściedle ukazują, podwójne jabłka królewskie. Przekład zmienia jabłka na korony. Król Edward angielski zawiesza chorym złoty medalik u szyi, zaś podług przekładu, złoty obrazek składa na ich głowie. Makduf wyrzeka że za jednym razem stracił żonę i dzieci. Tłómacz dodaje że z jednej ręki. W akcie Vtym lekarz nie mówi do damy: Powinnaś mi powtórzyć, ale możesz mi powtórzyć. Nieco dalej opuszczono dwa wiersze: Lekarz: Widzisz jej oczy są otwarte. — Dama: Ale ich zmysł zamknięty. Następnie lekarz mówi: Dobrze, dobrze, dobrze. Dama odpowiada: Bógby dał żeby dobrze było. Tłómacz kładąc *tak* zamiast *dobrze*, czyni niezrozumiałem wykrzyknięcie damy, bo cóż znaczy: Bógby dał żeby tak było! Lennox w scenie 2giej powiada że trzeba skropić krwią jak rosą kwiat królewski i zalać chwasty. Tłómacz zmieniając kwiat na drzewo czyni mniej stosowną autora wzmiankę o chwastach. Lekarz w przekładzie niepotrzebnie swój zarobek mieni chęcią zysków podłą. Koniec sceny IVtej należy do tych, które niezbędnie przerobić należy. Siward, wódz angielskiego wojska przed samem zaczęciem ostatecznego boju z Makbetem mówi: Rozmyślanie, pogrążanie się w marzeniach, przypuszczeniach, jest dowodem słabych, niepewnych nadziei, lecz czyn, oręż, wydaje stałe wyroki. W przekładzie czytamy:

Przemysł nie zawsze nasze nadzieje uiści,
Lecz oręż mniej zawodne zapewnia korzyści.

Nie potrzeba wykazywać jak dalece myśl tu została zmienioną przez użycie wyrazu przemysł zamiast przemyśliwanie, robienie przypuszczeń, projektów, bo właśnie w takie zaciekali się rycerze stojący obok Siwarda. Siward jakby dla uwydatnienia swej myśli dodaje: Ku temu niech bój się poczyna. Te wyrazy tłómacz opuścił. W scenie 5tej Makbet nie mówi o nędzniku ale o idiocie. Przy końcu tejże sceny Makbet grozi posłań-

cowi że jeżli kłamstwo wyrzekł, to każe go powiesić, jeżeli prawdę, to już niedba czy ów posłaniec tego samego mu nie uczyni, to jest czy go nie powiesi. Tłomacz to ostatnie oddaje wyrazami: O prawdę z ust twoich nie stoję. W scenie 6tej Siward ogłasza: Jeźli tylko dziś jeszcze zdołamy wroga napotkać, to niech on nas pobije gdy nie znajdzie nas w gotowości do walki. Nie dość dobitnie wyraża to przekład wierszami:

Jeżeli szyki tyrana zejdą się z naszemi,
Niech nas zwalczą jeżeli nie zetrzem się z niemi.

Tu cały nacisk winien być na *dziś jeszcze* lub *tej nocy*, a tego nie ma w przekładzie:

Otóż dobiegliśmy już do końca. Wyczerpnęliśmy niemal wszystko, co nam się chybionem zdało, w nadziei że praca ta niejednego doczeka się wydania, na co ze wszech względów zasługuje, i że tłómacz zechce przy następnem z przychylnych naszych rad i skazówek korzystać.—Zebrał się nie mały poczet tych skazówek, ale to pochodzi raczej z naszego może zbytecznego szperania i wymagalności jak z istotnych niedostatków tego przekładu. Żaden bowiem na świecie przekład nie ostoi się, gdy kto pocznie porównywać go z oryginałem wyraz po wyrazie. My jednak nie mogliśmy niczem większego szacunku okazać dla tego dzieła jak podejmując tak szczegółową pracę. Przechodząc raz jeszcze wszystkie stronnice, dziwimy się jak mało w tak trudnem zadaniu znalazło się do wytknięcia. Czytelnik musiał uważać że w trzech ostatnich aktach już prawie nic nie ma do zarzucenia. Należy także pochwalić szczęśliwy wybór sztuki. Ze wszystkich dzieł Szekspira może ona najwięcej czyni wrażenia na scenie, jest najtreściwszą, najkształtniejszą, akcya idzie przebojem, nic jej nie przerywa, nie rozwleka. Nie dziw więc że tylu tłómaczów zawsze pociągała ku sobie. U nas przekładali ją Regulski, Gąsiorowski (podług przerobienia Ducisa), Hołowiński. Pan Paszkowski ogłasza ją także między dokonanemi już pracami. W zbiorze p. Komierowskiego pewnie i ona się mieści. Ma więc p. Andrzej Koźmian licznych współzawodników. Porównywając jego przekład z już znanemi, śmiało twierdzimy iż te daleko po za sobą zostawił, a co do nieznanych śmiemy wątpić aby go prześcignąć a nawet sprostać mu zdołały. Jaka jest wartość tej pracy, wyłącznie pod względem przekładu, dostatecznie okazaliśmy już wyświeceniem mnogich zalet, a jeszcze może więcej tem, że pomimo jak najskrzętniejszego wyszukiwania tak mało błędów znaleźliśmy. Ale gdyby nawet, jako przekład, co do wierności była nieudolną, to pozostałaby jeszcze ze względu na sam tylko język i wierszowanie jednym z okazalszych pomników poetycznej literatury polskiej naszego czasu. Niech to poświadczy ustęp, a takich jest innych wiele, który tu na zakończenie przytaczamy:

MAKBET.

Czyż to sztylet — co ku méj dłoni się obraca?
Pójdź tu, niechaj cię schwycę. — Nadaremna praca,
Znikłeś przed ręką, jednak ścigam cię spojrzeniem,
Istotąś jest dla oka, a dla ręki cieniem. —
Lub tyś myśli sztyletem i łudzisz pozorem,
Tyś błędnym rozgorzałéj wyobraźni tworem.
Jednak tak mi wyraźnie stajesz tu na oczy,
Jak ten który dobywam, który krew wytoczy.
Tam właśnie gdzie wskazuje, tam miałem pospieszyć,
I taką właśnie bronią serce jego przeszyć. —
Lub wzrok mój wszystkie razem zmysły moje zwodzi,
Albo je wszystkie razem swą siłą przechodzi,

Widzę cię — nawet w pierwszym nie widziane razie,
Teraz i krwi spostrzegam krople na żelazie. —
Lecz to tylko błąd zmysłów, to mara zwodnicza,
Narzuca ją przed oczy moja myśl zbrodnicza;
Teraz jakby umarłym zdaje się pół świata,
Teraz hołd od czarownic odbiera Hekata;
Sny okropne spoczynek zakłócają ludzi,
I teraz z wyschłą twarzą zabójca się budzi
Na hasło stróża swego — w puszczy wilka wycie,
Jak gwałciciel Tarkwiniusz tajemnie i skrycie,
Tak i on ciemnéj nocy otoczony mrokiem,
Posuwa się ku zbrodni — jak duch cichym krokiem.
Ziemio! Ty się stań głuchą i gdzie stąpię nogą,
Nie słysz — nie przemów — nie zdradź którą pójdę drogą —
Niech kamienie, na których stopy moje stawię,
Nie zdradzą mnie swym dźwiękiem w tej straszliwej sprawie.
Niech ich odgłos milczenia tego nie przerywa,
Z którém dobrze się zgodzi ta czynność straszliwa.
Lecz gdy grożę — on żyje. — Próżna mowa nasza
Oziębłem tchnieniem zapał działania zagasza.

(Dzwon uderza).

Spieszę więc i czyn zaraz spełniony zostanie.
Dzwon mnie wzywa — ach ty go nie usłysz Dunkanie,
Bo to twój dzwon żałobny, który woła ciebie,
Byś zeszedł w ciemność piekieł albo zasiadł w niebie.

POEZYE RELIGIJNE MARYI Z GNIEZNA. Dział IIgi. Gniezno, czcionkami J. B. Langiego, 1857.

POEZYE RELIGIJNE MARYI Z GNIEZNA. Dział IIIci. Gniezno, czcionkami J. B. Langiego, 1857.

Marya z Gniezna doszła już do tego wykształcenia w piśmienniczym swym zawodzie, iż mamy prawo daleko więcej od niej dziś wymagać i odrzucić wszelką pobłażliwość, którą w początkach należało dodawać zachęty,—skromnie, lękliwie wychylającym się na świat jej zdolnościom, a któréj obecnie dojrzewający jej talent już nie potrzebuje. Uznając przeto iż nie straciła żadnego z swych pierwotnych przymiotów, że przechowała w całej sile gorącość religijnych uczuć a w całym uroku skromności swą prostotę, wypada nam zwrócić jej uwagę na niedostatki i przeszkody, które winna usunąć, jeżeli pragnie otworzyć sobie drogę do dalszego postępu.

Poezya religijna jest razem najłatwiejszą i najtrudniejszą. Jest najłatwiejszą, bo byle zachować przyzwoitą formę, utrzymać w stylu jasność i ogładę, a w rzeczy nie odstąpić nigdzie od kierunków tak wyraźnie przez kościół wytkniętych, to samem powtarzaniem prawd wiecznych, wygłaszaniem tego co się słyszy od ołtarza, z kazalnicy lub w konfessjonale, co się czyta w Piśmie Świętem, w katechizmie i księgach pobożnych, już można wzruszać, podnosić dusze wierzące, i błogi wpływ na około wywierać. Ale pod względem sztuki niema prawdziwej poezyi, niema wyższej zasługi literackiej, bez twórczości. Autor biorący przed się przedmioty religijne musi coś z siebie tworzyć, musi im nadać osobistą cechę, uderzyć pewną oryginalnością, jeźli chce zyskać imie poety. W tem właśnie jest największa trudność, bo jakżeż zdobić to co w prostocie posiada najświetniejszą ozdobę, jak rozwijać wątki tak potężne swą treściwością, jak przyrabiać tam gdzie nic niema do dodania a gdzie tyle niebezpiecznem jest lada odsunięcie się od ubitego toru? Najwyższe częstokroć zdolności sprostać takowemu

zadaniu nie mogły. Są przecież jakby umyślnie ku temu uposażeni poeci, którzy albo jędrnością i dziwnym wdziękiem stylu jak Kochanowski a niekiedy Karpiński, albo szczęśliwem obrazowaniem wedle ducha biblijnego lub ludowych tradycyi jak Zaleski, Pol, Lenartowicz a w rzadkich razach Hołowiński, albo szczytnością i gorącością uniesień jak czasami Woronicz i w kilku ustępach autor *Psalmów*, zdołali wznieść się nad pomienione trudności, barwić, przerabiać, rozwijać przedmioty religijne, nadawać im indywidualne piętna swego natchnienia, nie umniejszając w niczem ich pierwotnej wartości. Linja graniczna, odróżniająca dwie te dzielnice religijnej poezyi, jest tak wydatną, że sądząc jakiego pisarza rzadko pomylić się można po której stronie postawić go należy. Ów rodzaj łatwiejszy pociąga ku sobie wszystkich poczynających autorów. Któryż doświadczający pierwszych swych sił w rymotworstwie młodzieniec nie układał w wiersze swych uniesień do Stwórcy? Któryż wykształcony człowiek choć raz w życiu swych modłów w pieśni nie wypowiedział? Kobiety osobliwie, których przywilejem i zaszczytem jest czuć i żyć wiarą, zawsze najliczniej i najwytrwalej się poświęcały religijnemu wierszopisarstwu, a że łatwość, płynność, potulność, nie zaś siła i oryginalność są zwykle znamieniem ich zdolności, więc też nie sięgając po trudną chwałę w wyższej sferze, tem bezpieczniej w niższej celowały. Wyższa ta bowiem sfera dopuszcza tylko samych mistrzów, i to najczęściej wtedy dopiero, gdy uświetniwszy się w innych dziedzinach poezyi, wyzwoliwszy się z burzliwego wiru ziemskich myśli i namiętności, oczyszczeni trudem żywota, zapragną na szczycie swego zawodu, zwłaszcza pod sam pogodny zachód dni swoich, wywdzięczyć się Bogu za obfitość udzielonych sobie darów pieniami na Jego chwałę. Trudno więc, najtrudniej ze wszystkich dostać się tym kierunkiem na wyżynę poezyi. Spojrzmy na całą przestrzeń literatury, jakżeż mało wieszczów odważyło się iść tym kierunkiem, jak mało doszło do celu; ani każdy wiek ani każdy naród może się poszczycić dziełem religijnem prawdziwą zaleconem poezyą, ale jeźli raz który utwór tym warunkom odpowie, to szerzej się rozpowszechni i dłużej przetrwa niż najcelniejsze płody w innych rodzajach poezyi. Tymczasem, niema rodzaju rymotwórstwa, w którymby tyle zawsze było wierszy pisanych a tak szybo zapominanych jak w niższym religijnym oddziale. Jest przecież i tu zasługa, jest stopniowianie, i tu odznaczyć się można. Rzeczywistą bowiem staje się zasługą dobry przykład, pobudka do pobożności, świadectwo jak żywą i działającą jest wiara w kraju, które dają podobne pisma aczkolwiek artystycznością i twórczem natchnieniem niebłyszczące, a bywa nieraz przypadek, że prostota i silnie pałająca w nich wiara wybawia je od zapomnienia. Większa połowa pieśni przez lud pobożny śpiewanych z tego pochodzi rzędu.

Pomimo szacunku, jaki zawsze wyrażaliśmy i dziś wyrażamy dla pism Maryi z Gniezna, nie zdaje się nam aby jej przeznaczeniem było wznieść się kiedykolwiek ponad tę niższą sferę poezyi religijnej. Nigdy też ona nie sięgała wyżej, nikt w jej wierszach nie znajdzie najmniejszej próżności, zarozumienia, ubiegania się o zwycięztwa nad wrodzone siły, — owszem, dziwi ją i mięsza, jakby zbyt hojna i niespodziana nagroda, wziętość którą w swym skromnym zawodzie zyskała. Do ogłaszania wierszy zniewalają ją jedynie nalegania przyjaciół, którzy dochodem z ich sprzedaży zaopatrują mnogie potrzeby sierot, a tych los autorkę najżywiej zajmuje. Ujmującym to ona sposobem wyraża gdy daje odprawę pieśni swojej na żebraczkę dla biednych. Pieśń się sama wyrywa w drogę. Autorka wstrzymuje ją z obawy by jej świat nieprzyganił, nie pomówił o zuchwalstwo, że tak uboga i licha śmie się mu nastręczać. Z czem i po co (mówi) pójdę do chat gdzie mięszka nędza i choroba?

Z czem i po co? z próżną ręką?
By ich męczyć własną męką,
Albo z garstką strawy lichej,
Co im łzy nie otrze cichej.
Wszak wiesz dobrze żem ja biedna,
Cóż biedakom tym poświęcę:
Mój majątek — te dwie ręce,
A skarb cały — to ty jedna.

Na to pieśń jéj odpowiada:

Więc mnie poślij! Jam gotowa,
W świat daleki wnet pobiegnę,
Tak, pokornie szyję zegnę,
Będę prosić w wrzące słowa.
Ja nie wrócę — mam nadzieję —
Z próżną ręką w te tu progi,
Zaraz wyjdę, jak zadnieje,
Będę śpiewać pośród drogi.
Najprzód pójdę gdzie kościoły
W niebo wznoszą wieże ostre,
Biedni grzmią tam hymn wesoły,
Wchodzę, biorą mię za siostrę.
Biegnę rada, klękam z nimi,
O, pamiętasz, jak nam miło
Tu w świątyniach klękać było
Z maluczkimi i biednymi.
Przy kościołku domek mały,
Lecz w nim wielkie mięszka serce,
To strażnica Bożej chwały,
Tam nie jestem w poniewierce.
Śpiewam, proszę w imie Boga
Dla cierpiących, biednych wielce,
I łzy płyną po kropelce,
I otwiera się dłoń droga.
I spływają dary mnogie,
O i złoto, patrzaj, spływa.
Ziarnko złote, ziarnko drogie,
Ileż szczęścia! ledwom żywa.
Ciesz się ze mną, moja miła,
Co to będzie chleba, kaszy,
Dla tej drogiej biedy naszej
Wszakżebyś się nie szczędziła.
Biegnę dalej, tam uczeni
Żwawą prowadzą dysputę,
Zapał lica im rumieni, —
Jakby z chmur gradowych sute.
Lecą słowa za słowami.
Iść, czy nie iść? Idę śmiało,
Jak na żebraczkę przystało.
Spojrzą, ruszą ramionami.
Właśnie o to spór toczyli,
Zkąd się wzięło złe na świecie
I co biedę tę wymiecie;
Lecz się w zdaniach nie zgodzili.

Ja dla biednych śmiało proszę:
Że o biedę szła dysputa,
Więc choć ma niestrojna nuta,
Nieuczone, proste dźwięki,
Skłoniły serca po troszę,
Uzyskały dary ręki.
Pójdę dalej do pałacy,
Gdy upatrzę dobrą porę;
Wpośród bogactw są tam tacy,
Którzy w miłość i pokorę
Najbogatsi, pełnią cnoty,
Jakich mało gdzie obaczyć:
To też biednych będą raczyć.
Z wielkomyślnej swej szczodroty.
Co już cały ród niewieści
Swe współczucie da mi pewno,
I rad przyjmie i upieści,
I obdarzy łezką rzewną.
A choć wśród powodzeń tyla
Zdarzy się i gorżka chwila,
Toć to trudno chcieć nieboże
Mięszkać zawsze na Taborze.
Ja na wszystko się odważę,
Chociażby mnie połajali,
Choć kto nawet drzwi pokaże,
To zapłaczę — i znów dalej.

Po długich jeszcze wątpliwościach i trwogach autorka w świat wyrywające się dziecie swoje wysyła temi słowy:

Pójdź, przeżegnam cię raz jeszcze,
Jeszcze krzyżyk weź na drogę,
Jeszcze wody weź święconej,
I z źrenicy mej zamglonej
Te łez kilka. Ukój trwogę
Wielki Boże. — Już za progiem....
Żegnaj, żegnaj, — o idź z Bogiem!

Nie, — autorka niema się czego trwożyć. Pieśń podobna, acz nie jest ani *panią* ani *królową*, lecz żebraczką a raczej kwestarką, acz *nieuczone* jej dźwięki, zawsze znajdzie uznanie i wiele pożytku bliźnim przyniesie, bo ją prowadzi wiara i miłość, bo czyni między ludźmi pokój, bo pobudza do pokory i miłosierdzia, a żywo przedstawiając nędze i cierpienia biednych, nigdzie przeciw możnym i bogatym nie powstaje, nie złorzeczy im, nie grozi, nie ohydza ich urojonemi lub przesadzonemi występkami, ale łagodnie wiedzie ku dobremu. Pomnąc więc na ogrom trudności, które zaraz na wstępie napotyka każdy co chce przejść z niższego do wyższego zakresu poezyi religijnej, i na tak rzadkie przykłady zwycięztwa, chwalić raczej, nie ganić autorkę należy że pozostała w granicach swego pierwotnego powołania. Ale wśród pracowników na tem polu nie stanęła ona jeszcze w pierwszym rzędzie, a nie widzimy żadnego powodu dla czegoby nie miała wystąpić na same czoło. Niewiele brak jej ku temu. W dwóch tomach, które mamy przed sobą widać znaczny postęp, większą wprawę, tok i język nadobniejszy, a czego najwięcej autorce nie dostawało, większą zwięzłość i jędrność jak w dawniejszych poezyach. A jednak przymiotów tych jeszcze nie nabyła w zupełności. Z tej przyczyny ośmielimy się zwrócić jej baczność na następujące warunki, którym według naszego zda-

nia winna koniecznie najściślej zadość uczynić, by jej już nic przeszkadzało do zajęcia jednego z pierwszych miejsc w tej dzielnicy piśmiennictwa narodowego.

A naprzód, osobliwie w tego rodzaju piśmiennictwa które, jak już powiedzieliśmy, jest po większej części prostem powtarzaniem prawd i zdań każdemu znajomych, strzedz się należy zbytecznej wierszowania łatwości, która sprowadza rozwlekłość, a rozwlekłością i powracaniem wciąż do tych samych myśli nuży się czytelnik i staje się wreście obojętnym na najzbawienniejsze morały. Prawdę choćby najpospolitszą zawsze jest miło i korzystnie posłyszeć, ale gdy ona co chwila i to w tym samym stroju do nas powraca, tępieje w końcu nasza zdolność do przyjmowania jej z należytem wzruszeniem. Obszerny, blisko 4000 wierszy w 29 oddziałach zajmujący poemat p. t. *Miłość*, znacznieby się zmniejszył a nic na wartości nie stracił, gdyby zeń wykreślić wciąż powtarzające się jednotonne wiersze i te same zdania. Zalecamy więc najusilniej autorce, aby swe pomysły treściwiej oddawała, obcinając wszelkie zbyteczności i powtórzenia a utworom swym węższe naznaczając rozmiary.

Powtóre, — jak najstaranniejsza poprawność i czystość stylu niezbędną jest w takich osnowach, bo jako im żadna śmiałość i gwałtowność nieprzystoi, tak też nie może jak gdzieindziej dostarczyć wymówki wykroczeniom przeciw gramatyce, lub hazardownym puszczaniom się na nowe zwroty i wyrażenia. Trzeba oddać sprawiedliwość autorce, iż styl swój nieźle wyrobiła, pozbyła się rażących prowincyonalizmów, i ściślej baczy niż poprzednio na składnię okresów i udatność wiersza. Jednak tu i owdzie zawadzają się jeszcze małe usterki. Nie można naprzykład tak koślawych i niegramatykalnych pisać wierszy jak następujące:

Chcesz czytać — czekaj! ten obraz ponury
Gorżkich doświadczeń może zdejmie który
Z śmiertelnych, — może pocieszy, podniesie;
O gdzie tam, — każdy w swoim *błąka* lesie.

Albo:

Ciszej ten raz *aby*
Ani jednej skargi;
Ściśnij drżące wargi,
Łzy zepchnij z powieki
Zbolałéj i słabej.

Albo jeszcze, gdy się autorka tak do serca odzywa:

Troska o siebie nie miesza cię wcale,
Siebie dla siebie ty już nie masz, *ale*
Twe *ja* się z czasem rozpłynęło *całe*
W Bogu i bliźnich i pieśni uroczej —

Tu już nawet brak prostoty. A cóż dopiero następujące wiersze w których i szyk zły, i język złamany, a wyrażenia nieloiczne i wymuszone:

Łódka Piotrowa czarne nawałnice
Mąk najstraszliwszych *przeżywszy* cudownie,
W ukryciu siłą *sposobiła* świeżą,
Do mąk następnych gotując *warownie.*

Natrafiają się też, ale bardzo rzadko, prowincyonalizmy lub zbyt trywialne wysłowienia, jak np. *Jałmużnik wielki, zawołany, serce otwarte, podniesione uszy trzymał,*—albo *lód słońcem wylizany*, albo jeszcze gdy mowa o ludzie strącającym bożyszcza do Gopła:

Zgruchły się tysiące
Po nad góry brzegiem.

Trudno się tu domyśleć, czy to tysiące ludzi *zgromadziło się* ponad brzegiem góry, czy tysiące bożyszcz *zgruchotało się?*

Po trzecie. Nikt autorce nie odmówi prostoty i jasności. Są to jej naczelne przymioty. Trzeba przeto aby je najtroskliwiej pielęgnowała, i chociaż można by ręczyć że nigdy ich stracić nie zdoła, to przecież od najlżejszego uszczerbu chronić je powinna nie dając się nigdy pociągnąć ambitnej wytworności ani w myśli ani w wysłowieniu. Niech więc unika takich jak następne: *Mord skrycie się bałwani*, — *natchnień zwoje*, — *twe pole świetne kiedyś niezwiędłym wieńcem cię ostruni.* Za nadto też często spotyka się tu przymiotniki *cudosna*, *świetlana.* Mija się również z prostotą taka apostrofa do serca: *później gdyś zaczęło mierzyć siłą przymiotów na pychy swej szali.* Już to całe uosobienie serca, na przeciw rozumu jako brata, w poemacie *Miłość* za nietrafne poczytać należy. Naprzód trudno aby się komu podobał sam pierwszy obraz serca:

O serce ludzkie, ty morska głębino!
Domie roskoszy, ty miłości tronie,
Ty steku cierpień, co tak skaczesz w łonie,
Co tak krwi rzeki, co spokojnie płyną,
Chcesz rozpryskiwać, — zamącasz w rozterce,
Kipisz, szalejesz, o młodzieńcze serce!

Raz nieszczęśliwie sposób przedstawienia ujęty sprowadza coraz wieksze niestosowności i zawikłanie. Serce tu *w śpleśniałych księgach ślęczy bez ustanku i łyka nieraz starodawne brudy* by rozum wzbogacić, dla rozumu *nie szczędzi głowy* etc, etc. W innem miejscu także serce:

I z gorżkiemi łzami w oku,
Spracowane u stóp krzyża
Jęczy, i w *żarze natłoku*
Do żebractwa się uniża.

Czczych, pustych słów, dla rymu lub dla wypełnienia wiersza dodanych, jak powyższe, jest dotąd w pismach autorki za wiele. Strzedz się ich wypada jak również szumu niby to lirycznych a w istocie tylko słów mnogością i zgiełkiem potężnych wybuchów, które autorka zdaje się przejmować od Deotymy, jak oto:

Wy gwiazdy tu cudu,
Co w wieków zawiei,
Wybitnym promieniem
Świecicie wśród ludu:
Olbrzymy imieniem,
Olbrzymy z idei,
Wy ziemskie półbogi,
Co kreślicie drogi
Wiekowej kolei:
Wy wieku genjusze,
Potoczcie no wzrokiem,
Jak inni natłokiem
Biegną w zawierusze,
By sięgnąć was okiem;
Jak w wasze źrenice,
Natchnienia świetlice,
Wieszają swe dusze.

Po czwarte. Ogólne nauki, wykłady cnót chrześciańskich, kazania świeckie jak ktoś nazwał, zgoła dydaktyzm moralny, rzadko komu w wierszach się udaje. Daleko snadniej wzruszy, podoba się i zapamiętanym

zostanie krótszy utwór z okoliczności jakiej napisany, miejscową barwę noszący, tradycya, legenda, ucząca przykładem, wystawiająca dramatycznie lub obrazowo prawdy ludziom potrzebne. Taka długa rozprawa o Miłości chrześciańskiej, jaka cały tom IIgi poezyi religijnych Maryi z Gniezna zajmuje, musiała wiele czasu i mozołu kosztować, a wątpimy iżby więcej a nawet tyle czytaną i cenioną była co krótsze, okolicznościowe lub powiastkowe wiersze tomu IIIgo, jak np.: *Do X. Macieja Darszewskiego*, *Na dzień 8go grudnia*, *Serce Polski*, *Boże Narodzenie*, *Miłosierdzie*, a osobliwie *Piotr Mytnik*. Traktat *o Miłości* jest naprzód słabą, rozwlekłą parafrazą główniejszych wypadków z życia i męki Zbawiciela, rozciąga się następnie w ogólny wykład spraw miłości chrześciańskiej na świecie, a kończy tem zagmatwanem przedstawieniem prób i walk serca, jego sporów z rozumem, które najmniej jasności i prostoty posiada, a najwięcej złych wierszy i przykładów niepoprawnego stylu do powyższych uwag nam dostarczyło. Niech autorka spojrzy na innych religijnych poetów jak Zaleski, Pol, Lenartowicz, czy oni kiedy podejmują ogólne dyssertacye duchowne i moralne,. owszem każdy z nich bierze albo pojedynczy wypadek z pisma ś. albo jaką legendę i te opowiada. Nie żądamy po niej, jak już się rzekło, aby z siebie co dodawała, tworzyła, dramatyzowała lub obrazowała jak tamci, ale przy wprawie i zaletach, które posiada, przy tak głębokiem uczuciu religijnem, mogłaby się literaturze duchownej przysłużyć, a sobie znaleźć odpowiedniejsze zajęcie, układając wierszami prostym, powieściowym sposobem, tradycye, zdarzenia, szczegółowe opisy, budujące przykłady cnót i pobożności, jakich Skarga, z którego tak szczęśliwie wyniosła opowiadanie o Piotrze Mytniku, X. Jaroszewicz, mnogie dzieła i kroniki wypadków współczesnych w chrześciaństwie, albo dawniejsze podania o Swiętych, tak obficie zebrane mianowicie w *Złotej Legendzie* Voragina, podostatkiem dostarczyćby jej zdołały. Jak w powołaniu i trudach życia, tak i w poezyi, bezpieczniej zawsze ścieśniać się o ile można, przywięzywać się do jednej na raz miejscowości i przedmiotu, ograniczać się jedynem na jaką porę zadaniem, niż rozpierzchać się na bezkresne przestrzenie i podejmować ogólne, jak świat szerokie a jak dzieje ludzkości rozległe, temata i prace.

Śmiało, z nieograniczoną otwartością przedstawiamy autorce powyższe rady, bo wiemy iż co tylko w nich jest słusznego i pożytecznego, to ona pojmie i ku korzyści swej obróci. W poprzednich razach podnosiliśmy dodatne jej pism strony, dziś głównie ujemne wytykamy. Mamy przecież przekonanie iż ona w swej skromności prędzej nasze poprzednie pochwały za mniej zasłużone niż obecną krytykę poczyta, i że jak tamte nie wbiły ją w zarozumiałość, tak ta jej nie zrazi. Nami w obu przypadkach kierowała ta sama szczera dla niej przychylność i jako radowaliśmy się i dla literatury i dla pożytku religijnego społeczności z tyle obiecujących jej początków, tak teraz, gdy autorka już te obietnice w wielkiej mierze ziściła i gdy sądy najsurowsze już ani jej zniechęcić ani zaszkodzić nie mogą, niepłonną mamy nadzieję że wkrótce użyczonym sobie darom i przeznaczeniu swojemu w zupełności odpowie.

OBRAZKI Z OBYCZAJÓW LUDU WIEJSKIEGO, *przez Walerego Wielogłowskiego w Krakowie*, w księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich naukowych i rolniczych. 1856 roku.

Kiedy przy końcu ośmnastego wieku, wszystkie umysły zdrowe i oświecone uczuły potrzebę zmienienia i ustalenia bytu najliczniejszej części lu-

dności krajowej, to jest stanu włościańskiego, zaczęto się zastanawiać nad najwłaściwszemi środkami, zdolnemi to trudne a żywotne zadanie rozwiązać. Szlachetne ku temu zmierzone usiłowania, tamowane lub przerywane zmianami politycznemi zachodzącemi w kraju, przeciągnęły się do naszych czasów. Wśród wrzawy i ścierania się rozmaitych zdań, wszystkie zgadzały się, że dwójaki był cel do osiągnienia: Ulepszenie bytu materialnego, i wykształcenie moralne, oświecenie włościan. Lecz jedni chcieli dojść do usamowolnienia ich przez oświatę, drudzy mniemali że do oświaty tylko usamowolnienie doprowadzić może. Dowody w rozumowaniu i w teoryi czerpane przemawiały za pierwszem zdaniem; praktyka, doświadczenie okazały, że ta droga była zbyt trudna i długa, i że nią postępując, nie doszłoby się ani do oświaty, ani do usamowolnienia. Przy nędzy bowiem i przymusowej pracy ludu włościańskiego, moralne wykształcenie i oświata mogły być wyjątkowo owocem pracy i usiłowań pojedyńczych, lecz jako nabycie ogółu były niepodobnemi do osiągnienia. — Przekonano się, że wprzód trzeba wolną uczynić pracę ludu wiejskiego, trzeba ustalić byt jego przez oczynszowanie lub uwłaszczenie, nim się go oświeci, wyuczy, i do poprawy tak materyalnej jak moralnej doprowadzi. Własność i wolność uzacnia i uszlachetnia człowieka; a chociażby nowo uwłaszczeni i usamowolnieni sami z nich korzystać nie umieli i na złe je obrócili, następcy pewnie poznaliby ich wartość, nie zmarnowaliby ich, lecz zapragnęliby utrwalić te korzyści, jakie i wolność i własność nadaje.

Gdy więc konieczność poprzedniego usamolnienia ludu włościańskiego powszechnie uznaną została, najprzód rząd pruski w Poznańskiem doprowadził je do skutku; następnie Stany Galicyjskie przejęły się potrzebą zmienienia stosunków wówczas istniejących, i ze szlachetną gorliwością zajęły się tym przedmiotem; wkrótce potem zaszłe w kraju wypadki znagliły i rząd austryacki w Galicyi do wyrzeczenia usamowolnienia i uwłaszczenia włościan.

Czyli oba te rządy ziemię polską posiadający, rząd pruski w Poznańskiem, austryacki w Galicyi, właściwych chwyciły się środków, czyli nie nadwerężyły świętej zasady własności, nie tu miejsce rozbierać, lecz dziwić się nie można, iż nie czekając na rozszerzenie oświaty i ustalenie moralności w stanie włościańskim, usamowolniły go i własność mu zapewniły. Tak zapewne w bliskiej przyszłości postąpi sobie w Królestwie Polskiem i rząd rossyjski, gdy mimo pojedyńczych usiłowań, mimo pięknego przykładu danego przez rodzinę Zamojskich, właściciele ziemscy ociągają się z dobrowolnem usunięciem dotąd trwających stosunków i z zamienieniem pańszczyznianej pracy na wolną, czynszem okupioną.

Ażali polepszenie bytu materialnego wraz z oświatą, z religijnem i moralnem wykształceniem, spiesznie nadejdzie po uwłaszczeniu, twierdzić z pewnością nie można. W naszej prowincyi już widoczny postęp, tak w materyalnym bycie jak w moralności ludu daje się spostrzegać. W Galicyi niestety! jeszcze dotąd zbawiennych skutków tej wielkiej zmiany towarzyskiej dostrzedz nie można, lecz tam sprowadzoną ona została nader boleśnemi wypadkami, tam kraj zaledwie zaczyna wychodzić z trudnego przesilenia gospodarskiego, majątkowego, socialnego. Przecież zrażać się nie trzeba; należy owszem zagrzebać w niepamięci boleść owych wypadków, zdobyć się na chrześciańskie przepuszczenie i złożenie żalu, a przypomnieć sobie jakie są w każdym kraju i wśród każdych okoliczności, obowiązki tych, którzy oświatą i zamożnością górują, względem braci i rodaków w ciemnocie i niedostatku pogrążonych. Niechże tyle ofiar, tyle strat poniesionych nie zmarnieje. Dziś jest pora aby w Galicyi wszystkie połączyły się usiłowania: rządu, duchowieństwa, obywateli, ku zaprowadzeniu oświaty i ułatwieniu wykształcenia ludu wiejskiego. Przed

plebanami parafialnemi obszerne otwarte pole trudów i zasług, a i każdy mieszkaniec może się krajowi zasłużyć, to zakładając i wspierając szkółki wiejskie, to pisząc, wydając, upowszechniając rozmaite książki i dziełka ludowe, zdolne dzieci włościańskie i zająć, i zabawić, i nauczyć, a przez dzieci wpływać także na ukształcenie i poprawę ich rodziców.

Brak takich pism dotkliwie się czuć daje. Ta część piśmiennictwa naszego prawie odłogiem leży. Prawdziwą też przysługę i krajowi i piśmiennictwu krajowemu wyświadczył pan Walery Wielogłowski wydając swoje wyborne obrazki z życia wiejskiego. Przyjęte one zostały z powszechnym oklaskiem, z żywem zajęciem czytane i jednozgodnie za wyborne i jedyne w swoim rodzaju uznane. Czytając je, smutne, boleśne nasuwają się uwagi o niskim stanie moralności i oświaty naszego ludu, o wkorzenionych w nim występkach, wadach i nałogach; lecz każdy który zna ten lud, obcuje z nim, pracy jego używa, każdy kto nie z sielankową romansowością go miłuje, lecz mimo wad jego, chrześciańskiem ukochał go uczuciem, przyzna że te obrazki są najdokładniejszym odciskiem życia wiejskiego w Galicyi, najdoskonalszą fotografią. Nie powstawajmy więc przeciw autorowi że prawdę w całej jej nagości przedstawił. Wiemy iż to właściwem jest naszemu charakterowi narodowemu, że o ile lubimy się przechwalać i wynosić, o tyle czy w politycznym, czy w towarzyskim, czy w artystycznym, czy zwłaszcza w literackim zawodzie, obrażamy się choćby najsprawiedliwszą krytyką, cierpieć nie możem wypowiedzianej nam prawdy; lecz przecież tą drażliwością nie zarażajmy braci naszych, niższych w oświacie, początkujących w wykształceniu. Nie obrażajmy się za nich, a może z dobrej nauki i z wygłoszonej prawdy lepiej od nas korzystać potrafią.

Pan Walery Wielogłowski wydał dotąd sześć obrazków z obyczajów ludu wiejskiego, w kształcie nie powiem dramatycznym, lecz w formie dialogów. Główne wady ludu nietylko galicyjskiego ale w ogólności polskiego przedstawił on w tych obrazkach, i tak: Lenistwo w *Bartku Leniwym*, — nieszczęśliwy, a tak powszechny nałóg jarmarkowania w *Kubie Jarmarcznym*,—pijaństwo w *Franku Pijanicy*,—upowszechnione złodziejstwo i nieuszanowanie dla cudzej własności w *Wsiowych Złodziejach i Szkodnikach*, — tak często zdarzające się między ludem wiejskim przekroczenie czwartego przykazania boskiego „Czcij Ojca Twego i Matkę Twoją“ w Obrazku piątym *Grzeszni rodzice i występne dzieci*, — nakoniec w szóstym poszycie dał nam wyborny obraz scen, które często sprowadza dzisiejsze towarzyskie położenie włościan galicyjskich, i w którym doskonale odmalował *Naradę Gromadzką*.

Wpatrzywszy się w te wyborne wizerunki, dość nie można podziwiać daru obserwacyi i krytycznego dowcipu jaki autor posiada. Aby tak poznać lud, jego obyczaje, nałogi, przesądy, aby tak się nauczyć jego mowy i umieć nią przemawiać, trzeba było całe życie z nim i tylko z nim spędzić. Wśród tych obrazków znajdują się niektóre wybornie odrysowane postacie, jako to żyda *w Kubie Jarmarcznym*, organisty w *Franku pijanicy*, Bazylego chłopa krętacza i oszusta, a chcącego uchodzić za bardzo mądrego, *w Naradzie Gromadzkiej*. Mowa jest wszędzie wyjęta prosto z ust naszych włościan. Ileż tam powtórzonych właściwych im wysłowień jak na przykład „Nie baj, baja“ albo „Czy ty próbant tego“ albo też „Zostało nas troje przy Macosze, sam drobiazg“, — i tysiące innych. A jak wyborne niektóre wyrażenia, jak naprzykład wykrzyknik owego Pietrka, któremu zła Macocha na zimno nie chce dać tatusiowych butów: „Oj moje Nogi, moje kochane Nogi.“

Trzebaby wiele przytaczać, prawie wszystko przepisać, chcąc wykazać w zupełności i prawdziwość tych obrazów i właściwość tej mowy.

Lecz oddawszy tym jedynym w tym rodzaju pismom sprawiedliwość, nie możemy pominąć kilku uwag, które nam się przy czytaniu i odczytaniu wszystkich poszytów nasunęły. Ponieważ nie satyra, nie namiętne przedstawienie wad ludu naszego, nie ohydzenie jego było zapewne zamiarem autora, lecz wypowiedzenie mu szczerej przyjacielskiéj prawdy i przyniesienie użytecznej nauki, przeto wypadało pokazać mu nietylko jakim nie trzeba być, ale i jakim być należy, — wypadało przy występnych i nałogowych postaciach stawić inne, w dobrem za wzór służyć mogące, a także z stanu włościańskiego wzięte. Bo przecież nie wszyscy nasi włościanie leniwi, pijacy, złodzieje i szkodnicy. Gdy, że użyjemy tego protego wyrażenia, włościanin jaki *uda się*, czy będąc gospodarzem, czy sługą dworskim, gdy wolny jest od przywar właściwych naszemu ludowi a podobno całemu słowiańskiemu szczepowi, wtenczas wszystkie szacowne przymioty rodu naszego w całym blasku w nim jaśnieją. Poczciwość, bogobojność, prostoduszność, przychylność, dar zdrowego rozsądku, wierność w służbie, niezmordowana pracowitość i cierpliwość. Takie wzory, choćby jak wyjątkowe obok ohydnych przykładów należało przedstawić, ażeby i prawda i nauka stała się zupełną.

Powtórzyć także musimy trafną uwagę p. Lucyana Siemieńskiego, iż choć dość pochwalić nie można właściwości mowy, przejętej przez autora, zgodzić się z nim niepodobna na przekręcanie i kaleczenie zwyczajem włościan pewnych wyrazów. Tym bowiem sposobem utwierdza się ich w błędnem wymawianiu. Jeżeli autor chciał takowe wytknąć, należało może umieścić w jednym z obrazków jakiego młodego włościanina, który uczęszczał do szkółki, lub służył dworsko, i który to mylne wymawianie poprawia.

Nakoniec powiedzmy, iż bylibyśmy życzyli znaleść w tych obrazkach więcej sztuki, to jest dramatyczności. Udramatyzowanie tych dialogów, tak łatwe talentowi autora, nicby było rzetelności, i dokładności obrazów nie ujęło, a byłoby większe zajęcie potrafiło wzbudzić i utrzymać. Ciągłe czytanie tych dialogów, acz uderza prawdą, staje się w końcu nieco nudnem, i zbyteczną nie w jednem miejscu długość wykrywa. Gdyby każdy z tych obrazków był nie tylko prostą rozmową, lecz małym dramatem wiejskim, byłby się autor zasłużył nowym utworem, który by nietylko w ludowej, lecz i powszechnej literaturze zaszczytne zajął miejsce.

Po tych sześciu obrazkach wiejskich, wydał już w tym roku Pan Wielogłowski obrazek z obyczajów domownictwa wiejskiego, w którym wystawił szafarkę, fornali, dziewki folwarczne, następnie karbowego, leśnego, polowego, ekonoma i t. d., i drugi obrazek oderwany, w którym występuje na scenę pisarz prowentowy, kucharz, panna służąca, pokojówka itd. W tych więc dwóch obrazkach autor ze wsi przeniósł się do dworu, i postacie dworskich służących naszkicował. Niektórych i rysunek i koloryt jest doskonały, w niektórych farby za jaskrawe, a w rysunku nieco przesady. I tak szafarka Wędzichowska, w niektórych szczegółach wyborna, lecz w ogóle wizerunek jej grzeszy zbytkiem komicznych rysów. Taka gospodyni która kradnie, i oszukuje, i kłamie, i kłóci się z państwem, i buntuje czeladź, i która ani cielęcia ani kurczęcia przychować nie umie, której wszystkie indyki na korale zdychają, a kapłony pieją, jest wyjątkowem stworzeniem; i aczkolwiek wiemy z doświadczenia jak trudno o dobrą gospodynię, przecież żadna szafarka w obrazie Wędzichowskiej poznaćby się nie mogła. Jest to obraz zabawny, z dobrym humorem skreślony, lecz przesadzony. Nie możemy także pochwalić sceny pana z fornalami, kończącej się na wybatogowaniu każdego, a szczególniej nie możemy się zgodzić z poezyą autora. Ta broń z dawnego arsenału gospodarstwa polskiego, której przedtem tak często używano i nadużywano, tak jest sprzeczną z dzisiejszemi wyobrażeniami, obyczajami, z naszem własnem uspo-

sobieniem, iż przekonani jesteśmy że szanowny autor podając ją, jako najskuteczniejszy środek do utrzymania porządku i prowadzenia gospodarstwa, nie był sam z sobą w zgodzie, a raczej dozwolił sobie tylko żartu, którego za wyraz jego przeświadczenia brać nie można. Poezya jego sławiąca bat, i przypominająca owe z dawnych elementarzy wierszyki: „Rószczką duch święty dziateczki bić radzi," lub ową odę Naruszewicza do syna byczej skóry, zaczynającą się od tego wiersza:

Odwieczny Cudotworco, Synu byczej skóry,
Exorcysto złych duchów, naprawco natury,

nieprzyjemnie razi, i zdaje się być jakiemś przedrzeźniającem a dla nas niezrozumiałem echem dawniejszych przesądnych wyobrażeń. Smutne by się nasuwały uwagi, i o nas samych i o włościanach polskich, gdybyśmy mieli wierzyć, że innych sposobów kierowania niemi, i korzystania z ich pracy, my wynaleść nie umiemy, oni zaś innym poddać się i uledz nie są zdolni. Miałoż to by być ostatnie słowo doświadczenia, usiłowań podjętych, ofiar poniesionych, ostatnie słowo oświaty do której dążymy i do której i lud nasz wiejski chcemy doprowadzić, nie, tego nie mniema szanowny autor, i dozwalając sobie tej żartobliwej poezyi, raczej dogodził złemu humorowi gospodarza wiejskiego, aniżeli wyjawił szczere przekonanie. Jeszcze jedna nasuwa się uwaga, której pominąć nie możemy. — W obrazach z obyczajów domownictwa, mógł się autor obejść bez przedstawienia miłostek panny służącej z pisarzem, a przynajmniej mógł je wystawić z większą przyzwoitością i oszczędnością szczegółów, mógł także wstrzymać się od kilku dwuznaczników, które może w jakim wodewilu francuzkim byłyby uważane za właściwe, zabawne i dowcipne, lecz które rażą i dziwią w pismach mających na celu poprawę obyczajów, i wyszłych z pod pióra tak moralnego i religijnego autora.

KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ. Kazanie na dwóchsetną rocznicę ślubu Jana Kazimierza, miane w Paryżu dnia 1 Kwietnia 1856 r. przez Xiędza Al. Jełowickiego. Paryż u J. Lecoffre 1856.

MOWA POGRZEBOWA NA CZEŚĆ PIOTRA MICHAŁOWSKIEGO miana (tamże) dnia 9 Czerwca 1856 r. przez X. Al. Jełowickiego. Paryż u J. Lecoffre 1856.

DWA KAZANIA MIANE W PARYŻU PRZEZ XIĘDZA A. JEŁOWICKIEGO. Pierwsze na uroczystość Ś. Jana Kantego, drugie na XXVI rocznicę powstania narodowego. Paryż u J. Lecoffre 1857.

Z czterech kazań księdza Al. Jełowickiego, których tytuły wypisaliśmy na wstępie, podamy nieco wyjątków.

Pierwsze z kolei tak się zaczyna:

Najmilsi moi! Smutną, i bardzo smutną jest dusza moja — i dusze wasze są smutne. Ale dla czegoż dziś tak bardzo smutne? Wszak to wesoła dzisiaj rocznica, rocznica poślubienia Matce Bożej narodu naszego. Wszakże to właśnie w tej godzinie wybija dwóch wieków godzina, jak pobożny król nasz Jan Kazimierz, wracając z wygnania, w jednej ze swych stolic, w imieniu narodu w obec nieba i ziemi, otoczony kapłaństwem, senatem, ludem i wojskiem, królowej nieba i ziemi śluby uroczyste czyniąc, królową ją swoją i narodu swego obrał i mianował, a tym sposobem ojczyznę naszę już upadłą dźwignął, i byt jej przyszły zapewnił na wieki; boć naród Maryi, byleby jéj

był wiernym, zaginąć nie może. Wszakże to tym ślubem myśmy się stali ludem nad wszystkie wybranym. A więc, z każdej miary, wesele nasze w dniu tym winno być bez miary. A jednak smutne i bardzo smutne są dziś dusze nasze. Bo nie na swojej ziemi dzień dzisiejszy święcim, bo na ziemi naszej nikt dziś uroczyście dnia tego nie święci, bo tę ziemię naszę, dziś właśnie zawiedzione nowe nadzieje, nowym przykryły całunem. Smutne więc dusze i słusznie są smutne.

Ale dla czegoż się trwożą? Poznikały nam wprawdzie, jak błędne ognie, ludzkie nadzieje. co nas, niestety, nie raz już z dróg Bożych były sprowadziły. Ale czyż dla tego mamy się już trwożyć? Owszem, niech ten nowy zawód ukrzepi nas w nadziei świętej. Korzystajmy z tego nowego upomnienia. Z różnych bezdrożów wróćmy już na drogę Bożą, wróćmy do Boga i trwajmy już przy nim; a wtedy będziem pocieszeni: bo każdy z nas z Psalmistą do smętnej duszy swojej zawoła bezpiecznie: *Spera in Deo!* „Miej nadzieję w Bogu!“

O mili Bracia! zaufajmy już Panu i Bogu naszemu, któremuśmy tym ślubem ściślej poślubieni. Zaufajmy Matce jego świętej, co jest matką naszą. Miejmy nadzieję w Bogu, Ojcu naszym i Oblubieńcu dusz naszych, który jeden nigdy nas nie odstąpi, nigdy nie zdradzi, zawsze dźwignie, zawsze pocieszy, zawsze przytuli, zawsze obroni, zawsze wspomoże, i nakoniec zbawi, bylebyśmy się mu do potrzeb i do win naszych przyznali. Niech świat czyni świetne przeglądy sił swoich i pysznie liczy konie swe i wozy; my, co odnawiając ślub Jana Kazimierza u stóp Matki Boskiej zwycięzkiej, powiedzieliśmy jej, że nie w koniach ni w wozach, lecz w jej imieniu ufność pokładamy, my u stóp tej Matki naszej uczyńmy pokornie wierny przegląd win i potrzeb naszych, przegląd długów naszych tymże ślubem zaciągniętych a niewypłaconych, przegląd, jednem słowem, całej nędzy naszej; a ta Matka i królowa nasza wstawi się za dziećmi swemi, za królestwem swojem.

Ślub Jana Kazimierza uczyniony najuroczyściéj w obliczu nieba i ziemi, w obec Boga i w obec narodu, otrzymawszy od Boga łaskę zamierzoną, to jest zwycięztwo nad nieprzyjaciołmi ojczyzny naszej, zobowiązał cały naród, do wszystkiego, co tym ślubem ślubował Bogu w imieniu pobożnego narodu naszego ten król nasz pobożny.

Ślubował Jan Kazimierz corocznie i na zawsze święcić ten dzień łaski. Ślubował wierniej i pilniej służyć Matce Boskiej, której ofiarował królestwo i koronę Polską. Ślubował chwałę jej syna, króla królów i ludów, gorliwiej rozszerzać. Ślubował nakoniec, zaraz po ukończeniu wojny, spólnie ze wszystkiemi stanami narodu swego, pilnie się zająć zdjęciem ucisku z roboczego ludu. Matka boska przyjęła te śluby, podała je Synowi swemu, i Bóg dał zwycięztwo, dał pokój pożądany, i do dawnej narodowi naszemu, Matki swej królestwu, nową przydał chwałę. Lecz król i naród czy dotrzymał ślubów? Nie wchodząc w głębokie badania historyczne, lecz sądząc tylko z wypadków, jakoby z owoców, odpowiedzieć łatwo, że ich nie dotrzymał. Nie tyle mówię o pobożnym królu, o którego dobrych chęciach wątpić niepodobna, ile o narodzie całym, któregośmy cząstką. Nie dotrzymała Polska żadnego z tych ślubów, i cóż dziwnego że za to przeniewierstwo spadły na nią plagi. Bo jako święta i zbawienna jest czynić Bogu śluby, tak straszna ich niedotrzymać.

Po dwóch wiekach przyrzeczenia, czas się już uiścić, po wieku karania czas się opamiętać, po ćwierci wieku plag niesłychanych dotąd nad narodem naszym czas się upokorzyć, choćby dla tego tylko, żeśmy już boleśnie nie raz doświadczyli, że nie masz innego sposobu ażeby się dźwignąć.

A naprzód, co się stało ze ślubem święcenia dnia tak uroczystego w dziejach naszych, może najświętszego? Co się stało? Oto nie tylko nie spełniony, ale zapomniany. Mało już kto z narodu naszego wie co o tym ślubie, mało kto o nim jak trzeba pamięta. Wie się w ogólności, że Jan Kazimierz poślubił Matce Boskiej naród nasz kochany, że Marya przyjęła Polskę za królestwo swoje: ale na jakich warunkach, nikt prawie, nikt już o tem nie wie.

A o ślubie gorliwszego służenia Matce Bożej a królowej naszej, cóż powiem? Jest jeszcze, dzięki Bogu, w sercach naszych miłość ku Maryi, i w tem znak pewny żeśmy nie zginęli, że do jej królestwa należymy, i da Bóg wrócimy. Ale czemże ta miłość

w porównaniu onej gorącej miłości naddziadów naszych, co każdą rozmowę imieniem Maryi uświęcali, każdą sprawę od jej imienia poczynali, każdą pieśń imieniem jej ozłacali, każdą chwilę wspomnieniem o niej umilali, i czy to w boju czy w pokoju znali się i czuli jej rycerstwem, jej dziećmi. Ileż to na cześć jej imienia świątyń zbudowali, ile krwi przelali! Ile się namodlili, ile napościli! Kto kocha Maryę, chowa wigilyę; to jest pości postem pokuty dla godniejszego przyjęcia Komunii świętej w uroczystość każdego jej święta. A cóż się dzisiaj z tem przysłowiem stało? Świadczę się tym Stołem Pańskim, dla dziatek Maryi ciągle zastawionym; świadczę się i wami, wy wiecie jak rzadkich i nie licznych miewa teraz gości. O postach z nabożeństwa nie ma co i mówić, bo i postów z powinności nikt już dziś nie chowa, Wszyscy do postów za słabych się mają. I prawda. Zniknęło zdrowie, bo zniknęły posty. Ale i do modlitwy mało się kto spieszy. Z tąd tak mało ufności w Matce Boskiej, tak wiele zwątpienia w sprawiedliwość Bożą.

Więcej przytoczyć niemożemy dla braku miejsca.

Przy kazaniu na rocznicę szlubu królewskiego, kazał ksiądz Jełowicki wydrukować opis zawieszenia wotum w kościele N. Panny Zwycięzkiej o czem już było obszernie w piśmie naszem.

Mowa o Piotrze Michałowskim jest pełna życia aleby jeszcze więcej robiła wrażenia gdyby kaznodzieja nie tak często posągowych zarysów używał. Wyjmujemy z niej co następuje.

Szlachcic, to piękne miano, na które, nie znając go, wielu dziś powstaje, znaczy właśnie męża chwalebnego, który, ofiarą dla ojczyzny własnego zdrowia i życia, dla siebie i dla krwi swojej zdobył wieniec chwały, ow klejnot szlachectwem zwany. Herby szlachectwa zwykle u nas własną krwią pisane bywały; przez chrzest krwi dla ojczyzny wylanej, wchodziło się do zgromadzenia wiernych jej rycerzy. W każdym narodzie, stosunkowo, nie było tyle szlachty co w naszym; znaczy to, że w żadnym tyle cnoty, tyle miłości nie było. I gdyby synowie na szlachectwo ojców byli pamiętali, i zawsze żyli ich męztwem, cnotą, poświęceniem, wiarą, żyłaby wciąż była ojczyzna nasza, i nie trzebaby było dzisiaj jej z umarłych wskrzeszać.

Płynęły przez tę ojczyznę naszą pokolenia rodzin szlachetnych, co jako rzeki spławne uweselały i użyźniały ojczyste zagony, od pokolenia do pokolenia niosąc cnót narodowych bogactwa i wdzięki. Jedne z tych rodzin poczynały się pierwej, drugie później; jedne bywały pełniejsze, donośniejsze, świetniejsze od drugich: lecz jako między rzekami jedna nie zajrzy drugiej, bo każda ma osobną wartość, użyteczność, piękność; tak między rodzinami szlacheckiemi nie ma być zazdrości. A ci co do rodzin szlacheckich jeszcze nie należą, niech nie rozdzierają koryta rzek onych, niech nie pragną onych osuszenia; niech raczej starają się podobnym rzekom być sami początkiem. Bywały wprawdzie między rzekami temi rodzinnemi niektóre, co w biegu swoim leniwiały, i w swej gnuśności jakoby w piasku się gubiły; lecz i takim, przez wzgląd na ich początek, nie złorzeczmy wcale; a sami czyniąc co do nas należy, prośmy Boga, by im wrócił życie; a może, jak rzeki co się w głębiach ziemi ukrywszy czystsze wypływają, może na powrót rodziny te szlachetne uweselą ziemię naszę. Nie raz już bywało, że dzieci zapatrując się na praojców, naprawiły względem ojczyzny grzechy ojców swoich.

Ale nie z takiej zgnuśniałej rzeki wypłynął ów szlachcic polski, o którym dziś wam opowiadam. Jest on dalszym biegiem bystrej, jasnej rzeki, co się począwszy niemal wraz z ojczyzną, przez wszystkie jej wieki raźno przepłynęła, w starym krysztale wód swoich zachowawszy wiernie obraz starej Polski.

Od niepamiętnych czasów byli Michałowscy na Michałowie, możni i pobożni; a ród ich kwitnął pełnią cnót wonnych, jak róża co ich herbem była. Jako we wszystkich wielkich a dawnych rodzinach polskich, tak i w tej rodzinie, mężowie zdobywali zamki, niewiasty stawiały kościoły. Więc przez mężów do herbu ich Róża przybył klucz grodowy, a przez niewiasty herb ten zawisł na sklepieniach świątyń ręką ich wzniesionych. Że rycerska cnota w rodzie tym jaśniała, dość wspomnieć, że za Władysława Jagiełłę hetmanił w Polsce Michałowski, imieniem Mikołaj, któremu wielki ten król

nasz, sam już upadłszy na siłach, zwierzył był przeciw Teutonom wojsko i zwycięztwo. Że cnotą pobożności przy mężach takich słynęły niewiasty, dość spojrzeć na sławną Dominikańską Świątynię w Krakowie, przez Odrowąża zaczętą, a przez Michałowską, żonę tego wodza, hojnie i pilnie skończoną; na klasztor Dominikanek, na Gródku, przez nią założony; na kaplicę Różaną na Zamku; i na tyle innych przybytków Pańskich, strzegących ziemię naszę, i utrzymujących w niej najdzielniej to pośmiertne życie, znak nieomylny przyszłego, da li Bóg, bliskiego zmartwychwstania.

Z takiego rodu, z ojca Józefa, senatora Rzeczypospolitej Krakowskiej, a z matki Tekli z Morsztynów, córki ucznia i przyjaciela króla Leszczyńskiego, urodził się Piotr w Krakowie w 1800 roku, przychodząc na świat pod szczególną opieką Matki Boskiej; w święto bowiem jej Nawiedzenia nawiedził Bóg tem błogosławieństwem zacną tę rodzinę. Obyczajem starych ojców naszych wychowanie w domu Michałowskich było przed wszystkiem chrześciańskie. Przy miłości tam rodzicielskiej, była także i rodzicielska groza: to też w tym domu nie bywało zgrozy. Przy miłości tam synowskiej była taż synowska bojaźń, płynąca z tej bojaźni Bożej, o której rzekł Duch Święty, że jest początkiem mądrości. Ztąd karność.

Znika już niestety święty węzeł karności między ojcami a synami, węzeł wiążący ściśle miłość ich wzajemną; bo cnota ojców znika. Synowie świadki niecnoty swych ojców, szanować ich nie mogą, a więc ani się obawiać. A ojcowie potrzebując zbyt często pobłażania synów, sami im pobłażać muszą; a często nawet sami ich do złego prowadzą, już przez to samo, że ich do dobrego dobrym przykładem nie wiodą; bywa nawet, co zgroza powiadać, że sami ojcowie psują dzieci swoje, sami je do grzechu przyuczają, sami z niemi grzeszą!

Inaczej było z naszym młodym Piotrem. Pod hartem karności silniało mu zdrowie, mężniało serce, ukształcał się rozum, umacniała się wiara, która w biegu życia jego była mu zawsze bodźcem i celem. Pod patriarchalną ze wszech miar rodziców strzechą wzrastając w miłość Bożą, wzrastał też w miłość ojczyzny, którą w pierwszych latach dzieciństwa zbyt nawet gwałtownym okazał sposobem, gdy rzucił się publicznie na jednego z rówienników, który śmiał wyrzec przed nim o Polsce pogardliwe słowo. Musiał to być zapewne chłopak cudzoziemiec; ale mógł być i Polak, bo niestety, zdarza się i między Polakami napotkać wyrodków, co przeciw swej ojczyznie bluźnią, co się z jej niedostatków, zamiast im radzić, radzi naśmiewają. Że ci co nam dłużni krwi tyle, a jednej kropli dla nas jej nie mają, mówią niekiedy o nas niepoczciwie, i dla zagłuszenia sumienia swego wmawiają w siebie, i w nas w mówić by chcieli, że nic już nam życia przywrócić nie może, to nie dziw. Ale że między własną dziatwą ojczyzna nasza ma takich naśmiewców, to zaprawdę boleść dla prawych jej dzieci bardzo wielka, bo to grzech niemały. Niechże tacy, młodzi czy starzy, uczą się od chłopaka tego miłować Polskę, i zastawiać się o cześć Matki swojej; ale nie tym sposobem jakiego był użył i sam żałował, gdy upomniany poznał, i na całe życie zrozumiał, że gwałt nigdy nie jest sprawiedliwym, a umiarkowanie zawsze silniejszem od gwałtu.

O pełnem zasług i zacności życiu Piotra Michałowskiego napisaliśmy w epoce jego zgonu.

Jeden ustęp w mowie przykro nas uderzył. Kaznodzieja powiada:

„Nie tylko kraj ale i rząd sam jakkolwiek nam obcy, zawdzięczał „mu głośno, bo i obcy nawet, a czasem prędzej od swoich uszanują praw- „dziwą wyższość zasługi i cnoty.“

Pozwolimy sobie zrobić uwagę naprzód że niemożna twierdzić jakoby Piotr Michałowski nie był szanowany od swoich. Ceniła go wysoko większość ludzi prawych, większość poważnych obywateli. Tacy zwykle, nie gawiedź, dług wdzięczności narodowej wypłacają. Z drugiej strony nie myślimy żeby rzeczywiście obcy kiedykolwiek u nas zasługę i cnotę, dotąd przynajmniej, szanowali.

Oto jak się zaczyna kazanie na uroczystość Ś. Jana Kantego.

Najmilsi Bracia! Dziwnej pociechy słowo przynosi nam w tym roku dzisiejsza ewangelia święta, nam tu zebranym na uczczenie jednego z wielkich Świętych Pańskich a wielkiego Patrona naszego. Słuchajcie.

„W on czas, gdy mówił Jezus do rzeszy: oto xiąże jedno przystąpiło i kłaniało mu się, mówiąc: Panie, córka moja dopiero skonała: ale pójdź włóż na nię rękę twoję, a żyć będzie. A wstawszy Jezus, szedł za nim i uczniowie jego... A gdy przyszedł Jezus w dom xiążęcia, i ujrzał piszczki i lud zgiełk czyniący. Mówił: Odstąpcie: abowiem nie umarła dzieweczka, ale spi. I śmiali się z niego. A gdy wygnano rzeszę: wszedł i ujął rękę jej, i powstała dzieweczka. I rozeszła się ta sława po wszystkiej onej ziemi. (Mat. IX. 18, 19, 23—26).

Niechże się dziś na nowo sława ta rozejdzie po wszystkiej ziemi naszej, i po sercach naczych.

Dzieweczka ona jest obrazem duszy w grzechu pogrążonej. Umarłą jest zaprawdę, ale dla Chrystusa śpi; bo Chrystus mocen jest ją z tej śmierci łaską swoją zbudzić. Śpi i w tem znaczeniu, że na nic są wszystkie jej sprawy i uczynki dobre, na nic, jakoby snem były.

O jakaż ztąd dla nas pociecha i przestroga razem!

Pociecha, że choćbyśmy byli w grzechu śmiertelnym, to jest w śmierci duszy, dopókiśmy w tem życiu, o zbawieniu naszem rozpaczać nie mamy; lecz co prędzej przywołać w Sakramentach Świętych Tego, dla którego taka śmierć nasza snem tylko. I mi więc, z ojcem dzieweczki onej, wołajmy o duszy naszej w grzechu pogrążonej: Panie! córka moja dopiero skonała: ale pójdź, włóż na nię rękę twoję, a żyć będzie. — I przyjdzie. I ujmie rękę jej, to jest wolę naszę, mocą łaski swojej. I powstanie dzieweczka nasza, dusza jedynaczka, ze śmierci grzechu do żywota łaski. O bracia mili! możesz być pociecha większa wśród boleści naszych? Bądź co bądź, my zawsze tym sposobem z grzechu powstać możem, i już do smierci grzechu nie wracać, lecz żyć bezpiecznie zawsze w łasce Bożej.

Nie rozpaczajcie o zbawieniu żadnego grzesznika. Lecz się za wszystkich z ojcem dzieweczki tak módlcie: Panie! oto syn mój, córka moja, siostra moja, brat mój, choć już dawno skonał — ale przyjdź, włóż nań rękę twoję, a żyć Tobie będzie.

Taż modlitwa, o Bracia! należy się od nas i tej Matce naszej, o której wszyscy mówią, że skonała, że dawno skonała. I w dzwon dla niej pogrzebny wszyscy uderzyli. I piszczki ją żałobne dawno otoczyły. I zgiełk już nie raz około niej bywał, by ją co prędzej zagrzebać. Ach! jakże nam pilno bieżeć do Chrystusa, a wołać: Przyjdź, przyjdź, a pokaż, że ta dzieweczka twoja nie umarła, ale śpi. I nie daj jej tak żywcem grzebać! Dzieweczką ona zaprawdę twoją, bo ci wiary dochowała czystej i żywej, jako nigdzie nie masz; dzieweczką mądrą, co przez długie wieki, z zapaloną lampą uczynków z wiary, przyjścia twego czuwając czekała; dzieweczką dobrą, która nikomu krzywdy nigdy nie czyniła, każdemu dobrze życzyła, i wybiegała zawsze na spotkanie ubogiego, na opatrzenie nędznego, na obronę słabego; dzieweczką mężną, co w kościele twoim jako apostoł i rycerz ustawnie służyła; dzieweczką całe życie skromną i niewinną, co na widok grzechów naszych zemdlała, padła, i snem niemocy zasnęła... A w około niej piszczki i grabarze; płacz udają, a chcą żywcem grzebać. — Powiedz, ach powiedz już do serca ich: Odstąpcie: abowiem nie umarła dzieweczka ale śpi. My to im w imię twoje mówim, lecz oni się z nas śmieją, jak w ów czas z ciebie samego śmiano. Lecz Ty, o Panie! co nie dbasz na smiech ludzki, lecz na płacz sierocy, — Ty Panie wygnaj rzeszę, wejdź sam, ujmij rękę jej, a dzieweczka wstanie. I rozejdzie się ta sława po wszystkiej twej ziemi.

Bracia mili, że przyjdzie tak Chrystus, i że tak uczyni, skoro tylko z grzechów powstając na to zasłużymy, nadzieję nam daje i jutrzejsze Święto, które dziś obchodzim, Święto przesławnego Patrona naszego, Świętego Jana Kantego; którego Chrystus Pan przez Namiestnika swego postawił niejako na straży tej omdlałej, śpiącej matki naszej, tej dzieweczki między narodami, by jej żywcem nie grzebano.

W pierwszej części czytamy:

Kiedy nasz naród, sławny poświęceniem dla drugich, dla wszystkich, a mężtwem przeciw wszystkim, tak niesławnie ginął, i na próżno ostatnie znaki życia, walką bohaterską, tem bardziej bohaterską im mniej spodziewaną, dając, wołał o ratunek u ziemi i nieba, ziemia ogłuchła — niebo wysłuchało. A choć dozwoliło upadku naszego, z którego dotąd pomimo tylu dźwigań się dźwignąć się nie możem, dało nam jednak nadzieję odżycia, wysyłając ku nam jednego ze Świętych swoich a braci naszych ze krwi, a daj Boże z ducha Ś. Jana Kantego. Tym sposobem, w samem karaniu, Bóg miłosierny cieszył nas i pocieszył przez swój Kościół Święty; który pamiętny posług naszych, tym sposobem, innego nie mając, pospieszył nam ku ratunkowi, jakiego ludzie dać nam nie chcieli, ani mogli nawet; bo cóż może człowiek bez woli Bożej, bez pomocy Bożej. Dał nam ratunek w niebie, przymnażając nam Patrona z narodu naszego. Dał nam ratunek na ziemi, do modlitwy ustawicznej za narodem naszym wszystkich wiernych budząc; gdy po wszystkie wieki i po wszystkich miejscach rozkazał modlić się wszystkim do tego Patrona naszego, za doczesną ojczyznę jego i naszę, onym przesławnym hymnem, co dla naszego narodu jest wieńcem zasługi, jest Aniołem Stróżem.

W chwili konania narodu naszego, tym czynem zawołał Kościół Święty na świat cały, że Polska żyć warta, bo jest Matką Świętych. Zawołał że żyć będzie, bo nie został nigdy zawiedziony, kto Bogu samemu sprawę swą poruczył. Co najwymowniej i najrzewniej wyraził w tym cudownym wierszu, któryby stać się nam powinien modlitwą codzienną.

O qui negasti nemini
Opem roganti, patrium
Regnum tuere postulant
Cives Poloni, et exteri.

O Ty, coś na ziemi żyjąc nikomu żebrzącemu pomocy nie skąpił, dziś w niebie królując, ojczyste wspieraj tu królestwo; błagają cię o to obywatele nie tylko Polscy, ale też i obcy.

I nasza Polska tak jak nasz ten Święty, co pod tym względem jest jej obrazem, jej usobieniem, nikomu żebrzącemu pomocy nigdy nie skąpiła; jak ten nasz Święty sąsiady swoje chlebem swym karmiła; i płaszczem z ramion swoich zdjętym okrywała; i obuwiem z nóg swych ściągnionem ozuwała, sama we krwi swej aż do domu brodząc.

Więc tak się do Swiętego naszego modląc Kościół Święty, przypomina światu całemu narodowę cnotę naszę, cnotę miłosierdzia, dla której i nam Bóg miłościw będzie.

Przytoczymy dalej co następuje:

Święty Jan Kanty, czem był? Oto tem, czego nam najbardziej ku ratunkowi naszemu potrzeba: był kapłanem i nauczycielem. Brak dobrych kapłanów i nauczycieli poprzedził, i, rzec można, sprawił nasz upadek; bo za tem poszło osłabienie wiary, zepsucie obyczajów; za tem poszły grzechy straszne, grzechy publiczne, które wywołały miłosierny, doczesny gniew Boży.

Czemże było duchowieństwo ostatnich czasów istnienia naszego, w porównaniu z duchowieństwem pierwszych, złotych wieków Polski? Jakiem było duchowieństwo onych błogich wieków, znać to po Swiątyniach Pańskich w gruzy dziś idących; znać po tym najpiękniejszym pomniku, po złotej, zaprawdę złotej wierze ludu, co tyle już prób wszelakiego ognia wytrzymawszy, żywie dotąd jasna i czysta, choć mniej oświecona. Gdzież dziś, a przynajmniej jak rzadcy, oni Apostołowie nasi, co nam zjednywali nowe braty, nowe Niebu zdobywając dusze. Gdzież dziś te Biskupy, te świeczniki wielkie, wielkie nietylko w narodzie ale i w kościele. Gdzież domy zakonne, te zamki królestw chrześciańskich, strzegące ich bezpieczeństwa, strzegące moralności i zdrowej nauki. Gdzież to niepoliczone mnóstwo dziewic Bogu poślubionych, co jak gołębice ulatując modlitwą swoją nad narodem naszym, z niebem go wiązały, widome Stróże Anioły. Gdzież te wszystkie, te drogie klejnoty Korony Polskiej? Odpowiedźcie sami — wy zwłaszcza, coście tu między nas z rodzinnej ziemi świeżo zawitali.—Wszystko to w gru-

zach. A dalej, jeżli tak długo potrwa i gruzów nie stanie. Wiatr tylko po tych gruzach gwiżdże, podrzeźniając temu duchownemu upadkowi naszemu i tej nędzy naszéj!

Czyjaż w tem wina? Nasza własna. I my za nią przed Bogiem i przed pokoleniami, jeżli się nie poprawim, odpowiadać będziem.

Gdy Pius IX, lat temu dziesięć, raczył był w obecności mojej nawiedzić ostatnią męczennicę naszę, matkę Makrynę, co świadectwo wierności narodu naszego wierze świętej zaniosła na groby pierwszych męczenników Kościoła Świętego, na te odwiedziny wybrał właśnie dzień Ś. Jana Kantego. A gdym na tę okoliczność zwrócić śmiał uwagę Ojca Świętego, błagając by tem obficiej Polsce błogosławił; błogosławiąc wyrzekł te pamiętne słowa: „Takich, jak Święty Jan Kanty, niech Polska ma księży, a Bóg jej „jak przed tem błogosławić będzie.“

Przytoczymy jeszcze zakończenie:

Kiedy modlący się zawsze, dla wypoczynku w pracy szedł nawiedzać ubogie i chore, zdarzyło się, że nad brzegiem rzeczki, co pod górą Wawelu wody swe do Wisły naszej z obrazami brzegów swoich niesie, spotkał Jan Kanty płaczącą dzieweczkę nad dzbanem rozbitym, w którego skorupach pozostałe resztki mleka znać dały, jakiej płakała tak szkody. Straciła całodzienny pokarm licznego a ubogiego rodzeństwa swego! I nieutulona w żalu, modląc się płakała. Zapłakał z nią nasz Święty, i z nią się pomodlił. A ufny w Bogu, który modlitwy dobre miłych swoich zawsze wysłuchuje, złożył potłuczone skorupy, i zrosły się w dzban zdrowy. I napełnił go wodą z rzeki tej, z Rudawy, i przeżegnał krzyżem. I ta woda stała się mlekiem, obfitszem i lepszem od tego, co wylanem było.

O święty nasz Patronie! i myśmy dzban nasz, to naczynie wybrane Boże, tę Polskę kochaną, niebacznie niosąc, rozbili. I rozpadł się w wielkie trzy skorupy. A odrobina łaski Bożej świecąca w nich jeszcze, świadczy o wielkiej, wielkiej szkodzie naszéj. Ach, ujmij w twe dłonie te skorupy nasze, a zrosną się w naczynie dawne, a zdrowsze jak wprzódy. Nie wodą z rzek naszych, łzami pokuty z oczów naszych my je napełnimy. I przeżegnasz je, i staną się mlekiem nauki zdrowéj, mlekiem wiary żywej, mlekiem łaski Bożej, starczącem na wyżywienie rodziny twojéj i naszej, na dzień ten cały, aż do dnia wieczności. Amen.

O qui negasti nemini
Opem roganti, patrium
Regnum tuere postulant
Cives Poloni, et exteri.

Z kazania na rocznicę powstania narodowego wyjmujemy taki ustęp:

Była w Jeruzalem sadzawka, zwana Betsaida (Jan V), przy której leżało mnóstwo wielkie ślepych, chromych, wyschłych, wszelką niemocą złożonych; bo od czasu do czasu anioł z nieba poruszał jej wody; a gdy się to poruszenie stawało, pierwszy chory, który w te wody tak wzruszone wchodził, bywał uzdrowiony. I leżał tam od lat trzydziestu ośmiu chory, najcięższą złożon niemocą, największego politowania i litości godzien. I wzruszały się pod oczami jego raz po raz te wody; lecz nigdy uzdrowion być nie mógł. Bo nim się dźwignął, już kto inny wskoczył. I przyszło już do tego, że się dźwignąć nie mógł.

Czy nie poznajecie w tym chorym narodu naszego, a zwłaszcza nas, wyrzuconych z łona jego w najcięższą niemoc i bezwładność. Jako on paralityk, leżym oto blizko lat trzydzieści, u tej tu sadzawki, w której zdaje się nam że jest uzdrowienie ludów. I czekamy dzień i noc, przez miesiące i lata, na poruszenie wód jej. I tylu już poruszeń byliśmy świadkami. I za każdem zrywaliśmy się co siły z łoża boleści naszej; i znowuśmy na to łoże cięższej upadali, nie mogąc nigdy dobiedz do wrzątka tej wody.

A przechodząc Chrystus, zbliżył się do onej sadzawki. A ujrzawszy onego bezwładnego, wyschłego, zaledwie żywego, zapytał, coby tu czynił. I opowiedział Chrystusowi niemoc swoję, i boleść; że oto lat już trzydzieści ośm leżąc u źródła zdrowia, do tego źródła dostać się nie może. I tak ubolewający, a za zdrowiem tęskniący, za-

wołał: *Nie mam człowieka!* Nie mam człowieka, coby, ulitowawszy się nademną, dźwignął mię i w poruszenie tej wody na me uzdrowienie wrzucił.

Kiedyż, o Bracia mili, bardziej jak dzisiaj, po tem tak wielkiem wzruszeniu wód mnogich, jakiego dotąd za dni naszych jeszcze nie bywało; kiedyż bardziej i my także z onym paralitykiem, w żalu i bolu naszym, winniśmy zawołać: *Nie mamy człowieka!* Nie mamy człowieka, bośmy się na ludzi tylko oglądali, a ludzie pomódz nam ni chcą ni mogą. Jedynym człowiekiem, co nas dźwignąć i chce i może, jest Ten, przez którego się dzieje wszelkie poruszenie wód wszelkich, a który i bez wód poruszenia uzdrowić jest mocen. Jedynym tym człowiekiem jest Bóg sam, jest Chrystus.

I ulitowawszy się nędzy onego chorego, rzekł mu Chrystus: *Wstań, weźmij łoże twe, a chodź* (Jan, V, 8).

I my inaczej nie wstaniem, i do domów naszych nie wrócim, aż nam ten jedyny człowiek, co jest Bogiem razem, rzeknie wszystkim i każdemu: „Wstań!"

Czas już czas, Najmilsi, abyśmy prawdę tę uznali, że Chrystus, a nie kto inny, włada światem całym i wodami jego. A któż jeźli nie on sprawił i to ostatnie a tak wielkie mnogich wód wzruszenie, któż je uspokoił? Nikt nie chciał był wojny; a oto tak długa i zacięta tocząc się między mocarzami, wszystkie nadzieje nasze była ożywiła. Nikt potem nie chciał pokoju, bo jeszcze owocu wojny nikt się nie doczekał; a oto stało się uciszenie wielkie, straszniejsze dla nas od wojny. Czas więc, już wielki czas to uznać, a zawołać do Chrystusa Pana, słowem prawdy i serca: *Nie mamy człowieka!* Nie mamy człowieka, o Jezu! bośmy o Tobie, Jezu! zapomnieli!

O! jakże nam kapłanom, słowy Proroka, do was, Najmilsi, do was wołać pilno: *To mówi Pan zastępów: Nawróćcie się do mnie, mówi Pan zastępów, i nawrócę się do was, mówi Pan zastępów* (Zach. I. 3).

Do nas to, do nas to wołanie Boże, bo któż więcej od nas był zastępem Bożym. Nawróćmyż się raz przecież jak należy, nawróćmyż na zawsze, jeźli znowu i na zawsze chcemy być zastępem Bożym. A wtedy Ten, który sprawuje wody poruszenia, a który i bez poruszenia wody mocen jest uzdrowić, nawróciwszy się do nas, rzeknie do nas: „WSTAŃ!"

NEKROLOGI.

Alfred de Musset. — Akademia francuzka nową stratę poniosła przez zgon Alfreda de Musset jednego z poetów i pisarzy, którzy w epoce literatuy francuzkiej, jaka po rewolucyi lipcowej nastała, najgłośniejszej słynności dostąpili. Czyli ta słynność przemieni się dla niego w długotrwałą sławę, czyli ta wziętość przeciągnie się aż do potomnych, przesądzać nie chcemy, lecz powątpiewać pozwalamy sobie. Jego utwory poetyczne mimo niezaprzeczonych niejakich zalet, o których niżej wspomniemy, nie odznaczyły się wcale dążnością wznioślejszą, ani też tyle zalecały się śmiałością pomysłów, właściwym i odrębnym od innych charakterem, lub też wyborem nowej lub odnowionej formy, aby w przyszłości zająć mogły miejsce obok poezyi Lamartina i Wiktora Hugo z epoki ich pierwszych natchnień. Jeżelibyśmy chcieli zmarłemu poecie przyznać niejaką samodzielność, to chyba tę że żyjąc i pisząc w czasie w którym całe pokolenie poetów i pisarzy powstałe z Szatobryanda i utworzone przez niego, a rozmiłowane w średniowiecznych wspomnieniach, pomnikach, wyobrażeniach, kochało, rozrzewniało się, tęskniło i płakało. On oddzielił się od współczesnych sobie śpiewaków, inny charakter nadał swojej poezyi, innych natchnień nie tyle uczuciowych poszukiwał, Nie chcemy się tu zajmować ocenieniem szczegółowem płodów jego pióra, w ogólnych wyrazach wspomniem o nich, przy podaniu zebranych wiadomości o życiu i pracach autora, którego zgon zbyt wczesny, a winą zgubnych nawyknień przyspieszony, boleśne w społeczeństwie francuzkiem wywołał uczucie.

Alfred de Musset urodził się dnia 11 grudnia r. 1810, był on synem Wiktora de Musset Pathay naczelnika wydziału w jednem z ministeriów i autora kilku dzieł, z których życie Jana Jakuba Rousseau, najwięcej na siebie publiczności uwagę ściągnęło. Młody Alfred pobierał nauki za panowania Karola X. w kollegium Henryka IV na jednych ławkach z synami Ludwika Filipa ówczesnego księcia Orleanu a szczególniej z księciem Chartres który go wielce upodobał sobie. W szesnastym roku życia zaczął próbować swoich zdolności poetycznych, i wziął się do pisania tragedyi, której przy dojrzalszej rozwadze zaniechał. W owym właśnie czasie zapaliła się była walka literacka we Francyi, w której nowi i młodzi jeszcze pisarze, bez poniżania ustalonej sławy w przeszłości, a więc nie tak jak się u nas działo, starali się nadać nowy kierunek literaturze ojczystej, wyzwolić ją z zbyt ciasnych i niewolniczych form, i nowem ją życiem odmłodzić. Nie wszystkie te usiłowania zdrowe i pożywne wydały owoce, nie wszystkie jednak jałowemi pozostały. Lamartine, Wiktor Hugo, Alfred de Viguy, Soumet, Sainte-Beuve, Emil Deschamps składali ten zastęp poszukujących nowych ścieżek w poezyi, jedni z nich je znaleźli, drudzy zapuścili się w znalezione za szczęśliwszymi przewodnikami. Alfred de Musset młody bo zaledwie lat 20 liczący, pierwszemi dźwiękami swemi, ani zbytniej żądzy oryginalności ani potrzeby naśladownictwa nie objawił, nie wpisał się on w ten zastęp nowej szkoły poetów, lecz ożywiony niejako dawnym duchem francuzkim w pierwszych utworach swoich więcej wdzięku i świeżości, jak uczuciowości, więcej prostoty, wesołości dowcipu, jak siły i śmiałości, więcej poprawności stylu i wypracowania jak polotu natchnienia okazał. Pierwszy jego utwór który go w roku 1830 dał poznać literackiemu światu, powieści hiszpańskie i włoskie, odróżniały się od innych poezyi ówczesnych tym charakterem właściwym sobie, którego jednak jako ogołoconego z wszelkiej cechy moralnej wcale pochwalić nie możemy. Następnie w roku 1832 wydał: *le Spectacle dans un fauteuil*, *Franck Namouna*, *Rolla*, *O czem marzą dziewczęta*. Pewien rodzaj sceptycyzmu Byronowskiego i igraszki z życia, właściwe jemu połączenie chłodnego powiewu ironii z błyskami uczucia, natchnienia w życiu ziemskiem czerpane i niesmak tego żyyia wyrażone zawsze z liryzmem cechowały jego poezye i zdradzały nieład jego duszy. Przez lat kilka zamilkł, lecz przez ten czas milczenia kochał i cierpiał, gdy więc w roku 1840 odezwał się nowym dźwiękiem, w jęku tym brzmiał jęk boleści i żałość wspomnienia. W Poezyi jego Noce *les Nuits* nie daje się już słyszeć głos wesołości i pustoty młodzieńczej, lecz tony boleści któréj nie oczyściło ani uświęciło żadne uczucie w religijnem przekonaniu czerpane.

Jest to właściwem naszej epoce tak u obcych jak i w naszym kraju że pisarze dzisiejsi, szczególniej ci którzy natchnienia w wyższej sferze ducha nie szukają, prędko wyczerpują to natchnienie, prędko zużywają talent, nie zachowując do końca życia pełności darów bożych. Nim nadejdzie starość ich lat, przychodzi znużenie ich ducha. Alfred de Musset nie odróżnił się w tem od współczesnych sobie poetów, lecz że dbał o poprawność swych pism, że je starannie obrabiał, co stanowi główną ich zaletę, wolał milczeć jak ułomne i niewykończone utwory światu przedstawiać. Od roku też 1840 żadną znakomitszą poetyczną pracą nie zasłużył się literaturze; nie możem jednak pominąć milczeniem odpowiedzi jego na owe sławne i zbyt sławione strofy Beckera o Renie, w któréj patriotycznym dźwiękiem, zaprawnym ironią, tony patriotyzmu germańskiego usiłował odeprzeć i pokonać, a która to odpowiedź zaczynała się od wiersza:

Nous avons eu, votre Rhin Allemand.

Zdaje się że niepowodzenie w życiu doznane, przejęło go wstrętem do społeczeństwa, w którem dawniej był lubionym i poszukiwanym. Nie podparty siłą przekonania religijnego, odosobnił się od ludzi, i w tem odosobnieniu nabył nawyknienia, które zgon jego przyspieszyło. — Być może, iż chęć rozgrzewania sztucznym ogniem natchnienia słabiejącego zamieniła się u niego w nałóg, lecz sam mówił: „iż George Sand pisząc napełnia swój kubek mlekiem, i gdy ten kubek wypróżni już ma tom jeden wykończony, ja zaś, dodawał, stawiam przed sobą szklankę z innym napojem, a gdy ją wysuszę, ledwie strofę jedną utworzę, która nieraz koszlawa." — Jako pisarz prozą nie mniej się odznaczył. Styl jego jest snadny, jasny, prostotą i świeżością ujmujący i przypominający sposób pisania dawnych pisarzy francuzkich; lecz i w prozie dążnością moralną wcale

się nie zaleca. Wydał on powieść Fryderyk i Bernerette, której przedmiot jest podobny do Manon Lescaut Prewosta. Kilka komedyj, kilka przysłowiów dramatycznych *Proverbes* napisał, te ostatnie szczególniej są pełne wdzięku i dowcipu. W czasie w którym zwolniał w pracy, wziął się do wyrobienia tragedyi Fredegonda, którą zaledwie zaczął, a z której pozostałe ustępy mają znakomite mieścić piękności. W roku 1846. wraz ze Stahlem na współkę podjął się wydawać poszytami dziełko pod tytułem: *Voyage où il vous plaira*, do którego Tony Johannot dorobił rysunki. Wspólnie także z Emilem Augier napisał komedyę dla jednego z małych teatrów paryzkich, która nie zyskała powodzenia. Wszystko jednak co z pod pióra jego wychodziło tak było poszukiwanem, iż Dr. Veron wydając Konstytucyonela po 1500 franków płacił mu za arkusz. Przed pięcią laty akademia nie zważając ani na jego przedłużone milczenie, ani na kierunek dawniejszy jego ducha, który acz godnym pochwały nie był, nie dość był wyraźnym aby się stał szkodliwym, pomnąc tylko na jego zasługi literackie, powołała go do swego grona.

Mało podobno pism nieznanych pozostało po nim. Brat jego Paweł de Musset, który się w świecie literackim poszukiwaniami historycznemi odznaczył, zajmie się zapewne z sumiennością braterską wydaniem tych pism, twierdzą że dwie komedye w rękopiśmie zostawił. Alfred de Musset był bibliotekarzem w ministeryum oświecenia. Jednem z jego najulubieńszych zajęć była gra w szachy, połączył się był przyjaźnią z sławnym mistrzem w tej grze Labourdonnais i uczęszczal z upodobaniem *au Café de la Règence*, gdzie się najznakomitsi gracze zbierali. Mówią że sposób gry jego i pomysłów w niej przypominał świetność i prostotę stylu pism jego. Illustracya z 9. maja podała zadanie szachowe przez niego ułożone, w którem za pomocą dwóch koników w trzech pociągach przeciwnika zamatować można. — Umarł Alfred de Musset 2. maja o 3ciej zrana na sercową chorobę, jak świadczy list jego lekarza p. Morel Lavalèe; zostawił on w żalu matkę w podeszłym wieku, brata Pawła i siostrę zamężną. Na pogrzebie jego przemówił stosownie do zwyczaju dyrektor akademii pan Vitet. Minister stanu polecił wyrobienie jego biustu, który w instytucie umieszczonym będzie. Opróżnione miejsce w akademii nowy wybór zapełni, a o mowie akademickiej którą uczczoną zostanie pamięć zmarłego i ocenione jego zasługi literackie, nie omięszkamy w swoim czasie zdać sprawy.

Ludwik Tęgoborski. — Umarł w Petersburgu 11 kwietnia. Był Polakiem, katolikiem, synem znanego w Warszawie obywatela. Zaczął swój zawód od służby przy ks. Lubeckim, z którym jeździł do Wiednia w sprawie likwidacyi rachunków między królestwem Polskiem a Austryą. Po roku 1831 był konsulem w Gdańsku. Następnie, w r. 1833. zasiadał w komissyi mianowanej przez trzy mocarstwa dla reorganizacyi Rzeczypospolitej Krakowskiej. W ostatnich czasach reprezentował Rossyą w konferencyach, które rozstrzygnęły sprawę cła zundowego. Ledwie wrócił z Danii do Petersburga, śmierć go prawie nagle zaskoczyła. Zwłoki przewieziono 13 kwietnia do kościoła rzymsko-katolickiego przy Newskim Prospekcie. Pogrzeb odbył się w dniu następnym. Ciało złożono na cmentarzu katolickim. Żałobnemu nabożeństwu byli przytomni: Cesarz, wielcy książęta i wszyscy wyżsi dignitarze. Koledzy zmarłego, członkowie rady państwa, a na czele jej prezes, ks. Orłów, nieśli trumnę. O pismach jego wspominaliśmy w swoim czasie. Tem większą one zwracały na siebie uwagę, że przedmiotem ich była nauka, która zbyt mało w Rossyi uprawiana, żadnego dotąd znamienitszego autora w tym kraju nie wydała. Z prawdziwom też zadziwieniem, a nawet niedowierzaniem, przyjęła Europa najważniejsze jego dzieło: o siłach produkcyjnych Rossyi. Przebywając długo i w Krakowie i w Wiedniu, miał czas przypatrzeć się z bliska finansom austryackim, i te w osobnem dziełku wyłożył. Pamiętną jest także jego żwawa polemika z Leonem Faucher po rewolucyi lutowej. Niezawodnie, jako finansista i ekonomik polityczny, miał obszerne wiadomości i niepospolity talent. Nieszczęściem jego było, że nikt nie chciał wierzyć jego podaniom i liczbom, których prawdziwości skrytość rządu rossyjskiego dojść nie dozwalała. Za naczelną jednak zasługę poczytać mu należy, że się zawsze szczerze za wolnością handlu oświadczał.

Pani Bagreeff. — Była to córka sławnego hr. Sperańskiego, który z syna prostego popa własnym talentem wzniósł się na najwyższe szczeble dostojeństwa, został przyjacielem i doradzcą Cesarza Aleksandra, i pierwszą stanowczą reformę administracyjną w Rossyi rozpoczął, przez co naraził się stronnikom istniejących nadużyć, którzy póty intrygowali, aż go zgubili w umyśle zawsze słabego i chwiejnego monarchy. Sperański, usunięty z urzędu krótko przed wojną 1812 r., wysłanym został na Syberyą. Wygnańcowi córka towarzyszyła. W późniejszych latach przywrócony do łaski, zajmował się aż do śmierci (1839) najważniejszą w Cesarstwie pracą, to jest ułożeniem kodeksu prawnego. Córka starannie przez ojca wychowana, odziedziczyła nieco jego przymiotów. W ostatnich latach wiele podróżowała. Owocem tych wędrówek było niedawno wydane dzieło: Les pélerins russes à Jerusalem. Pisywała powieści z przedmiotów rossyjskich, osobliwie w Revue des deux mondes. Miała właśnie na wydaniu poczet takich powieści p. t. Esquisses de moeurs russes, gdy w kwietniu, przeżywszy lat 57, w Wiedniu umarła.

Jan Mc. Gregor. — Głównym przedmiotem jego pism była statystyka handlowa. Sprawował wysokie urzędy w Anglii i często do powodzenia układów handlowych za granicę był wysyłany. To wszystko nie tyle mu daje prawa do wspomnienia w naszej nekrologii, co przychylność dla sprawy Polskiej i długoletnie związki z wieiu rodakami naszymi. Zasiadał w parlamencie jako deputowany z Glasgowa. W ostatnich czasach zawikłany został w bankructwo jednego z większych banków londyńskich. To mu śmierć przyspieszyło. Umarł 23 kwietnia w 68 roku życia Ważniejsze jego dzieła są: Historya, jeografia i zasoby Brytyjskiej Ameryki, — Handlowa Statystyka, — Postęp Ameryki od jej odkrycia przez Kolumba aż do r. 1847.

Dufrenoy. — Krótko jeden po drugim umarło trzech sławnych geologów: Constant Prèvost, Dumont i Dufrenoy. Ten ostatni był synem znanej poetki. Urodził się w Sevrau pod Livry przy końcu wieku zeszłego, nauki odbył w szkole politechnicznej i wyszedł na inżyniera kopalni. On to z p. Elie de Beaumont zrobił wielką kartę geologiczną Francyi. Pracował nad nią lat 20. Najsławniejsze jego pismo nosi tytuł Traité de minéralogie. Był członkiem akademii nauk, professorem mineralogii w szkole min, a geologii w szkole dróg i mostów, w końcu zaś professorem mineralogii w Jardin des plantes. Umarł 20 marca.

Aleksander Thomas. — Przed dziesięcioma laty zajmował się wiele sprawą polską. Pisywał o niej w Journal des Debats, do którego redakcyi należał, i w Revue des deux mondes. Szczególniej wiele miały rozgłosu jego artykuły o stosunkach włościańskich w Polsce a mianowicie o usiłowaniach obywateli królestwa Polskiego w tym przedmiocie, zamieszczone w wyżej wspomnionym dzienniku.pod koniec 1847 r. Znajdował się w Berlinie podczas połączonego sejmu i z jego obrad zdawał sprawę temuż dziennikowi. Świetna zdawała się przed nim otwierać karjera. Rewolucya lutowa przerwała ją. Jako professor historyi w jednem z gimnazyów powołany do przysięgi Napoleonowi, odmówił jej i usunął się za granicę. Zapalony orleanista, wciąż odtąd pisywał przeciw nowemu porządkowi rzeczy we Francyi. Umarł w Belgii, licząc zaledwie 40 lat życia, w połowie maja.

SPRAWY PUBLICZNE.

Towarzystwo Naukowe Krakowskie.

W poprzednim poszycie naszego pisma umieściliśmy wiadomość o oddzieleniu się Towarzystwa naukowego krakowskiego od Uniwersytetu Jagiellońskiego, o nowem jego urządzeniu, o wyborze na prezesa szanownego i tyle poważnego wiekiem i zasługami kasztelana Wężyka, i o odbytem

pierwszem posiedzeniu publicznem na dniu 28 lutego. — Nadto przytoczyliśmy z *Czasu* opowiadanie tegoż posiedzenia, streszczoną mowę dotychczasowego prezesa Dr. Bartynowskiego, i niektóre ustępy z mowy nowego prezesa, która żywe zajęcie, i ogólne współuczucie wywołała, tak na tych którzy jej słuchaczami byli, jak na tych którzy się jej czytelnikami stali. — Dziś gdy tę mowę w całości otrzymaliśmy, gdy takowa w zupełności nigdzie ogłoszoną nie została, mniemamy iż rzecz miłą czytelnikom naszym uczynim, podając ją tu w całej obszerności, i dołączając dalsze wiadomości jakieśmy o urządzeniu, o składzie, pracach, zamiarach i usiłowaniach odnowionego towarzystwa zebrać potrafili.

Gdy postanowieniem cesarskiem z dnia 26 grudnia r. 1855 odłączenie towarzystwa naukowego krakowskiego od uniwersytetu Jagiellońskiego wyrzeczonem zostało, i gdy wygotowanie nowych statutów okazało się koniecznem, zajęto się ułożeniem takowych, i te w Wiedniu 13 maja 1856 roku potwierdzenie ministra spraw wewnętrznych otrzymały. Statuta te zawierają 57 paragrafów. — Pierwszy oddział w czterech paragrafach oznacza cel i przedmioty mające być zajęciem tegoż odnowionego towarzystwa. Paragraf I^szy^ brzmi jak następuje.

„Celem towarzystwa jest postęp w obrębie wszelkich nauk uważa-„nych samych w sobie, i w ich zastosowaniu tak ogólnem jak szczególnem „do potrzeb krajowych.“

W drugim paragrafie wyrażonem jest na czem zgodnie z tym celem uprawa nauk zależyć będzie, a więc w trzecim ustępie tego paragrafu zalecone jest także staranie około zbierania, zachowywania i pielęgnowania zabytków dotyczących dziejów, sztuk, i języka krajowego. Towarzystwo podzielone jest na trzy oddziały: umiejętności moralnych, nauk przyrodzonych i ścisłych, sztuk i archeologii. Nazwę ma przyjąć cesarsko-królewskiego towarzystwa naukowego krakowskiego. Składać się będzie z członków czynnych czyli uprawiających naukę lub sztukę, z honorowych czyli wspierających tego rodzaju usiłowania.

Członkowie czynni są, jedni miejscowi, drudzy korespondenci. Na członków mogą być jedynie wybrani poddani austryaccy, do przyjęcia osób zagranicznych na członków korrespondentów lub honorowych potrzebne jest przyzwolenie władzy krajowej. — Każdy członek czynny rocznie wnosi składkę 9 ZłR. korrespondentowi wnoszenie jej zostawia się do woli. Osoby do zarządu towarzystwa wybierają członkowie na posiedzeniu ogólnem, z grona członków czynnych miejscowych. Paragrafy 23 do 24 określają obowiązki prezesa komitetu i innych urzędników towarzystwa. Wybory odbywają się corocznie w lutym, i w tymże miesiącu nastąpi posiedzenie publiczne. — Na posiedzenia oddziałowe zbierać się będą członkowie miesięcznie: oddziału nauk moralnych każdego 1go w miesiącu, oddziału umiejętności 10go, oddziału sztuki i archeologii 20. Podług paragrafu 40 komitet na wezwanie prezesa, ilekroć tego potrzeba uznaną zostanie przez niego, lub przynajmniej przez trzech członków komitetu, zgromadzać się ma na posiedzenie. — Artykuły ostatnie przewidują wypadek rozwiązania towarzystwa, gdy liczba członków potrzebna do kompletu posiedzenia pełnego to jest 21, z powodu braku członków czynnych miejscowych, zebraną nie będzie, i gdy niemożność ta przez $^2/_3$ członków komitetu udowodnioną zostanie. W takim razie pozostała gotowizna użytą będzie na wsparcie uczniów Uniwersytetu Krakowskiego a archiwum, biblioteka, muzeum przejdzie na rzecz biblioteki uniwersyteckiej.

Te są główne rozporządzenia nowo potwierdzonych statutów. — Na mocy ich na ogólnem posiedzeniu w roku zeszłym przystąpiono do wyborów. Na prezesa prawie jednogłośnie powołany został czcigodny kasztelan Wężyk. — Wybór ten był wielce wymowny — głośno nim towarzystwo

przemówiło, że pojmuje stanowisko jakie w kraju zająć powinno. Uszanowawszy tym wyborem wiek, powagę, cnoty i zasługi tak w obywatelskim jak w literackim zawodzie położone, okazało że szanuje przeszłość, że nie zrywa z tradycią, że przyjmuje dziedzictwo byłego towarzystwa przyjaciół nauk Warszawskiego, i chce w przyszłości przeciągnąć jego troskliwość o nauki ojczyste, jego usiłowania, jego odnowić zasługi. Kasztelan Wężyk jest jednym z ostatnich w kraju, a może ostatnim w Galicyi członkiem byłego towarzystwa, nie mógł więc wybór być właściwszym, ani więcej znaczącym. — Towarzystwo to mimo całej wartości swojej, jaką i z mężów którzy je składali, i z prac swoich tak słusznie słynęło, przez niektórych pisarzy nowego pokolenia tak szkalowane, tak poniewierane, tym pierwszym aktem towarzystwa krakowskiego, niejako uszanowanem zostało. Ten też wybór dziś, gdy do zdrowszych i bezstronniejszych zdań i wyobrażeń większość dbała o sławę krajową wraca, powszechny oklask zyskał i zaszczytnie o dążności i duchu nowego towarzystwa powszechność krajową uprzedził. Inne wybory na osoby następujące padły. Na zastępcę prezesa towarzystwa wezwano powszechnie poważanego Józefa Majera byłego rektora uniwersytetu Jagiellońskiego, Sekretarzem mianowany został znakomity w naukach ścisłych professor Stefan Kuczyński, Podskarbim ksiądz Adam Jakubowski rektor zgromadzenia ks. Pijarów, zasłużony w piśmiennictwie, znany z swej gorliwości i pracowitości na polu nauk i oświaty krajowej. — Komitet towarzystwa składają Józef Muczkowski, Paweł Popiel, Wiktor Kopf, ulubiony nasz śpiewak Pol Wincenty, znakomity krytyk, pisarz prozą i wierszem Lucyan Siemieński, Mecherzyński Karol, Skobel Fryderyk, Kremer Karol.

Gdy podług paragrafu 34 członkowie obecnie do towarzystwa należący nadal w nim pozostać mają, towarzystwo licząc wtem nowo obranych mieści w sobie 100 członków czynnych, 152 korrespondentów, 39 honorowych, a tak obejmuje w swem kole wszystkie prawie znakomitości naukowe i literackie kraju naszego, a których grono jak słyszeliśmy wyborami nowemi uzupełni się, powołując między innymi, Franciszka Morawskiego, Alexandra hr. Fredrę, Alexandra Batowskiego i t. d.

Oddzielone towarzystwo od uniwersytetu Jagiellońskiego, postradało prawo mieszczenia się w gmachach uniwersyteckich. Pierwszą więc myślą nowego prezesa było obmyślenie dla towarzystwa własnego dachu któryby go uwolnił od potrzeby żebrania gościnności, i pod którymby mogło swoją działalność rozwinąć. Gdy kilku o dobro nauk gorliwych mężów wchodząc w tę myśl prezesa, oświadczyło się z gotowością do znacznych na ten cel ofiar, postanowił on, jak się w swej mowie pięknie wyraził „wyciągnąć do ziomków sędziwą prawicę“ i wyciągnął ją po raz pierwszy na publicznem posiedzeniu dnia 28 lutego odbytem. — Posiedzenie to, na które liczna obojej płci zebrała się publiczność, świadcząc o żywem zajęciu jakiem ją przejęło to nowe życie w towarzystwie naukowem obudzone opowiedzieliśmy podług *Czasu* w poprzednim poszycie, tu dodajemy, że gdy były prezes Bartynowski wezwał swego następcę do zajęcia miejsca jego, ten ujrzawszy przed sobą liczne zgromadzenie z wyraźnem współuczuciem i z natężonem oczekiwaniem usposobione do przyjęcia słów jego, z pełności szlachetnej i gorącej duszy ozwał się z godnością i z powagą wyrazami które łatwo w serca i umysły przytomnych wpłynęły. Wrażenie było silne, i gdyby w owej chwili można było korzystać z niego, i wezwać obecnych do niezwłocznych ofiar, ani wątpić że takowe z hojnych byłyby się posypały dłoni.

Tę mowę szanownego Prezesa której, powtarzamy, żaden dziennik w całości nie ogłosił, w tem miejscu przytoczyć wypada.

Szanowna Publiczność! Koledzy!

Wiekiem i dolegliwościami złamany, kroczyłem ku temu miejscu, które nas wszystkich rychlej czy później zjednoczy. Spokojność w całem znaczeniu tego wyrazu, była wszelkich mych usiłowań przedmiotem. Wtem mi zabiegli drogę zacni z wielu względów mężowie. Byli to wasi wysłańcy, którzy mi oznajmili że Towarzystwo Naukowe Krakowskie powołać mię raczyło na swego Prezesa. Czylim zabiegał o tę dostojność, czy ona nawet w poczet mych marzeń wchodziła — odwołuję się śmiało do własnogo i waszego sumienia. Lecz wyrzeczono: przyjąć potrzeba — przyjąłem i oto jestem na stanowisku przez was wskazanem. W zaciszu mojem nie byłem obcy biegowi piśmiennictwa naszego, nie jedno nawet rzetelną sercu memu sprawiło pociechę. Wiedziałem dobrze że tu w tych murach, kują się nowe Statuta Towarzystwa naszego; że jego członkowie pracują ciągle nad zasobami do przyszłej nauk budowy; że znoszą do niej ciosy, belki i tramy. Dziś powołany do wspólnej pracy, cóż Wam zgrzybiały pracownik dostarczy? Chyba garść piasku. Nie gardźcie, błagam, takim przyczynkiem. Wiele ten daje, kto oddał wszystko co może.

Gdym badał przyczyn, które Was do mego wyboru skłoniły: przebaczcie mojej szczerości, żadnéj za dostateczną uznać nie mogłem. Macie w swém gronie tylu Mężów wyższych nauką, wziętością i siłą: macie i tego co przez lat kilka tak umiał Uniwersytetem Jagiellonńskim i Towarzystwem Naukowem sterować, że zyskał i ufność rządu i szacunek powszechny. Chybaście chcieli uczcić moją siwiznę i szczere chęci dla nauk i ciągłą ku nim życzliwość i jeden wyraz do mego nagrobku dorzucić. Ma starość swe niedostatki, ale ma również pociechy. Te już gasnące oczy patrzały z bliska na wydarzenia ogromnego rozmiaru. Szły one pędem piorunu obok tych ramion co już niezdolne do dźwigania żadnego ciężaru. Nie wspomnę o tych które wspotęgowały się w dziejach. Jedno napomknę, jako mające powinowactwo z Naszem Towarzystwem i celem.

Gdy w końcu ubiegłego stulecia zapadał wyrok zagłady na cały naród, całą wielomilionową rodzinę: gdy młodzież nasza strzaskane miecze przekuć musiała na lemiesze i radła, gdy osiwiali w usługach kraju starcowie kryli swą rozpacz w kąty domowe; kilku gorliwych mężów zebrało się do uratowania ostatniej przodków puścizny: — Języka. — Przyzwoliła im władza a Bóg pobłogosławił czystym zamiarom. Ten jest początek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Byłem w ten czas poświęconym naukom młodzieńcem. Na każde posiedzenie publiczne, biegliśmy wszyscy — a gdy się ozwał głos jędrny Albetrandego po ważnego przewodnika Towarzystwa i sędziwego biskupa; gdy pełen żarliwości i nauki Czacki przemawiał; gdy niezbyt dawno pasterz tutejszej Chrystusowej owczarni, Woronicz dostroił swą lutnię do dźwięków Jeremiasza proroka i wybrzmiał na niej pieśń wielką o sławie przodków, wszyscyśmy płakali. Ależ ci, co Towarzystwo warszawskie złożyli byli, to męże wielkiego poświęcenia i wielkiej zasługi: Chreptowicz, Potoccy, obaj Śniadeccy, Osińscy, Poczobut, Jundziłł, Ossoliński, Krajewski, Skrzetuski, Kopczyński, Kołłontaj, Dmochowski, Karpiński i Juljan Ursyn; to są nasze do dziś dnia zaszczyty. Mógłżebym pominąć tu jedną z najwydatniejszych tego Towarzystwa postaci, Staszyca? To posąg z różnorodnego kruszcu ale od razu ulany. Dziejopis i ściągający najdrobniejsze wiadomości Statystyk — geolog i poeta — ekonomista polityczny i filantrop — i oraz budownik i twórca górnictwa. Oszczędny aż do skrzętności i zapomnienia o sobie — grosz do grosza zgromadzał, by z czasem miliony na użytek publiczny poświęcić. On zakupywał włości i osadzonych w nich włościan usamowalniał. On przepłacał domy i wznosił gmachy, a urządzone różnym zakładom rozdawał. Kiedy po zgonie Albetrandego Towarzystwo Przyjaciół Nauk swym go prezesem obrało, gdy uznał że darowany poprzednio przybytek jest już za szczupły, podniósł swym kosztem gmach okazalszy i przed nim posąg największego nauką ziomka (Kopernika) umieścił. I ten mąż tak zasłużony i wielki spoczywa dotąd na bielańskiej pustyni pod skromnym z darni ojczystej pomnikiem? Z jakich prac zasłynęło Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie o tem poświadczą rozdrukowane roczniki. . . Ale ci męże którzy je założyli, ci nawet których z czasem do następstwa i udziału pracy przyzwano, zdali już sprawę z swych czynów przed Bogiem. Rzucam garść kwiecia na ich mogiły, ja

z tego grona niedobitek bez mała ostatni; polegli wszyscy przy ostatnim wyłomie. Było ich przeszło czterysta. Legli bezdzietnie bo Towarzystwo Warszawskie po trzydziestoletniem istnieniu spotkała cierniowa korona. Niedosyć, spotkała jeszcze zniewaga. Lecz gdyby do niej była pobudka, wyrok stałby się zbytecznym. Nikczemność a samobójstwo to jedno.

Towarzystwo Naukowe Krakowskie powstało i kształciło się na wzor i podobieństwo tamtego. Mądra rachuba złączyła je z uniwersytetem Jagiellońskim. — Kraków już nie był stolicą. Mogłoż gdzieindziej istnieć inteligencyi więcej, jak w szkole głównej, która już wtedy cztery wieki bytu swego liczyła? Tu każdy rektor uniwersytetu był z prawa prezesem Towarzystwa Naukowego; członkiem, każdy profesor. Resztę promieni naukowych, rostrzelonych po kraju snadno było sprowadzić do wspólnego ogniska, a gmachy uniwersytetu, księgozbiór, muzea, drukarnia służyć mogły zarówno obu zakładom. I tak istnialo toż towarzystwo przez lat czterdzieści. Zapadło postanowienie przed rokiem wiecznego z uniwersytetem rozdziału, a ztąd potrzeba nowych statutów i urzędników, których wybory spełnione ku końcu roku zeszłego i potwierdzone następnie dozwoliły nam stanąć w obliczu powszechności krajowej dziś po raz pierwszy w nowej postaci. Cały ten i pracowity proces odbywał ostatni komitet pod przewodnictwem zastępczem członka naszego Piotra Bartynowskiego jako kuratora universytetu Jagielońskiego. Jego to oględności i rozsądkowi byt swój niniejszy towarzystwo nasze zawdzięcza. Dotąd to towarzystwo jako płód prawy uniwersytetu tuliło się skrzętnie pod rodzicielskie skrzydła. Wszystko nam było wspólne jako członkom jednej rodziny. Dziś jeszcze w użyczonych nam ścianach pracujem, nie mając nigdzie własnego kącika. Jeżeli każda gałązka oderwana od pnia z którego wytrysła, zostawia ranę po sobie; jakże to długo cierpieć będziemy i znosić skutek tego bolesnego rozdziału! Nie mamy żadnej pobudki do trwogi, by nas z tych ścian rodzinnych ruszono. Ale przyjść może chwila rozłąki: bo światły i pełen gorliwości minister oświecenia coraz to bardziej zakres działania zakładów uniwersyteckich rozszerza. Cóż wtedy poczniem sami sobie oddani? Posag nasz cały, skromne składki stanowią — a niema pomiędzy nami Staszica. Wsparcie corocznie rządowe, ograniczone do fl. 250 ledwie na druk rozpraw wystarcza — a te nie będąc rozkupne, choćby najlepsze, lub zbutwieć mogą pod strychem, lub długie lata poczekać, aż znajdą odbyt w handlu księgarsko-sumiennym.

Ale jest źródło niewyczerpane zasobów, które widzę jak na dłoni: w sercach zacnych współziomków. Z tego to źródła płyną wszelkie szlachetne natchnienia i czyny. Dacież-li jedynemu już narodowemu towarzystwu naukowemu zmarnieć w nieuchronnem tułactwie? Oto z tą myślą i tym statutem w ręku, który nam w art. 45 dozwala przyjmować dary pieniężne, wyciągam do was rodacy sędziwą prawicę! — Są już szlachetni męże, co się z chęcią ofiar zgłosili. Tę zapisałem w głębokiej pamięci.

Krótki jest zakres urzędowania mojego. Rok już poczęty niebawem upłynie. Lecz jeźli przed jego ubiegem ujrzę choć jeden promyk nadziei, że z czasem mieć będziem własny przytułek — jeżeli błyśnie otucha że podołamy pod jednym dachem złączyć się z dwiema siostrami, które się po tutejszych ulicach tułają — to jest z towarzystwem rolniczem i sztuk pięknych — jeżeli dożyję chwili położenia węgielnego kamienia na wspólny dla trzech towarzystw przybytek — wtedy błogosławiąc dalszym usiłowaniom moich następców — złożę spokojnie głowę moją do grobu.

Od chwili objęcia urzędowania mojego w tem gronie, byłem świadkiem ciągłych prac wszystkich trzech naszych wydziałów. Słyszała publiczność krótką sprawę przez dotychczasowego zastępcę przewodnika naszego towarzystwa. To tylko dodam, że wymienione w sprawozdaniu prace a mianowicie kolegów naszych: Mecherzyńskiego, ks. Serwatowskiego, Dra Skobla i wszystkie inne z czasem poznanemi i ocenionemi zostaną. Jest przecież jedna, która ogłoszona ściągać poczyna w wysokim stopniu uwagę powszechną — chcę mówić o monumentalnej pracy naszego kolegi Z. A. Helcla pod napisem: O prawodawstwie wiślickiem Kazimierza W. Przyjdzie chwila że się będziemy szczycić z tego dzieła jak się szczycimy jego autorem. Świadek żyjący nieznużonej gorliwości i wyższego nawet nad zwykłe siły ludzkiego zajęcia, przejęty jasnością wykładu, którym się to dzieło odznacza, muszę je nadto zalecić, z poszanowaniem zdań obcych, chociaż

przekonaniu autora przeciwnych. Gdy je stawimy obok drażliwych polemik napełniających pisma nasze, śmiało powiemy: Miło jest zgodzić się z takiej podniosłości pisarzem i miło nawet stanąć z nim do walki. Z niej bowiem tak jak z szranek prawdziwege rycerstwa wyniknąć musi: zobopolny szacunek.

Nie mieliśmy przez lat cztery wyborów. Tymczasem śmierć nieuchronna poczyniła znaczne szczerby w naszem gronie. Nie będę wyliczał strat bolesnych którešmy ponieśli — bo nie mam na to ni czasu ni serca. Wolę donieść że na pokrycie tak znacznych ubytków powołani zostali do grona na członków czynnych: Walery Wielogłowski, Maurycy Mann, ks. Golian, Zieleniewski Michał, M. D. Józef Mączyński. Następnie Maurycy hr. Dieduszycki, Włodzimierz hr. Diednszycki, Karol Szajnocha, hr. Wiktor Baworowski, hr. J. Załuski, Szczęsny Morawski, Franciszek Karliński, Jakub Radliński — na korespondentów. A gdy wyliczeni obecnie wszyscy są znani, powiem słów kilka o ostatnim, jako zupełnie nieznanym od wszystkich. Jest to Włoch z urodzenia a Polak z imienia i serca. Przyszedłszy na świat w Pawii z ojca Polaka a matki Włoszki, tam się wykształcał i wyszedł na kapłana i na professora przy mantuańskiem gimnazyum. Ale duch jego tęsknił za ojców ojczyzną. Wyznając się Polakiem, choć w obcym języku nasyłał nam ciągle swe pisma, i dopraszał się o podział prac towarzystwa naszego. Stało się zadosyć i tym ostatnim i naszym uczuciom. Ufać się godzi że towarzystwo nasze nabędzie w nim pożytecznego członka w stosunkach z krajem, w którym pozyskał drugą ojczyznę.

Jakąż otuchą na przyszłość, jaką nadzieją pożegnam tak licznie zgromadzoną publiczność? Lecz przyszłość jest w ręku Boga — a człowiek bez nadziei jest jak podróżnik w podziemiu bez światła. Nam ona jasno przyświeca, bo mamy monarchę, który zarówno wszystkie narodowości swego rozległego państwa do ojcowskiego łona przytula, kocha nauki bo te podnoszą świetność i królów i krajów. Pan to jest młody, a jaki rozum i serce! Cóż powiem o ministrze oświecenia i spraw duchownych? Jeszcze on nie postawił ani kroku jednego w urzędniczym zawodzie, kiedy już znało piśmiennictwo zaszczytne imię hr. Thuna. Nie stoim wprawdzie pod jego bezpośredniem zwierzchnictwem — lecz i baron Bach minister spraw wewnętrznych jako kolega pierwszego, i jego zdania i czyste zamiłowanie nauk podziela. Bliższy w stosunkach przez moje stanowisko z zacnym naczelnikiem tutejszej prowincyi, mogę tu śmiało zaręczyć, iż jego chęci najszlachetniejsze wiele nam rokują wsparcia i rzeczywistej pomocy. Co większa, pojąwszy dobrze jak jest niezbędną dla rządzcy znajomość rządzonych języka, pewny dziś jestem, że ten hołd prawdzie oddany jest dosyć zrozumiałym w tej chwili. Oto są mocne zasady, na których nasze spoczywają nadzieje. Reszta od nas samych zależy. Pracujmy tylko poczciwie a szczerze, nie oglądając się na płonne poklaski i na wszelkie pzzeszkody; wyższe są od nich wszystkie stowarzyszenia uczonych. Dla nich potomność gotuje wieńcc, których się muszą wyrzec za życia. Najtwardsze zboże w biegu jednego roku zejdzie, zakwitnie i wyda owoce. Lecz ziarno nauk wsiąka w umysły powoli a czas jego najwyższy czynnik cierpliwy. Dla tego powtórzę jeszcze: pracujmy, a nie chwalmy się, jak to dziś idzie w obyczaj — pracujmy póki nam sił i wątku wystarczy. bo tylko codzienne zajęcie uwolni nas od długu zaciągniętego przy naszym wpisie w to bractwo nasze. O czem pięknie się Szyller wyraził: „Nieznużone zatrudnienie, stwarza powoli lecz nic nie obala — i codzień znosząc ku budowie świata ziarneczko piasku do ziarnek złożonych — a przecież z długów czasu niezliczonych — wykreśla chwile, dni, lata.“

Po odbytem posiedzeniu na trzeci dzień, a więc 3 Marca pierwsza Niemiecka Krakowska Gazeta dokładne i w bardzo właściwych wyrazach podała o niem sprawozdanie, przytaczając tłómaczoną z niektóremi opuszczeniami mowę nowego prezesa. *Czas* krótką na razie wzmiankę o posiedzeniu umieścił, a później dopiero poświęcił mu osobny artykuł, i przytoczył ważniejsze ustępy z mowy kasztelana Wężyka. — Czcigodny prezes wraz z komitetem bez straty czasu zajął się wykonaniem myśli wśród publiczność krajową rzuconej, a z żywem współczuciem przyjętej, i na dniu 14 Marca wydał odezwę do rodaków wzywającą ich do składek na wybudowanie domu dla towarzystwa. Głos zasłużonego męża który i w in-

nej dawniejszej epoce zagrzewał serca ziomków i do szlachetnych pobudzał je czynów i poświęceń, głos przemawiający w imieniu nauk ojczystych, oświaty i dobra publicznego, nie znalazł przed sobą głuchej i martwej puszczy, lecz natrafił na umysły i serca zdolne go pojąć, i wezwaniu jego odpowiedzieć. — Wkrótce więc lista składkowa zapełniać się zaczęła. Pierwszy na niej zapisał swoją ofiarę Prezydent rządu Galicyi Zachodniej Hr. Clam Martinitz. Najznakomitszy dotąd dar złożył Hr. Piotr Moszyński ofiarując dom wartości 2500 Zł. Reńskich, i dodając 500 ZłR. gotowizną, zięć jego Hr. Szembeck 1500 ZłR. przeznaczył; za nimi wielu gorliwych obywateli czyli miejscowych czy przyjeżdżających, czy znajdujących się chwilowo przejazdem w Krakowie chętnym datkiem do możności zastosowanym wezwaniu prezesa zadość uczynili. — Ten z młodzieńczym że tak rzekniem zapałem a z wytrwałością dojrzałego wieku zajął się zbieraniem składek, ustanowił kollektorów po kraju całym, przemawiając do nich w gorących wyrazach, zachęcających najmniej dostatnich, gdyż niosących zapewnienie że nie idzie o to aby ofiary były hojne, lecz ażeby były chętne i liczne, i żeby każde poczciwe polskie nazwisko na liście składkowej widzianem było. Sam mimo wiek sędziwy, codziennie po kilkanaście listów rozpisywał i rozpisuje do osób, od których wsparcia lubi się spodziewać. — Jak nas zapewniano do Hr. Tytusa Działyńskiego jako do jednego z najlepszych łacinników w kraju naszym przemówił listem łacińskim, i ani wątpić że ten oświecony i gorliwy miłosnik nauk ojczystych odpowie godnie wezwaniu, które odzywając sie do niego mową, tak często przez naszych dawniejszych przodków używaną, przeniesie myśl jego w oddaloną, a tak różną od obecności przeszłość. — Gdy i Namiestnik Galicyi Wschodniej zezwolił na zbieranie składek w części kraju jego zarządowi powierzonej, w całem królestwie Galicyi obudziło się powszechne zajęcie i najlepsze chęci dla odradzającego się towarzystwa. Co więcej w sąsiednim, w pobratymczym kraju, w Szląsku, wielce dla każdego z nas miłe współuczucie objawionem zostało. Gwiazdka Cieszyńska umieściła doniesienie, iż gdy mieszkańcy pobratymczego Szląska spodziewają się, że wśród prac i poszukiwań naukowych towarzystwa, i ich kraj pominięty nie zostanie, i że na niego także spłyną z nich umysłowe korzyści, postanowili według możności swojej przyłożyć się do składek zbieranych, i że pierwszy do tego przykład dali włościanie, których listę imienną redakcya umieściła, składając na ten cel po 20, 30, 40 grajcarów. — Z drobnych poników tworzą się strumienie, ze strumieni rzeki, nie wątpiem więc, że skromne i tą skromnością i dobrą chęcią rozrzewniające dary razem spłynąwszy znacznie ogół zbioru powiększą. Nie na tem tylko działaniu ograniczyła się gorliwość szanownego prezesa, ogłosił on prenumeratę na swoje prace dramatyczne, przeznaczając korzyść z nich na dochód towarzystwa. Niech nam się wolno będzie spodziewać że prenumerata dojdzie do skutku, i znacznie powiększy fundusz uzbierany. Nadto komitet wraz z swym prezesem powziął myśl objawienia pierwszej iskry życia odradzającego się towarzystwa wydaniem Pamiętnika który obejmować będzie rozmaite prace naukowe, historyczne, pamiętnikowe, literackie — prozę i poezyą. — Do dostarczenia ich wezwani zostali wszyscy członkowie towarzystwa, wszyscy znakomitsi pisarze krajowi. Ułożenie i wydanie tego pamiętnika w ciągu bieżącego roku, a z którego korzyść dla funduszu domu towarzystwa przeznaczona, powierzone zostały śpiewakowi Mohorta i ks. Adamowi Jakubowskiemu. —

Zaledwie miesiąc jeden upłynął od objęcia przewodnictwa przez nowego prezesa, już ten z pospiechem właściwej sobie gorliwości łamiącej wszelkie trudności zajął się wyborem miejsca na dom towarzystwa, postarał się o nabycie placu, o wygotowanie planów, które uznanie i pochwałę

znawców i naczelnego budowniczego rządowego uzyskały, nadto przysposabiać zaczął materiały, i jak się dowiedzieliśmy z numeru 126 *Czasu*, już założenie kamienia wpgielnego na dom towarzystwa w dniu 4 Czerwca nastąpiło. —

Wtem tu miejscu ubolewanie nasze wyrazić musiemy iż w przedsięwzięciu całą spółeczność krajową obchodzącem, a w którem wszystkich miłośników nauk, gorliwych o dobro powszechne, tak w zbieraniu składek, jak w przykładaniu się do nich, jedna zapewne myśl ożywia, zgodność zdań co do sposobu użycia zebranych funduszów nie ustaliła się. Dały się najprzód słyszeć głosy, że wprzódy należy myśleć o wzniesieniu gmachu umysłowego jak materialnego, że zebrany fundusz właściwiej byłby użyty na nagrody dla celnych rozpraw, na wydawnictwo pism członków towarzystwa, na pomoc naukową. Lecz uważać należy że gmach umysłowy musi znaleść gmach materialny, i w nim się pomieścić, aby mógł swoją działalność rozciągnąć. Inni pamiętni na nabyte doświadczenie, w zniechęceniu swem twierdzili, że przedsięwzięcia tego rodzaju, choć się z początku powiodą, długiej u nas trwałości nie mają, i wyjawiali obawę aby w razie upadku towarzystwa, który w stanie obecnym jest także przewidzianym, fundusze ze składek krajowych zebrane, na inny cel obrócone nie były. Lecz 56 paragraf statutu wyraźnie mówi, że w razie rozwiązania towarzystwa, tylko pozostała gotowizna na wsparcie uczniów uniwerzytetu ma być użytą, o nieruchomości któraby była towarzystwa własnością mowy niema, ta więc w tym nawet przewidzianym razie, stosownie do woli składających się, gdyby takową objawili, lub podług uznania i postanowienia członków towarzystwa inne przeznaczenie otrzymaćby mogła. Gdy zarzuty przeciw użyciu składek na dom towarzystwa niejako usunięte zostały, odezwały się zdania i znalazły odgłos w pismach publicznych przeciwne wyborowi placu. Jedni wskazywali miejsce na plantaciach i życzyli sobie aby gmach, w którymby wszystkie trzy towarzystwa krakowskie pomieszczenie znalazły, i funduszami swemi do jego wzniesienia przyłożyły się, był tak obszerny i tak wspaniały, iżby stać się mógł ozdobą miasta. Lecz do wystawienia podobnego gmachu, ileżby czasu, jakiegoby funduszu potrzebowało towarzystwo! Czy zamiar nie byłby nad siły jego, nad możność krajową? Inni znowu mniej wyobraźnią, więcej praktycznym kierujący się umysłem twierdzili, iż najwłaściwiej byłoby dom gotowy kupić i urządzić go w ten sposób, aby trzy towarzystwa w nim się umieścić mogły, i wskazywali pałac Wielopolskich obok Franciszkanów, będący niejako pomnikiem historycznym, godnym aby go na ten cel użyto. Aby wejść w spór między zwolennikami nowego domu, i temi którzy zalecali nabycie pałacu Wielopolskich, lub innego jakiego gmachu, trzebaby być obeznanym dokładnie z miejscowością, rozważyć najdrobniejsze szczegóły, mieć przed oczyma cyfry. Nie tajem jednak przekonania naszego, iż dojrzałe rozpoznanie i porównanie kosztorysów tak nowego domu, jak i nabycia i urządzenia innego gmachu, było wielce pożądanem, było niejako koniecznem dla prezesa i komitetu, było powtarzamy koniecznem, jeżeli nie dla innych powodów, to dla tego, aby potęgą cyfr przekonać umysły nie skłaniające się do jedności zdania, i aby tę jedność, tak potrzebną w tem przedsięwzięciu, sprowadzić.

Ta niezgodność zdań, już może niejaką szkodę przyniosła, i dalej przedłużona szkodliwszą jeszcze staćby się mogła. — Objawiana i w dzienniku krakowskim, i w korrespondencyach z Krakowa, umieszczanych w Gazecie warszawskiej i w Kronice, ostudziła może nieco pochop do ofiar. Wpływała ona także na usposobienie towarzystwa sztuk pięknych, które zachwiało się w chęci połączenia się pod jednym dachem z towarzystwem naukowem, i powierzenia mu zapasowego funduszu swego. Nie znajdując

aby w nowo mającym się budować domu, mogło znaleźć umieszczenie odpowiednie swej potrzebie, nie przystąpiło do układu. Wsparcie więc 10,000 ZłRen. wynoszące, które pod postacią pożyczki byłoby wzmogło fundusz towarzystwa Naukowego, opóźnia się, lub ominie go zupełnie.

Już teraz plac zakupiony, prace około budowy rozpoczęte, i kamień węgielny położony i pobłogosławiony został na dniu 4 czerwca. Uroczystość ta tyle zajmująca zaczęła się od Boga, skończyła się na Bogu, Bóg pobłogosławi przedsięwzięciu. W kościele Ś. Marka wobec władz rządowych, członków towarzystwa i licznie zgromadzonej publiczności, biskup Jopejski ks. Łętowski odprawił Mszę Świętą, po której przemówił do zgromadzonych w wyrazach jędrnych, żywą wiarą natchnionych, a wygłaszających wzniosłe prawdy, przytoczemy je tutaj, jako godne przytoczenia.

Omne datum optimum, et omne donum perfectum desursum est, descendens a Patre luminum. (Job. 1. 17). Wszelki datek dobry i dar doskonały pochodzi od Pana Boga, a takiemi są niemałe, dla człowieka nauka piękna, a światło po kraju. Lecz wszelkie dobro jak pochodzi od Pana Boga, tak wraca się do Pana Boga, na chwałę Jemu, bez czegoby godném Dawcy swego nie było. Dobrze dla tego, żeście się tu zgromadzili Szanowni Panowie, i poczynacie od poświęcenia kamienia węgielnego na dom dla Towarzystwa Naukowego; gdyż będzie to także dom na chwałę Panu temu. Bowiem każda nauka prowadzi do poznania Stwórcy wszech rzeczy, a my po téj drabinie Jakóbowéj, od wiedzy do wiedzy, co szczebel do góry, przybliżemy się do tego Ojca wszech światłości.

Nie małe dobrodziejstwo spotkało nas od monarchy nam panującego, pozwalającego na Towarzystwo naukowe w Krakowie. Uznał bowiem w mądrości swojéj: iż jedynie w rodzinnéj mowie światło po kraju rozchodzić się może. Starożytnych języków nauka jest piękną, lecz swego tylko rozwija rozum narodu; gdy jak ciało po którém krew nie krąży zamiera, tak kraj pozbawiony mowy swojéj martwym leży, Dostało więc Towarzystwo wielki obowiązek, odpowiedzenia temu zaufaniu, uprawiając na tém polu mowę rodzinną, iżby oświata idąca za nią, błogie wydała owoce.

Trzech rzeczy do prawdziwéj oświaty potrzeba, a te od waszéj mądrości zależą.

Naprzód, nie ma co innego nauczać, tylko to co świat od kościoła usłyszał. Jéj rozbrat z amboną, zapłacił schyłek ośmnastego wieku szaleństwem. Do niéj jest więc podniesione umysły ukołysać, jeśli ma być zwiastunką miłości i pokoju.

Potém, iżby się dostała tam kędy najwięcéj potrzebną, zbliżcie ją do pojęcia ludu językiem jego. Nie rozumi on nas teraz, iż nie wiedzieć dla kogo piszemy, bo dla siebie niepotrzebnie. Macie przykład z kościoła, który czego chciał tego lud nauczył, o prawdach wiecznych; a do was jest nauczyć, to co służy do jego dobra doczesnęgo. My nauczamy: że praca jest modlitwą, a lenistwo grzechem; a wy pokażcie mu: że praca daje uczciwy nabytek, a lenistwo wiedzie do upadku, do występnéj nędzy,

Ostatnie, na co nam mieć oko, to na pokolenie, co po nas następuje. Są to złote kłosy przyszłego świata, ta młodzież, którę nauczyć mamy. Podajmy jéj do ręki naukę zdrową, co kocha się w czystych obyczajach, a my przy niéj zbawienie i szacunek zdobywamy sobie. Dla tego to, kto pisze, ma tak pisać, jak przyszłoby mu jutro zdać sumiennie liczbę, z każdego słowa swego, na papier upuszczonego.

JW. Prezesie! w tobie mamy nadzieję, iż zapaliwszy pochodnię u ognia kościoła, dasz pracom literackim kierunek, co będzie krajowi pożytecznym. Pół wieku niemal liczysz zasług, we wszystkich kolejach kraju uchowałeś imie piękne, a świeżo spotkało cię świadectwo powszechnego szacunku, wyborem na przewodnika Towarzystwu Naukowemu Krakowskiemu; jaki i Wysoki Rząd nie bez zaszczytu dla osoby twojéj pochwalił i zatwierdził. Wskazuj na tém polu jak można służyć krajowi, iżby oświata kształciła dobrych ludzi i dobrych obywateli, co będzie tobie ostatnią koroną długiego i chwalebnego życia twego.

Następnie udało się zgromadzenie całe na plac budowy gdzie było przygotowane wzniesienie, na którem gdy każdy zajął właściwe miejsce, ksiądz rektor Jakubowski podskarbi towarzystwa, odczytał dokument ła-

ciński na pargaminie spisany, przeznaczony do puszki która w otworze kamienia węgielnego wmurowaną być miała, dokument ten brzmi jak następuje.

A. M. D. G.
Regnante FRANCISCO JOSEPHO
Augustissimo Austriæ Imperatore
Magno Duce Cracoviæ etc. etc. etc.
sub auspiciis Illustrissimi Comitis
Henrici Clam-Martinic
Administrationis rerum publicarum
in regione Cracoviensi
Præsidis.—
Præsentibus
Francisco Wężyk
Societatis literariæ cracoviensis Præfecto,
ejusdem Vicario Josepho Majer,
Stephano Kuczyński Societatis Secretario,
Rdo Adamo Jakubowski ærarii custode,
aliorumque sodalium magna frequentia,
primus lapis ædificii
in usum Societatis literariæ Cracoviensis,
ære fautorum construendi,
Illustrissimo ac Reverendissimo Episcopo Joppensi
Ludovico Łętowski
benedicente,
positus est die 4 *Junii anno Domini MDCCCLVII.*

Po włożeniu dokumentu tego w puszkę, i po jej zamurowaniu, prezydent rządu krajowego pierwszy kielnią podaną sobie rzucił wapno na kamień węgielny, dopełnili tego za nim prezes, urzędnicy i inni członkowie towarzystwa, po czem ks. biskup po odczytaniu stosownej modlitwy, pobłogosławił wznieść się mającej budowie. Prezes złożywszy podziękowanie całemu zgromadzeniu, wezwał je napowrót do Świątyni Pańskiej, gdzie obrzęd cały odśpiewaniem pieśni o Duchu Stworzycielu zakończony został.

Kiedy więc kamień węgielny przyszłego gmachu założony i pobłogosławiony, jaki jest obowiązek tych wszystkich którzy jedynie dobro powszechne mając na celu, szczerze pragną, aby to jedyne na ziemi naszej towarzystwo, któremu wolno jest jawnie uprawiać i pielęgnować nauki, dzieje i mowę ojczystą, jak najprędzej urządziło się, rozwinęło, wzrosło. Oto powinnością jest każdego bez względu na różność zdań, co do sposobu w jakim fundusz zebrany miał być użyty, obudzać w kraju słowem, zachętą, przykładem współuczucie dla wprowadzonego już w wykonanie przedsięwzięcia. — Niechże wszystkie części ziemi naszej okażą, że każdy poczciwy, użyteczny zamiar, który ogół, który cały ród polski obchodzi, znajduje chętne umysły, gorące serca, i nieskąpe dłonie, i że przecież jeszcze nas stać na to abyśmy go przedsięwzięli i dokonali.

Kończąc to sprawozdanie, wyjawmy przekonanie nasze iż wdzięczność się należy monarsze i wysokiemu rządowi w Galicyi, iż na odrodzenie się towarzystwa, ożywienie, rozszerzenie jego działalności i zajęcie ważnego stanowiska naukowego zezwolić raczył. Wdzięczność szanownemu prezesowi który tem dziełem z taką się gorliwością zajął; wdzięczność tym, którzy go w jego usiłowaniach i trudach wspierają, wdzięczność każdemu który choćby z najdrobniejszą ale chętną pospieszył ofiarą. Wyraźmy zaś nadzieję, że z całej przestrzeni ziemi, na której się rozlega mowa polska, spłyną spieszne dary, że towarzystwo wzniesie się do wysokości stanowi-

ska jakie mu dzisiejszy czas przeznacza, że objawionym ruchem i życiem nowem obudzi ufność w trwałość i użyteczność tego życia, i że świętą arkę nauk i języka ojczystego z gorliwością, pobożnością i wiarą przechowa, i następnym pokoleniom przekaże.

Okólnik Rady szkolnéj Szkoły polskiéj w Paryżu.

Rada szkolna Szkoły polskiej na Batignolles w Paryżu, wydała następujący okólnik pod datą 7. marca r. b.:

Z rokiem szkolnym 1856—57, Szkoła polska na Batignolles rozpoczęła trzynasty rok egzystencyi na gruncie batyniolskim, a piętnasty od swego założenia. Poświęcona wychowaniu dzieci wyłącznie polskich wychodźców, co do celu swego jest zakładem ściśle dobroczynnym, i byt swój i utrzymanie winna tak opiece rządu francuzkiego, jak obywatelskiej troskliwości Polakow. W zbyt ścieśnionych i skromnych, przez pierwsze dwa lata, objęta rozmiarach, od chwili przeniesienia na miejsce gdzie się obecnie znajduje, wzrastała szybko, tak że dzisiaj jest jednym z poważniejszych zakładów edukacyjnych Paryża, i daje staranne wychowanie znacznej liczbie dzieci polskich, które bez niej skazane byłyby w większej części na los najsmutniejszy.

ZARZĄD SZKOŁY.

Ogólny tak naukowy jak administracyjny zarząd tego instytutu, jest w ręku rady szkolnej, w skład której wchodzi prezes, vice-prezes, kasyer, sekretarz i pięciu członków bezpłatnie jak pierwsi urząd swój pełniących *). Rada wybiera wszystkich profesorów, dozorców i urzędników szkoły.

Dyrektor ma sobie powierzony bliższy i bezpośredni nadzor nad kierunkiem naukowym, porządkiem i karnością wewnętrzną w szkole, z temi samemi mniej więcej prawami, jakie służą prowizorom w lyceach francuzkich. Chociaż mianuje go rada, musi być potwierdzonym przez ministra oświecenia. Wszakże innej jeszcze, zakład ten, ulega kontroli rządu francuzkiego. Podobnie jak wszystkie instytuta edukacyjne we Francyi, poddany on jest, co do części naukowej, dozorowi inspektora akademii, którego minister oświecenia wyznacza. Co do części administracyjnej, osobny inspektor przez ministra spraw wewnętrznych mianowany, sprawuje dozor nad szkołą.

Od początku roku szkolnego 1852—53, J. C. W. książę Napoleon przyjął szkołę polską pod szczególną swą opiekę.

Rada szkolna ma podobnież swoich inspektorów i egzaminatorów, jużto płatnych, już też honorowych, których zadaniem jest doglądać wykładu każdego z osobna profesora. Jest ich sześciu: po dwóch do nauk matematycznych, do językv francuzkiego i filologii, i do nauk polskich. Ci, od czasu do czasu, w terminach nieoznaczonych, słuchają wykładu lekcyj, egzaminują uczniów, i zdają sprawę z swych spostrzeżeń na posiedzeniach rady.

Kierunek wychowania religijnego oddany jest w szkole dwom kapelanom przez arcybiskupa paryzkiego wyznaczonym; jeden z nich wykłada naukę religii, drugi odprawia nabożeństwo w kaplicy szkolnej i uczniom tłómaczy ewangelią.

Szkoła liczy, oprócz dyrektora, prefekta i dwóch kapelanów, dwunastu nauczycieli przychodnich (sześciu Polaków i sześciu Francuzów), piętnastu nauczycieli i dozorców zamieszkałych w szkole (dziesięciu Polaków i pięciu Francuzów), jednego lekarza szkolnego i dwadzieścia pięć osób należących do administracyi i służby (z tych Polaków dziesięciu, Francuzów piętnastu). Razem osób 57.

Uczniowie szkoły dzielą się na *internów*, których jest 210, otrzymujących w szkole oprócz nauki, pomieszkanie, żywność, odzienie i wszelkie opatrzenie; na *externów*, któ-

---

*) Członkowie rady są: *Prezes*, Seweryn Gałęzowski; *viceprezes*, Ludwik Wołowski; *kasyer*, Teofil Januszewicz; *sekretarz*, Ksawery Godebski; nadto pp. Antoni Hłuszniewicz, Józef Ordęga, Bohdan Zaleski, Stanisław Poniński, Karol Sienkiewicz; *dyrektor szkoły*, Stanisław Malinowski.

rych obecnie jest 49, pobierających tylko naukę, chociaż w tej chwili większa ich połowa stołuje się w szkole. Razem uczniów 259.

Każdego roku, przed upływem czerwca, rada szkolna przyjmuje podania rodziców lub opiekunów chcących dzieci swe oddać do szkoły, i decyduje o ich przyjęciu. Przy równych warunkach co do możności opłaty przez rodziców lub opiekunów, kandydaci bieglejsi w języku polskim stale otrzymują pierwszeństwo.

Ogólne warunki przyjęcia są:

a) Aby uczeń miał skończonych najmniej lat *ośm.*

b) Aby umiał czytać i nieco pisać po polsku i po francuzku. Staranniejsze pod temi dwoma względami wychowanie szczególnie zaleca kandydata.

c) Uczniowie mający więcej niż *ośm* lat, powinni być tak usposobieni, mianowicie co do znajomości języka polskiego, aby mogli wejść do klasy wiekowi ich odpowiedniej.

d) Rodzice lub opiekunowie składający na ręce dyrektora szkoły, w czasie oznaczonym, podania o przyjęcie swych dzieci, obowiązani są zarazem dołączyć: metrykę urodzenia i chrztu syna swego, i świadectwo doktora o szczepionej ospie.

ODDZIAŁY I KLASY.

Rok 1852 najwięcej się przyczynił do utwierdzenia i ostatecznego rozwinięcia tego zakładu. Zaszły bowiem w tej epoce dwa ważne dla szkoły wypadki:

Zakupienie domu na użytek szkoły i przerobienie onegoż stosownie do jego potrzeb;

Zaprowadzenie w rozkładzie nauk szkolnych programu rządowego, przepisanego dla liceów francuzkich, z pewnemi jednak wyjątkami, których wymagała natura szkoły polskiej i jej szczególne przeznaczenie.

Skutkiem tej ostatniej zmiany, utworzoną być musiała taż sama co w liceach francuzki ilość oddziałów i klas, z dodatkiem atoli klasy *wstępnej* (z porządku IX) dla dzieci, które. na nieszczęście, nieprzychodzą do szkoly dosyć usposobione, aby od razu mogly wejść do klasy VIII.

Są trzy oddziały:

1) *Elementarny*, obejmuje nie dwie, jak w liceach francuzkich, ale trzy klasy, to jest IX, VIII, VII.

2) *Gramatykalny*, składa się z VI, V i IV klasy.

3) *Wyższy*, dzieli się na scientificzny i literacki, i zawiera klasę III, II, retorykę, logikę i matematykę specyalną.

W dwóch pierwszych oddziałach uczniowie pobierają wszystkie nauki w gmachu szkolnym. Ale, aby tém prędzej uczniów *trzeciego* oddziału wprowadzić na tor nauk francuzkich, a oraz aby uniknąć zbyt wielkich kosztów, któreby wykład nauk tego oddziału w szkole dawany, za sobą pociągnął, uczniowie ci chodzą na lekcye do liceum rządowego (Lycée Bonaparte); w szkole zaś mają powtarzania i ćwiczenia.

Dla wygody i korzyści uczniów mniej zdolnych lub opóźnionych w nauce, którzyby zatem nie mieli czasu przebiedz całej skali wychowania klasycznego, a następnie ubiegać stę o stopnie uniwersyteckie, utworzony jest oddział:

4) *Techniczny* czyli przemysłowy. Wchodzą do niego uczniowie za zgodą rodziców lub opiekunów wprost z elementarnych klas, lub z niższej gramatykalnej, aby się usposobić do handlu, rzemiosł, na rysowników, pomocników inżynierskich i t. p. Trzechletni kurs tego oddziału obejmuje skrócony wykład matematyki, nauk przyrodzonych, rysunku linearnego i rachunkowości. Nadto uczniowie ci słuchają niektórych nauk w oddziale gramatykalnym, a mianowicie, religii, języków polskiego i obcych żyjących, geografii i historyi polskiej i francuzkiej, śpiewu i t. p. Urządzone niedawno laboratoryum chemiczne i gabinet fizyczny, dopomagają w oddziale *wyższym* i *technicznym* profesorom do wykładu tych nauk.

Ogół nauk wykładanych w trzech pierwszych oddziałach jest taki sam, jak w odpowiednich zakładach francuzkich. Przez to zbliżenie systemu edukacyjnego, uczniowie szkoły batyniolskiej pozyskali możność ubiegania się ze zdolniejszą młodzieżą francuzką,

i przechodzenia do instytutów wyższych, specyalnych, przez rząd utrzymywanych. Z końcem każdego roku szkolnego, dzienniki francuzkie donoszą o liczbie i rodzaju nagród, które młodzież batyniolska otrzymuje na konkursach, bądź liceum Bonaparte, bądź Sorbony. Od lat kilku dopiero wprowadzony nowy porządek naukowy, niedozwolił dotąd szkole wydać znacznej liczby uczniów, którzyby przeszli całkowity, według programu rządowego, kurs naukowy; mimo to, w ostatnim roku dwudziestu dwu uczniów opuściło już szkołę, a z tych: połowa znalazła od razu zatrudnienie, kilku weszło do szkoły przygotowawczej na Montparnasse aby tam usposobić się do szkoły centralnej, min, sztabu, i t. p.; trzech zaś szkoła nasza liczy obecnie w instytucie politechnicznym.

W końcu dodać wypada, że osobny nauczyciel w szkole uczy śpiewów polskich, świeckich i religijnych. Z języków żyjących, oprócz polskiego i francuzkiego, niemiecki jest obowiązujący, angielski dowolnym. Dwa razy na tydzień uczniowie wszystkich klas odbywają ćwiczenia gymnastyczne w jednym z dziedzińców szkoły, umyślnie na ten cel przeznaczonym.

URZĄDZENIE WEWNĘTRZNE.

W r. 1852 powzięto myśl nabycia, na użytek szkoły, domu przez nią najmowanego, i w istocie (dzięki ofiarom dawców, którzy rozebrali akcye po dziesięć, i pół-akcye po pięć tysięcy fr.) zakupiono go za sumę 166,068 fr. Wówczas dopiero, na własnym gruncie, można było gmach ten urządzić odpowiednio do potrzeb szkoły. Podniesiono o dwa piętra korpus domu, dla klas i laboratoryum dobudowano skrzydła, przestawiono sale, gmach cały oświetlono gazem; a te, i wiele innych zmian i ulepszeń, do dziś dnia podniosły całkowity wydatek na dom do sumy fr. 264,815. Na pokrycie tego wydatku, sprzedaż akcyi i pół-akcyi przyniosła dotąd 190,000 fr. Jest zatem szkoła obciążona długiem znacznym, który przy nieustającym deficycie rocznym spłacić niepodobna bez dalszej obywateli polskich ofiary. Ostatni termin wypłaty zahypotekowanego na gmachu szkolnym długu, w ilości 30,000 fr., przypada w lutym 1858. Rada szkolna jest przekonaną, że gorliwi o interes narodowy Polacy niedozwolą upaść publicznemu zakładowi. Nie opuszczą jej ci mianowicie, którzy zobowiązawszy się wziąść akcye szkolne, upoważnili ją tem zaręczeniem, liczyć na pewną z ich strony ofiarę.

Cóżkolwiekbądź, dzisiaj gmach szkoły batyniolskiej przedstawia widok poważny i piękny. U przyjemnością spostrzedz można, że przeszło dwustu internów mieści się w siedmiu obszernych i wysokich sypialniach. Są osobne sale dla chorych w infirmeryi, urządzonej z daleka od sypialń zwykłych. Każdy z profesorów i dozorców ma do pracy pokoik własny. Jest dwanaście sal na lekcye i prace przygotowawcze uczniów; podobnież kaplica, laboratorya i gabinety, archiwum i biblioteka szkolna licząca do ośmiu tysięcy tomów. Część administracyjna i ekonomiczna zakładu dała się również w gmachu szkolnym pomieścić, tak iż znajduje się w nim wszystko, czego potrzeba do zaopatrzenia uczniów, i do zachowania w porządku składów bielizny, odzieży, obuwia i t. d. Krawcy i szewcy stale przywiązani do szkoły, w niej mają swoje warsztaty. Łazienki szkolne używane są tylko w zimie; latem uczniowie kąpią się w Sekwanie. Dom cały, oświecony gazem, ogrzany jest za pomocą dwóch kaloriferów umieszczonych w podziemiu korpusu; dwa duże rezerwoary dostarczają wody.

Pożywienie uczniów jest następujące: Zrana o siódméj i pół, dostają dzieci zupę wodną i chléb; o pierwszéj i pół, zupę mięsną, jarzynę i chléb, z odmianami wedle pory roku; wieczorem, o siódméj i pół, młodsi, to jest uczniowie niższych oddziałów, zupę wodną, ryż w mleku lub z jarzyną, owoce gotowane i chléb; starsi, trzy razy na tydzień otrzymują na wieczerzę mięso z jarzyną. Post zachowywany bywa stale w piątek. Za napój, stosownie do zwyczaju w zakładach francuzkich przestrzeganego, woda z winem; przy największéj oszczędności, wydatek na wino, sprowadzane umyślnie z południowéj Francyi, wynosi przeszło 600 fr. miesięcznie.

W roku bieżącym stołuje się codziennie w szkole batyniolskiéj:

Uczniów	231
Nauczycieli i dozorców	18
Osób należących do administracyi	25
Razem	274

Dzienne wyżywienie jednéj osoby kosztuje fr. 0,62; wydatek ogólny na żywność w szkole wynosi na rok franków 56,000.

DOCHODY I ROZCHODY SZKOŁY.

Od piętnastu lat istnienia szkoły, koszta jéj utrzymania wzrastały jak następuje:

W roku 1842 — 43	było uczniów	18	wydano	33,432 fr.
„ 1843 — 44	—	35	—	36,433 „
„ 1844 — 45	—	65	—	54,713 „
„ 1845 — 46	—	105	—	73,296 „
„ 1846 — 47	—	140	—	99,203 „
„ 1847 — 48	—	171	—	81,836 „
„ 1848 — 49	—	179	—	76,908 „
„ 1849 — 50	—	186	—	83,498 „
„ 1850 — 51	—	204	—	77,439 „
„ 1851 — 52	—	210	—	94,275 „
„ 1852 — 53	—	226	—	101,798 „
„ 1853 — 54	—	243	—	128,061 „
„ 1854 — 55	—	260	—	139,645 „
„ 1855 — 56	—	264	—	137,697 „

Przebiegając te kolumny cyfr *), spostrzedz można, że wydatek utrzymania szkoły niezawsze odpowiada pomnażającej się liczbie uczniów. Przyczyna jest ta, że szkoła niemiała nigdy stałych, wystarczających funduszów, i że w księgach kasowych zapisywano te tylko wydatki, które szkoła była w możności zapłacić, i które w istocie zapłaconemi były. Kiedy w r. 1851 — 52 i 1852 — 53 pilniej tę okoliczność wzięto na uwagę, przekonano się, że szkoła obciążona jest, z ostatnich lat, długiem przeszło 18,000 fr., który przedewszystkiem należało zaspokoić. Podobnież rok 1854 — 55 zostawił 14,467 fr. deficytu, a za ostatni rok 1855 — 56, szkoła pozostała winną 4,250 fr., które w tegorocznym budżecie muszą się znaleźć.

Jak dawniej tak i teraz, podstawą dochodów szkolnych jest pomoc rządowa wynosząca 68,000 fr.

Chociaż całkowite utrzymanie każdego ucznia kosztuje rocznie przeszło 600 fr., szkoła przyjmuje corocznie:

100	internów		bezpłatnie.
5	za opłatą	roczną	100 fr.
5	—	—	150 „
10	—	—	200 „
15	—	—	250 „
15	—	—	300 „
15	—	—	350 „
15	—	—	400 „
15	—	—	500 „
15	—	—	600 „
210			

Wszyscy externi pobierają naukę bezpłatnie, i liczba ich nie jest ograniczona.

Piętnastu externów stołuje się w szkole bezpłatnie; inni externi otrzymują żywność za opłatą 15 do 20 fr. miesięcznie.

Z takich opłat miesięcznych lub rocznych, wnoszonych za dzieci przez rodziców lub opiekunów, szkoła ma na rok dochodu około 35,000 fr. Pobiera nadto zasiłek od miasta Paryża fr. 1000 rocznie; a te wpływy, łącznie z pomocą rządową, obiecują na ten rok, jak w poprzednim, całkowitego dochodu 104,000 fr.

---

*) Wszystkie koszta, poniesione na założenie i utrzymanie szkoły, oraz kupno domu, wynoszą dotąd 1,483,069 fr. czyli blisko półtora miliona franków.

W roku upłynionym wydatki utrzymania szkoły, nie licząc spłaconych 14,467 fr. zaległości z roku poprzedniego, były następujące:

a)	Utrzymanie domu, przybudowania, reperacye . . .	16,182 fr.	25 c.
b)	Opał, światło, czystość domu, utrzymanie ruchomości	9,007 „	55 „
c)	Żywność uczniów, dozorców i t. d.	55,965 „	45 „
d)	Odzienie, bielizna, opranie, obuwie	14,742 „	— „
e)	Koszta nauki	33,879 „	40 „
f)	Koszta administracyi, infirmerya	7,472 „	95 „
g)	Wydatki pomniejsze	447 „	95 „
	Razem . . .	137,697 fr.	55 c.

W obecnym roku, koszta utrzymania szkoły, licząc w to zaległość zeszłoroczną 4,250 fr., obrachowane są na 143,250 franków.

Porównawszy tę sumę z dochodem stałym wymienionym poprzednio, a wynoszącym 104,000 fr., rok bieżący, nieliczące w to długu hypotecznego ciążącego na gmachu szkolnym, przedstawia niedoboru *czterdzieści tysięcy* fr.

Suma tak znaczna nie zastrasza nas jednak. W ciągu pięciu lat ostatnich, ofiary dobrowolne, na utrzymanie szkoły wniesione, były następujące:

W roku 1851 — 52	wniesiono	50,912 fr.	45 c.
„ 1852 — 53	—	18,713 „	87 „
„ 1853 — 54	—	13,419 „	50 „
„ 1854 — 55	—	31,656 „	— „
„ 1855 — 56	—	29,843 „	35 „
	Razem	144,545 fr.	17 c.

W każdym więc z osatnich lat, wpłynęło w przecięciu 28,000 fr. do kasy szkolnej, i temi jedynie patryotycznemi darami mogła ona pokryć różnicę swego dochodu stałego z koniecznym, corocznym rozchodem. Nie bez żalu, rada szkolna widzi się być zmuszoną zataić tu imiona tylu szlachetnych dawców, którzy szkołę polską na Batignolles ofiarami szczodremi podparli. Nie mogąc ogłosić zupełnej listy dobroczyńców, nie ogłasza jej wcale: nie mniej przeto składa im obecnie publiczne, serdeczne podziękowanie. — Ich przykładem ośmielona, ożywiona przytem chęcią usłużenia rodakom, rada szkolna ma nadzieję, że i nadal będzie mogła odpowiedzieć wydatkom, których wymaga utrwalenie i dalsze rozwinięcie narodowego zakładu. — Jest on jednym więcej dowodem siły i żywotności polskiej emigracyi. Wychowuje kilkaset dzieci polskich. Przy Boskiej pomocy da im chleb w ręce; a nadto, co dla nas nie mniej ważne, da im kiedyś możność służenia sprawie ojczystej. Dla dopięcia tylu i tak szlachetnych celów, rada szkolna wierzy mocno, że w zacności obywatelskiej Polaków znajdzie pomoc skuteczną.

Paryż, dnia 7. marca 1857. roku.

Publikacya ta pokazuje, jak są wytrwałe, jak niezmordowane usiłowania zacnych kierowników szkoły; pomagać więc im trzeba szczerze i skwapliwie, tem bardziej że prowadzenie szkoły z wielu względów, zwłaszcza ze względu naukowości, która się ciągle podnosi, wzorowem nazwać można.

Niedostatki jakie jeszcze być mogą, naprawią się z kolei, ale nikt nawet z tych, co mają to lub owo do zarzucenia, od przyłożenia ręki do zapewnienia bytu zakładowi wymawiać się nie powinien. Utrzymać szkołę to obowiązek wyraźny.

Zakład Sióstr Urszulinek w Poznaniu.

Dzięki gorliwości pobożnych obywateli, dzięki opiece Najprz. Arcypasterza i przychylności władz rządowych, zakład ten prędzej zapewne otworzonym zostanie, niż zrazu spodziewać się było można. Dom już jest zakupiony, Siostry przeznaczone do kierowania zakładem mają do Poznania przybyć w pierwszych dniach lipca, a szkoła rozpocząć się już na Sty Michał. Nie potrzebujemy taić, iż fundusze do utrzymania zakładu są je-

szcze niewystarczające. Ale nie wątpimy iż składki i zapisy znacznie się pomnożą, skoro wszyscy naocznie się przekonają, jak ważną dla prowincyi stać się może podobna instytucya. Życząc wszelkich błogosławieństw tak zacnemu przedsięwzięciu, i pobudzając naszych przyjaciół, aby starali się przychodzić mu w pomoc o ile ich stać na to, pospieszamy zamieścić w piśmie naszem następujący onego program:

ZAKŁAD SIÓSTR URSZULINEK W WROCŁAWIU,

oznajmia niniejszem uniżenie:

iż za łaską Najwyższego i zezwoleniem duchownej zwierzchności zamierza zaprowadzić równyż zakład w mieście Poznaniu, a to w następnym sposobie i warunkach.

§ 1. Powstający Zakład Sióstr Urszulinek w Poznaniu ma zamiar otworzyć szkoły na Ŝty Michał r. b., o ile jednak stosunki pozwolą, już od 1. lipca przyjmować będzie pensyonarki, panienki z miasta i ubogie dzieci do szkoły. Pragnie wysługiwać się prowincyi trojakim sposobem:

1) wychowując pensyonarki,
2) kształcąc naukowo panienki przychodnie z miasta,
3) nauczając bezpłatnie dziewczynki ubogie.

§ 2. Wykład naukowy będzie w polskim języku. Z językiem niemieckim i francuzkim, jako też z wszelkiemi dla kobiety właściwemi wiadomościami i talentami będą pensyonarki wraz z panienkami przychodniemi obznajmiane. Na żądanie rodziców i w miarę zdolności dziecka język angielski także udzielać się może. Dzieci ubogie będą się ćwiczyć w naukach elementarnych, szyciu i robotach kobiecych wszelkiego rodzaju.

§ 3. Opłata roczna za każdą pensyonarkę wynosić będzie 160 tal., od dwóch sióstr rodzonych po 140 tal. za każdą, od trzech lub więcej sióstr rodzonych po 120 tal. za każdą. Za muzykę osobno opłacać się będzie po 10 sgr. od godziny. — Nie biorąc na siebie żadnych wydatków bez wyraźnego żądania rodziców, nie przesyła zakład innych rachunków jak tylko doktora i za lekarstwa w razie choroby.

Panienki miejskie do szkoły pensyonatu uczęszczające opłacać będą 2 tal. miesięcznie, wyjątkowo jednakże mogą być uwzględniane stosunki familii najuboższych, dla których ta ostatnia płaca cokolwiek zmniejszoną zostanie. Również uwzględnienie nastąpi, jeźli kilka rodzonych sióstr do szkół tych uczęszczać będzie, tak iż: od dwóch sióstr miesięczna opłata 1 tal. 22 sgr. 6 fen., od trzech lub więcej sióstr 1 tal. 15 sgr. za każdą wynosić będzie.

§. 4. Wznoszący się zakład oświadcza otwarcie iż z szczupłemi funduszami powstaje, ufając w łasce Bożej że znajdą się przychylne serca, które go wesprzeć raczą; będzie przeto przyjmować z wdzięcznością wszelkiego rodzaju dary, prosząc Boga aby każden grosz i każde ziarnko sowicie wynagrodził. Gdyby z wspaniałych i dobroczynnych ofiar miały wpłynąć dla zakładu jakie summy funduszowe, od których procent wystarczyłby na utrzymanie roczne jednej pensyonarki, to tenże zakład wyrzekając się procentów na własną korzyść, zobowiązuje się czy to z familii dobroczyńcy czy też z jakiej ubogiej rodziny zawsze jedną dziewczynkę wychowywać, a każda z tej fundacyi korzystająca panienka codzienną modlitwą wypłacałaby się za doznane dobrodziejstwo.

O bliższych szczegółach tyczących się urządzenia pensyonatu, rozkładu godzin etc., nastąpi później dokładniejsze zawiadomienie.

Wrocław, dnia 1. maja 1857.

GŁÓWNIEJSZE POMYŁKI I SPROSTOWANIA.

W poszycie III. jest jeszcze do poprawienia:

Str. 338 wiersz 19 od dołu po Ks. Gnillemin opuszczony został wyraz wikaryusza.
Str. 340 wiersz 8 od góry zam. 1854 czyt. 1584.

Dla braku miejsca zmuszeni jesteśmy Kronikę zdarzeń w świecie katolickim odłożyć do następnego poszytu.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu ul. Berlińska Nr. 32.